

Max Brand

Biały wilk

Przekład Ewa Przysuska

Przedruk z Wydawnictwa "Głob", Szczecin 1990

Max Brand — jeden z licznych pseudonimów Fredericka Schillera Fausta (1892-1944), autora westernów, opowieści przygodowych, historycznych, szpiegowskich, romansów.

"Biały wilk" w dorobku tego autora jest powieścią wyróżniającą się opisami przyrody oraz niezwykle dynamiczną akcją obejmującą świat ludzki i zwierzęcy.

I

Po raz pierwszy ujrzał Gannaway tego wielkoluda Crosdena w górnym kanionie bukszpanowym rzeki Winnemago. Gannaway wskutek wędrówek po Skalistych Górach, bądź w promieniach palącego, letniego słońca, bądź podczas burzliwych huraganów zimowych, był wysoki i muskularny. Poznawało się po jego twarzy, że dziś czuł się jak w domu wśród śnieżnej zawiei, jutro zaś w sercu pustyni... Zawód meteorologa zmuszał go do całorocznych, nieprzerwanych tułaczek. Jego cicha i głęboka dusza, tak różna od dusz innych ludzi, czuła się lepiej wysoko, wśród samotni gór, gdzie mógł odetchnąć swobodnie — poza nimi był tylko zarozumiałym niezdara.

Adam Gannaway, choć wolał polować z aparatem niż ze strzelbą, był również zapalonym myśliwym, w rezultacie poznał lepiej obyczaje dzikich zwierząt niż inny wędrowiec z gór. Mimo to, ujrawszy po raz pierwszy Tuckera Crosdena, poczuł się jak zdechłak — mieszczuch, gdy znajdzie się raptem przed obliczem natury. Gannaway mierzył przeszło sześć stóp i miał potężne bary, ale kiedy Crosden zbliżył się doń swym dumnym krokiem — zdało mu się, że on sam kurczy się do rozmiarów małego chłopca. A choć Gannaway brał udział w radościach i troskach świata, to gdy spojrział w na pół brutalną, na pół zaś melancholijną twarz tamtego — zdawało mu się, że w porównaniu z duszą tego obcego człowieka jego własna pełna była starych śmieci i martwych wrażeń.

Tucker Crosden podpierał się ciężko podkutym kijem. Długość kija przypominała ciosane włócznie dawnych bohaterów, grubość zaś — nie bacząc na siłę żyłastych ramion Gannawaya — odbierała mu chęć dźwignia czegoś takiego nawet podczas zwykłego marszu. Kij dyndał jednak niczym witka wierzbowa w palcach wielkoluda, który od czasu do czasu okładał nim małego osiołka biegnącego przed nim. Każde uderzenie wywoływało dreszcz wzdłuż żeber nieszczęsnego zwierzęcia, które wobec ogromu jego pana wyglądało raczej na psa niż na juczne zwierzę.

A przecież, obładowane ciężkimi tobołami, było tak wyczerpane długim i uciążliwym wspinaniem się po stromym wąwozie Winnemago, że kiedy zbliżyli się do Gannawaya, olbrzym pozwolił kłapouchowi zatrzymać się i odpocząć na szeroko rozstawionych nogach.

W górach San Jacinto towarzystwo człowieka stanowiło przedmiot gorętszego pożądania i większą rzadkość niż niebiańska muzyka; Gannaway był jednak przekonany, że gdyby osioł miał więcej siły — olbrzym byłby bez słowa pośpieszył dalej. Zerknął jednak dwukrotnie w stronę uczonego, potem zaś wybąkał niewyraźnie słowa powitania:

— Czy ma pan z sobą coś do palenia? — zapytał.

Gannaway wręczył mu paczkę szarych papierków i nieco tytoniu Bull Durham na dnię kapciucha. Ze zdziwieniem przyglądał się grubym palcom nieznajomego, które misternie skręcały papierosa. Crosden nie tracił czasu na podziękowania. Zapaliwszy papierosa, podszedł do kłapoucha i z wielkiego, otwartego kosza wyjął dużą ciężarną suczkę, bullteriera. Kiedy postawił ją na ziemi, poznawało się, że suka zlegnie lada chwila, mimo to Gannaway się zdziwił, że mocarz obarczył ciężarem psa swe jedyne juczne zwierzę.

Olbrzym podążył za suką na wybrzeże Winnemago i obserwował ją spode łba, gdy piła, potem — gdy chciała wdrapać się na stromy brzeg — wziął ją ostrożnie pod pachę i wniósł na górę. Podziękowała machnięciem ogona, nastawiła uszu i oddaliła się powoli w bujne trawy.

Gannawaya ogarniało coraz większe zdziwienie. To co widział, nie odbiegało, w gruncie rzeczy, od ludzkiego stosunku do psa w podobnym stanie, przypisywanie jednak uczuć ludzkich temu kolosowi wydawało się takim samym absurdem, co przypisywanie litości lwu górskiemu lub miłosierdzia buremu niedźwiedziowi... Co więcej: obserwator odnosił wrażenie, że opieka, jaką ten wysoki drab otaczał psa, nie wynikała ze szczerego przywiązania, lecz raczej starannie obmyślonego planu lub nadziei wysokiej nagrody za szczęśliwe przewiezienie psa przez góry.

— Piękny okaz — rzekł Gannaway.

Brutal spojrział nań kwaśno.

— Naprawdę? — zapytał obraźliwym tonem i posepnym spojrzeniem w dalszym ciągu obserwował ruchy teriera.

Gannaway niewiele wiedział o bullterierach, znał jednak dostatecznie inne psy — szczególnie zaś ten typ, na którym poznaje się jedynie hodowca bullterierów. Spojrzął na sukę uważnie, obejrzał ją z przodu, z tyłu, z boku, z góry i nie znalazł u niej żadnych wad. Miała idealnie proste, szerokokostne nogi, szeroką pierś, barki, które radowały oko czystością i pięknem mięśni, szyję ani za długą, ani za krótką, pokrytą jędrną skórą. Spojrzął na ogon nisko osadzony, gruby u nasady i zwężający się pięknie ku dołowi, prosty jak struna... Może w głowie znajdują się jakieś usterki? Nie, była to wspaniała głowa o małych, trójkątnych oczkach i czystej aż po oczy, gładkiej jak wewnątrz ludzkiej dłoni mordce.

— Na Boga! — rzekł Gannaway — jestem ostatnim durniem, jeśli ta suka nie nosi w swym łonie przyszytych czempionów.

— Nie jedyny z pana dureń na świecie — odparł olbrzym i czekał, aby Gannaway zareagował na obelgę, widząc jednak, że ten nie traci spokoju, dodał: — Ale ma pan rację. Ona jest czempionem.

Gannaway był bardzo zaniepokojony. W tych zdegenerowanych czasach rasowe bullteriery nie rodzą się na kamieniu i trudno sobie wyobrazić, że czempionka może się oszczeniść lada chwila wśród posepnych wyniosłości gór San Jacinto i narazić ślepe szczenięta — wartości kilkuset dolarów — na łaskę i niełaskę wichrów zimowych.

— Gdzie dostała nagrodę? Jak się nazywa? — zapytał.

Olbrzym odwrócił się tyłem. — Czas w drogę. Chodź tu, Nelly!

Przybiegła doń posłusznie ciężkim krokiem i stanęła w oczekiwaniu dalszych rozkazów, a serce Gannawaya, pomimo doznanej zniewagi, ogarnęło ciepło. Olbrzym tymczasem skończył papierosa i zrobiwszy pół obrotu, zapytał:

— Czy ma pan jeszcze zapasik?

— Nie — odrzekł Gannaway — to ostatni.

— Dobrze, wezmę zatem tytoń do fajki.

— Wyszedł mi także. Nie zostało ani okruszynki.

Crosden wlepił w niego niedowierzające spojrzenie, ale śmiałe oczy Gannawaya jaśniały taką uczciwością, że zaklął siarczyście.

— Nie oddałeś pan chyba ostatniego dulca? — burknął.

— Obejdę się. Już się nieraz obchodziłem — uspokoił go Gannaway.

Olbrzym spojrzął bezradnie wokoło, jak gdyby szukając wyjaśnienia w życiu wiatru, blasku słońca i otaczających go skałach. Nie znalazł jednak żadnego motywu podobnej wielkoduszności. Potem odmalowała się w jego wzroku nowa myśl.

— Czemuż tedy, do pioruna? — wykrzyknął nagle. — Musisz pan być chyba Europejczykiem?

I w milczeniu przesywał Gannawaya wzrokiem niczym nowy Balboa, niemy i milczący, na szczycie w Darien... Jak gdyby przyzwoitość bliźniego stanowiła zagadkę.

— Czy ma pan fajkę? — zapytał w końcu.

— Mam.

— A więc napełnij ją pan!

Wyciągnął nabity kapciuch, ale podczas gdy Gannaway radośnie i posłusznie napychał swoją czarną fajkę, nieznajomy mierzył go zdumionym wzrokiem, notując w pamięci charakterystyczne cechy tego nowo odkrytego gatunku.

— To jest Barnsbury Lofty Lady II — wykrztusił wreszcie. — Zdobyła nagrodę aż w Nowym Jorku, jak i reszta psów mojej hodowli. Nie zawracam sobie głowy małymi wystawami prowincjonalnymi. Wszystko, albo nic.

— Przewóz psów okrętem tak daleko, to drogi interes — zauważył Gannaway tonem pełnym szacunku.

— E-e, kosztuje, bo kosztuje, ale zarabiam na tych sztuczkach... Sprzedaję dosyć skór, by dawać moim psom przyzwoite utrzymanie, a choć nie podoba się to mojej rodzinie — czort ją bierz!

Gannaway nie dosłyszał drugiej połowy tych uwag.

— Ładna suczka... — zauważył. — Nazywam się gannaway.

— Gannaway — powtórzył traper. — Nie wiem, czym się pan zajmuje, ale na pewno nie psami. Hm, większość ludzi uważa ją za ładną. Pisali o niej w gazetach, kiedy pojechała na Wschód, nagradzali ją pucharami, ściskali mi rękę. Ofiarują mi za nią wielkie pieniądze. Trzy tysiące dolarów — powiada jakiś wariat z wyciśniętą jak cytryna twarzą. Trzy tysiące? Nawet i trzydzieści tysięcy! Ale ja za trzysta tysięcy, za trzy miliony jej nie oddam. Za żadne pieniądze!

Brzmiało to nie jak szaleństwo, lecz jak niebiańska ekstaza — ta, która tworzy rasowe konie i psy, piękne rzeźby i poematy.

Gannaway rozumiał to i kiwał potakująco głową. I jego serce tęskniło do odległej gwiazdy...

— Nie, nie chodzi o to, jaka jest — ciągnął dalej olbrzym. — Nie chodzi o to, jaka jest, ale o nadzieję, jaką w sobie kryje. A może się ziści?

— Cóż to takiego? — zapytał Gannaway delikatnie.

Olbrzym spojrział nań groźnie, ale widać myśli wzięły nad nim górę, bo odrzucił głowę, aż długie, gęste włosy opadły w tył i ukazały na jego twarzy uśmiech o wyjątkowej, prawdziwej piękności.

— Król! — szepnął. — Ma w sobie krew królewską, może przejawia się w tym oto potomstwie... Nie wiem. Nikt tego nie wie — tylko Bóg!

II

Drogi ich się rozchodziły, ale Gannaway chętnie zбочzył. Powinien był iść doliną Winnemago, górą Spencera i Lomasa na południe, zamiast tego szedł doliną rzeki, aż wieczorem dotarli do niższych wzgórz Winnemago i rozbili namioty wśród sosen. Z drugiej strony pasma wzgórz towarzysz jego zamierzał trzymać się szerokiego zbocza gór Spencera, dopóki nie dojdzie do doliny Siedmiu Sióstr. Mieli się zatem rozstać rano, jednak Gannaway postanowił — wezwawszy do pomocy spryt i cierpliwość — odgadnąć, dlaczego zdrów na umyśle człowiek postanowił narażać życie psa za trzy tysiące dolarów wśród wycia lodowatych wiatrów górskich.

Crosden nie dał się łatwo wyciągnąć na zwierzenia. Na widome dowody zaciekawienia odpowiadał jak Indianin — milczeniem, Gannaway zaś wyczuwał w hodowcy psów prawdziwy typ brutala, ogarniętego jedyną namiętnością: pragnieniem wyhodowania idealnego bullteriera.

Dopiero po kolacji, gdy powtórnie zapalili fajki, język Crosdena się rozwiązał.

— Cokolwiek by się powiedziało, ona ma idealnie piękną głowę — rzekł Gannaway, kładąc rękę na łbie Nelly.

Zdawałoby się, że to jedno tylko zdanie znalazło dostęp do uszu olbrzyma.

— Idealnie piękną głowę — powtórzył cicho. — Był niegdyś idealnie piękny pies, czy słyszy mnie pan, Gannaway? Pan, jako Europejczyk, powinien to zrozumieć. Włóczy się tylu złodziejasków, oszustów i diabli wiedzą co za jedni. Kto chciałby gadać z takimi o rasowych psach! Ten naród tam ze Wschodu — plugastwo! To nie ludzie! Ale pan, Gannaway, pan jesteś biały i może pan zrozumiesz. A może opowiedzieć panu tę historię? Czemu nie? Albo mi to dobrze zrobi, albo zwariuję.

Odgarnął długie włosy z twarzy — ten na wpół brutal a na wpół melancholik — i uwięziwszy swój kij wędrowny w dłoni, jakiś czas rozmyślał nad ogniem, dopóki oczy nie zapłonęły mu blaskiem jakby od długiego patrzenia.

Nagle podniósł wzrok na Gannawaya.

— Na początku, powiem panu, oprócz Newtona i mnie nie było nikogo. Inni mieli psy, pokazywali je, dostawali nagrody i gadali, ale nikt nie znał tajemnicy osiągnięcia doskonałej głowy u bullteriera... Nikt, oprócz mnie. Potem Newton ukradł mój pomysł. Suki nie rodzą się na kamieniu. Można mieć najlepszą hodowlę psów na świecie i nie mieć z tego nic. Kiedy się jednak weźmie suczkę, co ma oczy jak się patrzy i dobrą wagę... ale co tam, pan nie jest hodowcą psów...

— Ale mniejsza o to. Ja wiedziałem i Newton wiedział. Ja wiedziałem, że on wie, a on wiedział, że ja wiem. Czasem dostawaliśmy niedużo. Czerwone wstążeczki, żółte albo inne. Chodziłem patrzeć na psy Newtona, a on przychodził patrzeć na moje. I każdy z nas wiedział, że drugi zbliża się do sedna rzeczy — do psa, który byłby psem...

— Otrzymywaliśmy także odznaczenia. Otrzymywaliśmy je często gęsto, a przecież on czekał ciągle śledząc mnie, a ja czekałem śledząc jego. Aż pewnego razu poszedłem do

ogrodu "Madison Square" i ujrzałem Newtona przechodzącego obok z miną winowajcy. Podszedłem do niego. To taki sobie "gent"... Zwinął mi się w garści i podniósł rękę, jak gdyby chciał się bronić od uderzenia. — Z daleka! — powiada. — Kto ci to powiedział? — W jednej chwili domyśliłem się, że Newton wie wszystko. Zrozumiałem, że mnie nabrał — i zbliżam się, żeby go zabić... — Podniósł kij podkuty stałą i uderzył nim o skałę, rozprysła się jak kreda. — Zaprowadź mnie tam, niech go zobaczę! — rzekłem. — Nie ma go jeszcze między twymi eksponatami. — Widziałem bowiem psy, jakie miał na wystawie. Wróciliśmy więc do domu, otworzył kosz stojący w kącie pokoju, strzelił palcami i wyskoczył stamtąd ten ideał psa! Widzi pan, ten widok, ta białość i to chorobliwe uczucie w dołku... No i przywidziało mi się, że Newtonowi udała się sztuka i że nabił mnie w butelkę. — To twoje dzieło, Newt! — powiedziałem. — To jest właśnie ten pies! — Spojrzał na mnie z ukosa i potrząsnął głową... Niech go Bóg błogosławi! Kochałem go za to. I powiada: — Kiedy była szczenięciami, myślałem nieraz, że może wyrośnie na co. Nie zawiodła moich nadziei. Kiedy jednak ochłoniesz, mój wspólniku, i spojrzysz na nią po raz drugi, zobaczysz, czego tam brak i w głowie, i w szyi... chociaż to nie to, o czym mówią wymiary. Ach, do diabła tam wymiary!

Widzieliśmy już nieraz psy, co to wyrosły do idealnych wymiarów, a pobiły je najzwyczajniejsze kundle, bo miały ogień w sobie... Patrzyłem na tę sukę i czułem, że Newton ma słuszość. Było tam ździebko nie w porządku z łbem i z szyją, i ździebko nie w porządku pod oczyma... — Jak się wabi? — pytam ja. — Jedyne dla niej imię jest "Królowa". — Królowa Newton? — mówię ja. — Nie, tylko "Królowa" — mówi on. — Hm, zasługiwała na to imię. Była wówczas dziewięciomiesięcznym szczeniakiem, ale najbardziej rasowym spośród stu bullterierów. Podrosła i okazała się najładniejsza na wystawie. I byłaby zaszła dalej, aż na sam szczyt. Kiedy się jednak da pierwszeństwo bullterierowi? Nigdy, na Boga, dopóki nie zjawi się pies w koronie. — Zjawi się jednak!

Tucker Crosden wstał i zaczął krążyć tam i sam, starając się ze wszech sił zapanować nad sobą.

— Po wystawie przychodzi do mnie Newton i mówi: — Crosden, niech mnie diabli wezmą, jeśli nie dopiąłem swego. Coś mi powiada, że stanę na miejscu, że Królowa będzie najlepsza, o ile nie pójdę w świat i nie postaram się o nową krew. — Zrozumiałem, co miał na myśli, ale zamknąłem gębę na siedem spustów i rzekłem tylko: — A gdzie mógłbyś ją ulepszyć? — Nie miał pojęcia. — Co jednak powiedziałbyś, żeby tak wziąć któregoś z twoich psów, stary wygo? — Mam ci ofiarować pracę piętnastu lat po to, byś ty mi zapłacił dwadzieścia pięć dolarów, a potem zbierał laury? — Nie chciał, ale musiał. Przynależało mi dać połowę miotu, na to ja znowu, że nie mam ani jednego psa godnego uwagi... Ale on na to, że tu nie chodzi o psa, że tylko jego rodowód ma znaczenie. Wybraliśmy więc najlepszego z mojej sfory — czempiona Barnsbury Moonstone'a, odznaczonego na rok przedtem nagrodą i skrzyżowaliśmy z nim Królową. W kilka miesięcy potem znajdowałem się w domu Newtona w Kolorado i asystowałem przy porodzie. Pierwsze szczenię dostało się, naturalnie, Newtonowi, drugie mnie. Urodziło ich się pięcioro, ale nie było się absolutnie czym zachwycać. Potem minęła godzina, aż w końcu przyszło ostatnie — a należało do mnie!

Tucker Crosden podniósł swój wielki kij, pogroził gwiazdom i roześmiał się.

— Maleńkie, słabe, nic warte... A Newton spojrział tylko i powiada: — Patrz, stary, przykro mi, że odchodzisz z tymi marnymi suczkami i tym szcurem... żeś przybył z tak daleka na połóg... Masz tu tego pierworodnego, a ja zatrzymam szczurka, albo go utopię, jedno z dwojga. — Spojrzałem na Newtona i roześmiałem się.

— Ach, ty złodzieju — mówię — myślisz, że nie mam oczu? Nie, syneczku. Możesz pozostać przy pięciorgu, ale ja pozostanę przy tym jednym! — I tak zrobiłem. Po trzech miesiącach wyglądał jak posążek z marmuru, a po siedmiu, gdy zbliżył się termin wielkiej

wystawy, Newton napisał do mnie, zapytując o to szczenię. Usiadłem, na kawałku papieru napisałem "Król"... i posłałem Newtonowi. Przyjechał następnym pociągiem i przyszedł wprost do mnie. — Daj mi popatrzeć. Daj mi popatrzeć na "Króla" — powiada i śmieje się głośno, to cienko, to grubo... — Masz na myśli szczeniaka? — mówię obojętnie. — Hm, pewnie jest tu gdzieś — w pobliżu. — Gwiżdżę, wchodzi Król, staje w drzwiach na tle ciemności, przymyka oczy i patrzy na nas. — O, mój Boże — powiada Newton — o, mój Boże! — Tak, był o włos od ideału... Newton i ja odbyliśmy specjalną przejażdżkę do Nowego Jorku na wystawę. Siedzieliśmy w dorożce, trzymałem psa w objęciach, kiedy nagle spotkał nas ten wypadek na zakręcie. Uderzyliśmy o coś.

Gannaway przeciągnął dłonią po czole, nie odrywając oczu od udreżonej twarzy towarzysza. Po pauzie olbrzym podjął dalej: — Pochowałem go, wróciłem do domu, powiązałem moje psy w jeden rząd i zastrzeliłem jednego po drugim... Potem wszedłem do mieszkania, zawołałem żonę, córkę i kazałem im zakopać ten cały kram. Usłuchały. Ale Molly, moja dziewczynka, wróciła i mówi: — Tato, jeden żyje. — Dokończę go — mówię i wychodzę. Była to maleńka, dwumiesięczna suczka. A Molly klęka, chwyta ją w objęcia, zakrwawioną w tym miejscu, gdzie przeszła ją kula... — Och, Tatusiu — powiada — Bóg nie chciał, żebyś ją zabił! — Może ma i rację — mówię sam do siebie. Uchwyciłem się przesądu, zaświtało mi w głowie, że ta suczka przyniesie mi szczęście. Kiedy nadszedł czas, skojarzyłem ją z psem Newtona — nagrodzonym Srebrnobokim. Potem zacząłem rozmyślać, że psy moje potrzebują więcej surowszego trybu życia — na swobodzie, rozumiesz pan, jak inne zwierzęta. Postanowiłem więc, że wezmę z sobą Nelly tu, wysoko, w góry i że wyhoduję jej potomstwo w tym okresie, kiedy zastawiać będę sidła. I dlatego widzi ją pan tutaj ze mną.

— Może to będzie Król? — szepnął Gannaway.

— Bóg raczy wiedzieć... — odparł olbrzym — a on nie mówi nic!

III

La Sombra była dziś w sennym nastroju. Nie zdradzała większego ożywienia niż, powiedzmy, zgłodniały pies albo kot na polowaniu. Chociaż śnieg leżał płaskimi warstwami w cieniu drzew i na zboczach gór, kwietniowe słońce świeciło jasno i ciepło i przenikało przez gruby płaszcz podbity gęstym futrem aż do skóry La Sombry. Miała chęć zamknąć oczy i spać, otulona nieznanym, rozkosznym gorącym. Natura jednak tak stworzyła wilczycę, że nie może zamknąć więcej niż jedno oko naraz... Przymknąwszy tedy jedno oko, dwukrotnie ujrzała swego męża, jak stał sztywno na przełęczy górskiej z nosem zwróconym w kierunku zachodu i jak zapadał się dwukrotnie czterema łapami, a długa sierść na grzbiecie podnosiła się i zamieniała w sztywną, wielką, lwią grzywę.

La Sombra otworzyła oczy i zadrżała lekko, nie ze strachu, lecz w przecuciu zbliżającego się okresu, jaki łączy się z kąpielą słoneczną. Nie ze strachu, była bowiem poślubiona królowi swego rodu, samemu Czarnemu Wilkowi, wyposażonemu w sto czterdzieści funtów żył, kości i żelaznych mięśni. Żaden lew górski nie ośmieliłby się zamącić im spokoju, a co się tyczy gnuśnych władców gór — burych niedźwiedzi — ani jeden nie powstał jeszcze ze snu zimowego. Otworzyła zatem oczy i zadrżała, rozmyślając nad owym niebezpieczeństwem; Czarny Wilk bowiem nie dawał się ponosić wyobraźni.

A potem z głębi gardzieli wyrwało mu się ostrzeżenie:

— Człowiek!

La Sombra skoczyła niczym lasso z ręki kowboja. Wietrzyła z nosem zwróconym w tym samym kierunku, z zamkniętymi oczyma i nagle przeszył ją dreszcz grozy. Poczula słaby, daleki zapach, zbiegła żywo ze wzgórze, skulona jak wiewiórka, co pędzi przez otwartą przestrzeń w obawie przed jastrzębiem zawisłym na niebie. Przepchnęła się przez wąskie wejście do jaskini i rzuciła się ku legowisku. Jedno po drugim dotykała nosem miękkich, puszystych ciał — tak lekko, że żadne nie drgnęło w odpowiedzi. Potem pośpieszyła do otworu pieczary i skuliła się na czatach.

Spojrzenie jej pobiegło przez szczelinę pierwszego kanionu bukszpanowego, leżącego poniżej, potem opuściła gwałtownie wzrok na podnóże wzgórze, na bladozieloną mgłę uprawnej roli w dolinie, ku szarej pustyni z drugiej strony gór. Zielony pas pola łączył się zawsze z pojęciem "człowieka"... Tu, w górnej części świata, cóż miał do czynienia ów dziwaczny demon na dwóch nogach, który zakłada w ziemię zęby ze stali, by chwyciły nogi nieostrożnych, który zabija z daleka okropnym hukiem i ostrym, gryzącym smrodem?

Ale Czarny Wilk, ryzykant i szaleniec, pozostał na swym posterunku na przełęczy górskiej.

Wracaj! — jęknęła La Sombra.

Wrócił, z odwróconą ciągle głową, najeżony, mówiąc coś do siebie.

Nie opuścisz mnie chyba? — żaliła się. — Skurcz się, jeszcze cię zobaczą!

Spokojnie, ty mały głuptasku — odparł Czarny Wilk. — Wiatr przynosi inny zapach, czy go nie czujesz? Zapowiada wielkie kłopoty, bo Diabeł ma drugą parę oczu — psy.

Pozbyła się strachu i zwróciła się zuchwale w stronę bryzy. Z góry, z dołu, z jednej i drugiej strony odczytywała wieści z powietrza. Potem osunęła się na ziemię, a wzburzony włos opadł jej na szyję.

— Byłeś zawsze w półślepym w sprawach odległych zapachów — oświadczyła pewnym siebie tonem. — Tam jest tylko jeden pies.

— Tylko jeden? — uśmiechnął się Czarny Wilk, wywieszając język. — W takim razie pójdę i pomówię z tym wariatem, zanim podejdziesz zbyt blisko. A może nie będę zmuszony polować dziś daleko.

Nie chodź! — błagała La Sombra. — Tam, gdzie człowiek, tam i niebezpieczeństwo. Czyż matka nie umarła na moich oczach?

Ale on odszedł już czarną ścieżyną. Niedługo okrąży krawędź góry Spencera i przemknie wśród sosen na drogę, która wiedzie w kierunku wiatru zachodniego. La Sombra zadrzała znowu i wśliznęła się na powrót do jaskini. Tym razem małe zbudziły się, położyła się zatem, by je nakarmić. Legła w aksamitnej ciemności pieczary, obwąchując, liżąc je czule, w dwójnasób czule — teraz, kiedy wiatr przynosił wieść o nadciągającym niebezpieczeństwie. Kto wie, co dzień przyniesie?

Kiedy szczenięta pożywiły się do syta i zwinęły w kłębek do snu w ciepłe jej piersi i brzucha — wysunęła się szybkim, delikatnym a wprawnym ruchem i podeszła do wejścia jaskini. Co za straszliwa prawda! Gęsty dym drzewny kłębił się z jamy u zbrocza góry, przynosząc z sobą wyraźny zapach człowieka i jego przynależności. Dwa razy chciała podpełznąć na skraj pagórka, skąd mogła spojrzeć na dół, dwa razy zawiodła ją odwaga...

O zmierzchu Czarny Wilk zjawił się u wejścia do pieczary i zawołał. Żona podeszła natychmiast, obwąchała rzuconego na ziemię królika, a potem stopy męża.

Pfuj! — warknęła chrapliwie. — Twoje nogi i całe twoje ciało śmierdzi człowiekiem!

Rozpalił ognisko i narobił dymu w jamie — oznajmił. — Możesz poczuć wyraźny ten zapach. Leżałem tak blisko, jak stąd do tych oto trzech sosen na skraju wzgórza; leżałem i patrzyłem, dopóki czerwone głowy ognia nie stały się tak wielkie, iż strach skręcił mi wnętrzności. Upolowałem więc coś niecoś i podjadłem, upolowałem znowu i przyniosłem tobie.

Nie tknęła nawet mięsa.

A pies? — zapytała.

Jest to białe stworzenie — odparł — tak przesiąknięte odorem człowieka, że nie ma prawie własnego zapachu. Nie ma również odwagi: ze zwieszoną głową i zwieszonym ogonem czołga się u stóp człowieka. Nie wydaje żadnego dźwięku. Dwa razy mnie zwietrzyło, co poznałem po zjeżonej sierści, ale nie wydało żadnego dźwięku i szło dalej za człowiekiem. Nawet jak na psa jest to bezwstydne, bezduszne stworzenie! Nie będziemy mieli z nim kłopotu... Aha, małe obudziły się i gaworzą...

Daj małym święty spokój — burknęła La Sombra. — Jeśli pozwolę tobie i twym zębom zbliżyć się do nich choć o krok — nie jestem La Sombłą, lecz kojotem żywiącym się padliną! Wara! Odór człowieka, jakim przesiąkniesz, dusi mnie! Wara i trzymaj straż!

Podniosła królika i wróciła do swych młodych. Jednak ta okropna noc nie przyniosła La Sombrze wypoczynku. Słyszała głos człowieka, a dźwięk ten przytłaczał ją brzemieniem strachu do przemarzłej ziemi.

Wraz z chłodem świtu zjawił się Czarny Wilk, niosąc w zębach tłustego królika. Mimo jednak dokuczliwego głodu nie chciała jeść, nie wysłuchawszy przedtem nowin.

Suka oszczeniła się. Otaczają ją nagie, maleńkie, białe, podobne do niej stworzonka. Diabeł, do którego należy ten pies, pochyla się nad nim, karmi, on zaś liże go po rękach... Fe! Słabo mi się zrobiło na ten widok...

Te małe podrosną — jęczała La Sombra. — Co się stanie ze mną i moimi dziećmi?

Boisz się? — powiedział Czarny Wilk. — Z chwilą, gdy Diabeł tylko odwróci głowę, położę je wszystkie trupem.

Nastąpiło dziesięć dni dręczącego niepokoju. Codziennie, stojąc u wejścia jaskini, słuchała o "psie" coraz to ciekawszych wieści, łączących się z dawnym strachem przed człowiekiem. Co dzień Czarny Wilk wraz z pożywieniem przynosił La Sombrze nowiny o tym, jak Diabeł spędzał czas koło ogniska, jak odbywał krótkie wycieczki do lasu, gdzie zakładał niewielkie sidła, w które chwytał ptaki i króliki. Dopiero dziesiątego dnia Czarny Wilk spełnił to, co postanowił. Traper oddalił się od ogniska, wziął na ramię ów żelazny przedmiot, który mówi i zabija, i poszedł z nim w dal. Kiedy zamarły ostatnie odgłosy jego kroków w lesie, rabuś wstał i przekradł się do obozu. W miejscu, gdzie słońce przedzierało się przez drzewa i gdzie rozchodziło się ciepło od ogniska, na posłaniu z miękkich włókien kory leżał bullterier wraz ze swym potomstwem, pełzającym na krzywych nóżkach. Zmysły matki tak były przytępione ciepłem i zadowoleniem, że nie dostrzegła niebezpieczeństwa, dopiero gdy znalazł się prawie nad nią, zerwała się na nogi i ujrzała czarnego potwora.

Trzykrotnie większy od niej i pokryty najeżoną sierścią wydawał jej się przerażającym olbrzymem. Zanim zdołała rzucić nań wzrokiem — skoczył. Jednym uderzeniem barków rozciągnął ją na grzbiecie, nie trafił jednak do gardła, za to zęby jego jak ostry nóż rozcięły jej bok.

Brocząc krwią powstała na nogi. Może zdołałaby jeszcze skowyttem strachu przywołać Diabła — jej pana... Nie miała jednak zwyczaju wzywać pomocy. Wyszczrzyła w milczeniu zęby i oczekiwała drugiego ciosu, a kiedy wilk rzucił się na nią, wbiła mu się w przednią łapę.

W ciągu jego chwalebego żywota pięciokrotnie ścigała Czarnego Wilka zgraja psów, pięciokrotnie udało mu się pokonać przywódców i umknąć. Miały zbliżony sposób walki. Gryzły, sięgały coraz to gdzie indziej i gryzły znowu, zmierzając w stronę gardła; w takiej grze potężne jego zuchwy brały zawsze górę. Ta walka jednak dziwna była i nieznana... bolesne imadło ścisnęło jego nogę zębami, które wpijały mu się głęboko przez sierść, skórę, mięso aż do kości. Opadł go dziki strach i przygwoździł do ziemi, a bullterier tymczasem szarpał się i rzucał, usiłując dotrzeć do kości. Jak biały charczący demon — nie, raczej jak czerwony demon, gdyż zaostrome kły rozerwały ją na strzępy — przywarła do swej zdobyczy, a pomruk w głębi jej gardzieli brzmiał jak śpiew w uszach Czarnego Wilka: Śmierć! śmierć!

Szamotał się z nią i włókł po polanie. Potrącili namiot. Zwalił się z trzaskiem. Cisnął nią o drzewo, aż jękała, a z jękiem tym uszło z niej pół życia. Wpółmartwa, nie rozwierała jednak zaciśniętych szczęk. Potem, w szaleństwie bólu i strachu wilk chwycił zębami szczenię, które uciekało mu z drogi, i młode, wątłe życie zagasło w jego kłach.

W tejże chwili puściła jego nogę. Odskoczył kulejąc i ujrzał, jak zbliżała się chwiejnie do maleńkiego, martwego stworzonka i zaczęła lizać jego ciało. Potem Czarny Wilk przeszedł znowu do ataku i tym razem chwycił ją za gardło.

IV

Dziki zwierzęta jeszcze przed zgonem matki ukryłyby się skrzętnie po kątach i szparach. Drzemały w nich jednak długie, gnuśne pokolenia, gdy człowiek stał pomiędzy nimi a zagadnieniem bytu. Rozbiegły się więc i potykały to tu, to tam, poszczekując słabo ze strachu.

Tylko pierworodny, najstarszy, najsilniejszy i największy spośród wszystkich, zdecydował się uciekać, gdzie oczy poniosą. Zamiast instynktu — strach zesłał mu natchnienie.

La Sombra spoczywała na górze, na występie skalnym. Słyszała odgłosy, które sprowadziły ją na pole walki. Obserwując swego małżonka przy pracy, wywiesiła długi, czerwony jeźor i śmiała się, drżąc z uciechy. Nie zauważyła potykającego się szczenięcia, które z trudem gramoliło się po grudach śniegu na zboczu górskim. Słońce skryło się, padał drobny, świeży śnieg, może mgliste powietrze nie pozwoliło bystrym jej oczom śledzić maleńkiego stworzonka, które uciekło wprost do ich sanktuarium, skuliło się u otworu jaskini i weszło do środka.

Ciepło, które je tam przywiodło, wzmagało się coraz bardziej. Wreszcie szczenię dotarło do grupki miękkich, puszystych ciał, wtuliło się w nie, leżało jakiś czas, drżąc i dygocząc ze strachu, potem zamknęło oczy i usnęło.

Coraz gęściej i szybciej padał śnieg, cichy, wczesny zmierzch pokrył ziemię i skrócił dzień, a Czarny Wilk kroczył do domu, kulejąc u boku swej towarzyszki. Zatrzymał się dwukrotnie, dwukrotnie i czule polizła jego rany. Przyszli do jaskini w tej samej chwili, gdy od strony jamy zagrzmiął wściekły głos olbrzyma.

Co tam — rzekł Czarny Wilk. — Kto potrafi iść w trop po świeżo spadłym śniegu? Z pewnością nie człowiek, bo ten Diabeł jest ślepy i nie ma nosa... Nie żyją, nie żyją wszystkie, jest to sukces, którego nigdy nie zapomnę!

Obwąchał głębokie rany na nodze i pokulał dalej.

Nie żyją? — zawołała La Sombra, przy wejściu do jaskini. — Nie żyją wszystkie? A ja ci powiadam, że jedno z nich przyszło do naszego domu! Ślad jego jest tak wyraźny, jak zapach świeżej padliny.

I z jękiem, wydierającym się z głębi gardzieli, pośpieszyła do swych młodych. Gorączkowo szukała między nimi w czarnej ciemności pieczary, aż końcem nosa dotknęła miękkiego ciepłego ciała, gładkiego jak jedwab, niepodobnego do pokrytej puszystym futerkiem latorośli La Sombry. Kły jej obnażyły się natychmiast, ale nie ugryzły. Przybysz bowiem tak się wtulił między wilczki, że ostry ich zapach przytłumił właściwą jemu woń. Węch zaś stanowił dla La Sombry nieomylną księgę mądrości. Trzykroć obróciła stworzonko na wszystkie strony; zapach pozostawał bez zmiany. Potem przeszukała wszystkie zakamarki jaskini, ale ślad psa zaginął. Wróciła do Czarnego Wilka.

Jeśli nawet przyszedł — oświadczyła — to już poszedł. Na krótką chwilę, odkrywszy ów ślad, ujrzałam własne moje dzieci martwe i poturbowane, jak ten psi pomiot... Są jednak zdrowe i całe. Nie ma niebezpieczeństwa.

A terier spał jak gdyby nigdy nic... Przez następne dwa tygodnie białe szczenię przeważnie spało, budziło się zaś w głębokiej ciemności pieczary. Aż wreszcie pewnego dnia wilczyca wyгнаła młode na dwór. Pobiegły za nią dzielnie, aż stanęły drżące i oślepte od słońca. Zdumienie ich trwało jednak tylko chwilę. Tysiąc zapachów uderzyło powonienie, coś co w głębi jaskini unosiło się mgliste i dalekie jak senne majaki. Nagie piękno świata rozbłysło im przed oczyma.

A cóż to był za świat tego dnia majowego, gdy pasmo gór San Jacinto wyłoniło się spod białych kołder śnieżnych! Pagórki pokrywała wszędzie mgła usiana punkcikami dzikich kwiatów, z dziesięć strumieni, wezbranych wodami stopniałego śniegu, nuciło przeróżne melodie w rzadkim, górskim powietrzu, gdzie wszystkie odgłosy wydają się dalekie — począwszy od mrużącego basu wielkiego wodospadu, aż do dźwięcznych sopranów pobliskich strumyków.

Ale po chwili La Sombra przestała zwracać uwagę na chwiejne kroki swojego potomstwa. Wydała przeraźliwy okrzyk, na który otrzymała natychmiastową odpowiedź: ze środka kępi sosen skoczył Czarny Wilk na taras przed wejściem do jaskini.

Spójrz! — rzekła La Sombra. — Nie widziałam dotąd nigdy nic podobnego. Słyszałam o białych wilkach, ale okazało się, że są to zblakłe, żółtawe stworzenia... Za to my, mój drogi, wydaliśmy na świat prawdziwego białego wilka.

Czarny Wilk wygiął kark, a sierść zjeżyła mu się na barkach i wzdłuż grzbietu.

Wilk? — zapytał. — Wilk? La Sombro, wychowałeś psa, psa, jak te, które pozabijałem tam, w tej jamie!

Głos jego brzmiał tak ponuro, że szczenięta przykucnęły, stuliwszy czujne uszka na puszystych karczkach.

Wilk? — powtórzył ojciec rodziny. — Nie masz mojej krwi w podobnym wilku! Pozwól mi go usunąć, La Sombro. Jeśli by zauważono go w twojej rodzinie, stałabyś się pośmiewiskiem wilczego rodu! Pozwól mi go stąd zabrać i położyć na miękkiej trawce, ot tam, skąd może uciec.

La Sombra usiadła i przekrzywiła łeb w zamyśleniu.

Mówisz jak mężczyzna i jak głupiec — oświadczyła. — Myślisz, że matka mogłaby nie znać własnych dzieci? Gdy wszystkie inne płaszcą się i trzęsą — patrz, jak dzielnie to maleństwo staje przed tobą. Wara!

To ostatnie słowo brzmiało jak przestroga: gdy terier na swych niepewnych nogach ruszył w kierunku Czarnego Wilka, oczy potwora zabłyśły zielonkawym, wojowniczym światłem. Cofnął się jednak przed chrapliwym warknięciem La Sombry: już nieraz poczuł ostre jej zęby podczas rodzinnych sporów.

Oto mały, biały piesek podniósł główkę i — z ogonkiem drżącym z wysiłku — zaczął szczekać z wściekłą zaczeplnością. La Sombra podskoczyła, jak gdyby wpadła w potrzask.

Słyszysz? — warknął Czarny Wilk liżąc głęboką bliznę w przedniej nodze. — Czy to jest głos naszego rodu?

La Sombra wyciągnęła ostrożnie łapę, przewróciła szczenię na grzbiet i obwąchała je od stóp do głów.

Dziwne — rzekła z wahaniem — ale...

Przede wszystkim jest o połowę mniejszy od pozostałych — zauważył ojciec.

Sierść mu jeszcze nie urosła — dowodziła La Sombra.

Popatrz na te małe trójkątnie oczka i — pfuj! — spójrz na różowy nosek tego stworzenia, podobny do ryjka świni, jaką upolowałem ubiegłego lata.

Nie masz w sobie litości — rzekła La Sombra rozgniewana, bo czuła, że w głębi serca zgadza się ze zdaniem małżonka. — Wszystko, co młode, jest inne. Zostaw białego wilka

czasowi, niech podrośnie, niech stanie się sobą, a okaże się szczenięciem, z którego będę dumna. I spójrz, jak dzielnie bawi się z moim synem.

Biały pies upatrzył do zabawy największego z całej rodziny.

Twój syn ma zamiar go zjeść, widzisz? — roześmiał się szyderczo Czarny Wilk, gdy wilczątka chwyciło pieska za gardło.

Ach, ach — szepnęła matka. — Tę delikatną, białą skórkę... Musi się jednak uczyć — doświadczeniem. Nie ma dla dzieci nic ponad praktykę i spójrz, to maleństwo już mu się odwzajemniło!

Terier bowiem, który w milczącej męce znosił ostre, drapieżne zęby swego mlecznego brata, wywinął się wreszcie i zaatakował szerokie, miękkie, delikatne ucho przeciwnika. Wilczek biegał tam i sam, ciągnąc za sobą tę białą pijawkę i płacząc wzywając pomocy.

Czarny Wilk powstał z miejsca.

— Szczęki mnie swędzą, kiedy patrzę na to, La Sombro!

Spokój! — huknęła matka tak głośno, że szczenię puściło zdobycz i umknęło co tchu w krzaki, wywracając kozły po żółkłych igłach sosny. — Ani kroku dalej, mój drogi. Ja ciebie znam... Chciałbyś uraczyć się moim białym synem... Chodź, ty mały łobuzie!

Przygarnęła szczenię do siebie opiekuńczą łapą, położyła się i nakryła je lekko swym ciałem.

W tych rzeczach twoje słowo jest prawem — oświadczył Czarny Wilk. — Co się jednak tyczy polowania dla ciebie i potomstwa, to tak długo, jak to znenawidzone stworzenie będzie się zaliczało do twych...

Rób, jak uważasz — odcięła się La Sombra złośliwie. — Oświadczam ci jednak raz na zawsze, że ten maleńki mój synek o dzielnym serduszku droższy mi jest nad wszystkich. Ho, ho! patrz, co zrobił!

I z ucha najstarszego syna, tam, gdzie wpiły się zęby teriera, zlizwała dwie maluchne, jak od ukłucia, krople krwi. Czarny Wilk cofnął się i odszedł dumnie, z gniewnie i groźnie zjezoną grzywą... Od tego dnia nie dostarczył ani kaska swej rodzinie. Nie widywało się go tygodniami — wyłaniał się nieraz na wzgórzu, o zachodzie słońca, albo przemykał jak cień w zaroślach.

Mając do wyżywienia osiem gąb prócz siebie, La Sombra przechodziła ciężkie czasy, toteż schudła na wiór. Na szczęście tej pięknej wiosny szerokie łono gór Spencera obfitowało w drobną zwierzynę, a choć łączyła się z tym ciężka praca, choć żebra sterczały jej na bokach — karmiła jednak swe potomstwo mięsem. Pozostawało jej za to mało czasu na wykładanie im regulaminów oraz praw puszczy — i puszcza zabrała swe ofiary... Pierwsza tragedia rozegrała się na oczach matki wilczycy.

Przyniosła raz ćwiartkę jelenia, położyła się, by odpocząć i przyglądała się ośmiu młodym dzikusom, jak rwały mięso. Wtem cień jakiś spłynął z nieba i stalowe szpony wielkiego ptaka, co uwił swe gniazdo na skalistym szczycie góry Spencera, wbiły się w ciało najmłodszego potomka La Sombry. Skoczyła jak kotka. Za późno: rabuś wzbil się w przestworza i tylko zamierający okrzyk dobiegł uszu matki.

Drugie nieszczęście spadło na nią, gdy była daleko.

V

Tucker Crosden, wsparty na swym wielkim kiju, wpatrywał się w martwe szczenięta. Ułożył je rzędem i przyglądał im się z powagą.

— Wilki — rzekł — to swego rodzaju znawcy, o tak. Odróżniają dobre od złego... Leżą martwe, równym rzędem, jak prawdziwi dżentelmeni, ale najlepsze zostało zjedzone. Wilk powiedział sobie: "Wszystkie warte są, aby je zabić, ale ten — aby go zjeść!" I połknął go.

W tym miejscu zaczął się śmiać. Szalał, kłął i wściekał się, ile wlezie, nikt jednak by się nie domyślił, jak śmiech ten bliski był szaleństwa.

Później, osiadławszy kłapoucha, roześmiał się znowu na myśl, że wilk pozagryzał psy, a raczył zostawić przy życiu tego dziesięciodolarowego niewolnika.

Pozwijał toboły i ruszył w długą powrotną drogę.

Ktoś mądry byłby poradził Tuckerowi Crosdenowi, by został na miejscu i przetrwał w sobie gniew; nie znalazł się jednak taki prorok i doradca. Wyruszył zatem w dziewięciodniowy pochód do domu, w niziny. Dziewięć dni jednostajności, dziewięć dni milczenia — tylko gorycz osiadała mu na dnie duszy. Dopiero w Winnemago, Gannaway, wracając z Południa, spotkał olbrzyma, który kijem popędzał osła przed sobą. Coś w samym chodzie Crosdena wskazywało na niepowodzenia. Gannaway nie próbował nawet go zatrzymać, śledził go tylko wzrokiem pełnym niejasnych przeczuć.

Jedyny zatem człowiek, który mógł dać Crosdenowi sposobność do wyrażenia słowami stanu swojej duszy, rozminął się z nim, nie pozostawiając mu nic prócz... czynów.

Zakończył wędrówkę przez ten kraj kanionów bukszpanowych, zniżających się aż do zielonych pól uprawnych, i skierował się ku południowi, do swej miejscowości rodzinnej.

Farma Crosdena leżała na skrawku falistego gruntu, gdzie nawet drzewa rosły nisko i gdzie nigdy nie udawały się żniwa. Była to niegdyś rozległa miejscowość; dawno temu, kiedy jako młodzieniec osiedlił się i wpakował pieniądze w tę ziemię. Miał jej jednak coraz mniej: hipoteki zjadły ją po kawałku, teraz mógł nazwać swoją własnością tylko małą chatkę, szopy wokół niej i niewielkie pastwisko dla konia i kilku krów.

W oknie kuchennym się świeciło. Kiedy podłużny, żółty promień ukazał się wśród nocy, Tucker Crosden zatrzymał się i zapytał sam siebie, po co wrócił... Śmierć Nelly i szceniąt nie uczyniła zasadniczej różnicy w tej części pierwotnego planu, według którego miał udać się w góry i zastawiać sidła, aby zarobić dla rodziny. Bóg świadkiem, że potrzebował pieniędzy! Co powie teraz Karolina, ujrawszy, że wrócił nawet bez koziej skóry po tylu trudach i tak długiej nieobecności?

I olbrzym zawrócił w stronę gór, lecz gdy tylko to uczynił, wszystkie nadzieje zjawiły się przed nim niczym duchy. Przeraził się ich więcej niż śmierci. Odwrócił się więc ciężko i powłókł w kierunku domu.

Zapadła ciemna, ciepła noc, pierwsza prawdziwa noc wiosenna, a choć śniegi przestały tajać, ziemia nadal wchłaniała wilgoć. Drogi, które przeszedł w ciągu ostatnich trzech dni, pokrywała trzycalowa warstwa błota; każdy krok ważył funty, które krzepły mu na butach.

Ale ciepło, które otuliło pola, wróżyło, że budzi się życie i że niedługo ziemia pokryje się zielenią. Myśl ta nie sprawiła Crosdenowi radości. Jedno tylko dawało mu zadowolenie: pokonywanie okrutnego zmęczenia, jakie go przytłaczało, pobudzanie znużonych mięśni do wysiłku. Dotarłszy do szopy, ściągnął juki z osła i wypuścił go na pastwisko. Stał ze zwieszoną głową, zbyt strudzony, aby poszukać wody. Crosden zaś przerzucił ciężkie toboły przez ramię i udał się do domu. Nawet w tej chwili czerpał ponurą przyjemność ze świadomości, że dwóch ludzi zachwiałoby się pod tym ciężarem.

Pod zamglonym oknem kuchennym zatrzymał się i zajął do środka, nie mógł jednak nic dojrzeć. Rozróżniał tylko głos żony i ciotki Abbey, a usłyszawszy ten drugi — nachmurzył brwi.

— Idź do łóżka, Karolino.

— Jeszcze nie ma jedenastej.

— A cóż to za różnica? Po co siedzieć dłużej?

— Kiedy Tuckera nie ma w domu, czekam na niego do jedenastej. Gniewa się kiedy wraca do domu i nie ma mu kto nalać kawy.

Usłyszał sapanie ciotki Abbey:

— Hm, przecież Tuckera nie ma, Bogu dzięki, w domu!

— Och, nie mów tego, ciotko Abbey!

— Dzieciaku... Boisz się go, choć poszedł w góry?

— Nie sposób się go pozbyć. Ten dom cały jest nim przesiąknięty. Nie ma chwili, żeby mi się nie zdawało, że stoi — jakby to powiedzieć — za drzwiami, choćby był nie wiem jak daleko!

— Tak — dodała ciotka Abbey — niby jaka zmora... Straszny to był dzień, kiedy postanowiłaś wziąć takiego człowieka za męża.

W mrokach nocy czekał Crosden z zapartym oddechem na zaprzeczenie żony. Nie usłyszał go jednak, a prawda uderzyła go niby obuchem po głowie. Nieraz, uśmiechając się cynicznie, pragnął się dowiedzieć, co rodzina myśli o nim. O nienawistnym doń stosunku świata nabrał z czasem głębokiego przekonania, lecz ci, którzy mieszkali pod własnym jego dachem, pozostawali dla niego tajemnicą. Teraz zaś, kiedy nastroczała się sposobność rozwiązania zagadki — cofał się przed nią. I całym sercem zapragnął znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Usłyszał, jak ciotka Abbey rzekła swym cierpkim głosem:

— Nie powiesz tak, ale tak myślisz. A myśleć to to samo, co mówić... Tylko, że myśli nie wychodzą z głowy... Zatraciłaś sama siebie w obawie i nienawiści do tego człowieka.

— Nie mów o nienawiści, ciotko Abbey!

— Nazwij to inaczej. Wszystko jedno... nle widziałam to, jak na niego patrzysz? Jakbyś się bała, że cię lada chwila uderzy!

Tucker Crosden nieraz dostrzegał ten cień w oczach żony, a świadomość, że inni go widzieli, przeleciała niby wściekły huragan przez jego głowę. Podeszedł do drzwi, szarpnął je i schylił się, by wejść.

Ciotka Abbey pobladała. Pochodziła jednak z Crosdenów: ani mężczyźni, ani kobiety z rodu Crosdenów nie wzdrygali się przed niebezpieczeństwem.

Wstała, by zmierzyć się z potworem, a biedna Karolina skuliła się na krześle.

— Cieszy cię mój widok, co? — zadrwił Crosden. — Cieszy się obie. Widzę.

Grzmotnął ciężko tobołem o podłogę.

— Tuckerze — szepnęła żona — obudzisz ją.

— To co? — odparł. — Nie może to obudzić się i przywitać ojca?

Ale głos jego stracił na pewności. Cicho podszedł ku drzwiom w głębi pokoju i otworzył je szeroko. Dał się słyszeć tupot bosych nóg, tak, zbudził ją. Z okrzykiem szczęścia wyciągnęła do niego ramiona, kiedy jednak nie ruszył się na powitanie, ujęła wielką jego dłoń w swoje chude rączyny, odrzuciła w tył głowę i spojrzała nań uważnie.

— Znowu nie miałeś szczęścia — powiedziała. — Ale cieszę się ogromnie, że znów jesteś ze mną.

— Zaziębi się na śmierć — zabrzmiał tubalny głos ciotki Abbey.

Crosden nachylił się i jednym ruchem potężnego ramienia podniósł córkę. Spojrzał na jej opalone nóżki, zgrubiałe i zniekształcone od częstego chodzenia boso, popatrzył na chude, opalone uda pod nocną koszulką, potem na szyjkę tak cieniutką, że można by, zdawało się, policzyć struny głosowe, na drobną twarzyczkę, podobną ale ładniejszą od twarzy Karoliny, a wreszcie na śmiałe, piwne, crosdenowskie oczy. Nie była piękna, chwytła jednak za serce Tuckera Crosdena od chwili, kiedy jako trzyletnie dziecko rzuciła się na niego z zaciśniętymi pięściami, mszcząc się, że dał jej klapsa. Widział w niej tygrysięcę i kochał ją za to. Własna krew przemawiała do niego, pobudzając go zawsze do głośnego śmiechu.

Miała teraz dziesięć lat, nie nabrała jednak prawie wcale kobiecości.

— Spójrz na siebie z tymi brudnymi nogami — powiedział — pewnie przestałaś nosić pantofle.

Wyciągnęła rękę i wygładziła zmarszczkę na jego czole.

— A może się uśmiechniesz? — zaproponowała.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz jak błyskawica. Drżał z radości, że go tak dobrze znała.

— Masz także brudne ręce — ciągnął dalej. — Czy to krew?

— Tsss — syknęła. — Mama usłyszy.

Wyniósł ją z kuchni i położył na powrót do łóżka.

— No, a teraz mi powiedz — rzekł.

— Nie umyłam rąk wieczorem, bo chciałam je obejrzeć rano, tatusiu. To krew Sammy Maxwella. Zbiłam go na kwaśne jabłko.

— Nieprawda!

— Zdzieliłam go w sam nos. Ryknął tylko i zwiął.

— Ile lat ma Sammy?

— Przeszło jedenaście.

— Ach, Molly, z ciebie byłby dzielny chłopiec!

— Doprawdy? Doprawdy? Ach, jakżebyśmy się razem bawili, tatusiu! Czemu nie mogę się zmienić? Czemu nie mogę być chłopcem? — Wyprostowała się nagle, wyprężyła i pisnęła: — Będę chłopcem!

Na oślep zaczął głaskać ją po głowie, nie wiedząc, co robi, ale czując w ciemności dotknięcie jej włosów.

— Masz słuszność, będziesz. Nie wiem, ale chciałbym bardzo, żebyś się zmieniła, bardzo... żebra ci widać... czy za mało jadasz? Powinnaś mniej się bić i mniej łązić po drzewach, a więcej jeść. No, a teraz zapytam cię o coś.

Wielkie to pytanie wezbrało w jego duszy i dławilo krtań.

— Dobrze — rzekła Molly — wal śmiało.

Wstał jednak i potrząsnął głową.

— Zdaje mi się, że cię wcale nie zapytam.

— Naprawdę, tatusiu?

— Naprawdę, dziecinko.

Przy drzwiach zatrzymał się.

— Słuchaj, Molly, to co te kobiety wygadują, nie zawsze jest Biblią, rozumiesz?

— Czy rozumiem? — odpowiedziała Molly. — Ho, ho, czy ja rozumiem? Nie pytałam o Nelly — dodała szybko.

— Czemu, złotko? — udało mu się zapytać szorstko.

— Bo chowam dobre nowiny do rana.

VI

Zamknawszy drzwi, stał przez chwilę z ręką na klamce, wsłuchany w bicie swego serca. Dziękował Bogu za to dziecko. Nie zamydła jej oczu — myślał — zawsze będzie miała własny rozum i potrafi się nim posługiwać. Mniejsza o to, jak będzie wyglądała — czy jej miały kolor jak należy i w żyłach jej płynęła jego krew.

Wrócił do kuchni i spojrzał w błyszczące, zdenerwowane oczy kobiet.

— Pozwalałaś, żeby dziewczyna biegała tu jak Indianka — patrzył spode łba na Karolinę.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał ją strach, ciotka Abbey zaś wtrąciła szorstko:

— A kto rozpoczął to dzikie życie? Kto uczył ją boksu zamiast szycia? Kto namawiał ją do konnej jazdy i pływania, zamiast gotowania i zamiatania?

— Żałuję tego — odrzekł Tucker Crosden. — Może to i moja wina. Teraz biega po całej okolicy i dostaje odcisków na kostkach palców od bijatyk z chłopakami... Mam z nią kłopot nie lada. Serce mi pęka ze zmartwienia z powodu jej zachowania!

Odrzucił w tył głowę i ryknął śmiechem, aż pokój zatrzęsł się w posadach, a patelnie, wiszące czarnym rzędem wzdłuż ścian, dźwięczały z cicha, uderzając jedna o drugą.

Karolina widząc, że mąż jest w lepszym humorze, nabrała odwagi, by zbliżyć się i wyciągnąć rękę po kapelusz.

— Daj mi kapelusz i siadaj tutaj, a ja tymczasem przyrządzę ci filiżankę kawy. Mam też trochę ciasta, które tak lubisz. O raju, aleś ty zabłocony, Tuckerze! Spójrz na niego, ciotko Abbey, w życiu nie widziałam takiego człowieka.

Siadł przy stole oślepiiony światłem, wyciągnął olbrzymie swe łapsko w kierunku pieca i chwycił ciepło garściami. Upewniwszy się, że ta kobieta go nie kocha, dziwił się, skąd znalazł się w jej kuchni i dlaczego pozwala rządzić sobą. Ze zdumieniem przekonał się, że kawa na piecu pachnie tak ładnie jak zawsze, że ciasto ma swój zwykły, apetyczny wygląd. Skosztował okruszynkę, a potem duży kawał podobny do klina. Smak ciasta złagodził spojrzenie, jakim obrzucał Karolinę. Może tkwiła w tym wina ciotki Abbey — diabeł, nie kobieta. Mogła napędzić Karolinie różnych myśli do głowy.

— Abbey — powiedział z ustami pełnymi ciasta.

— No? — odezwała się ciotka Abbey wyprostowana na krześle, z grymasem obrzydzenia. Raził ją jego bełkot z pełnymi ustami.

— Śmieszne imię — Abbey.

— Naprawdę?

— Nie słyszałem, żeby która zameźna kobieta nosiła podobne imię!

Uśmiechnął się złośliwie na widok rumieńca, jaki powłókł jej zwiędłą twarz.

— Są rzeczy, o których nigdy nie słyszałeś! Między innymi o dobrym wychowaniu, chyba że znajdziesz się w towarzystwie psów.

Pointa tej repliki zirytowała go mocno i, spoglądając tępo wokoło, przypadkiem rzucił okiem na portret Króla zawieszony na ścianie kuchennej. Wstał i poszedł w tamtą stronę. Działał na niego jak zaklęcie. Było to zwykłe powiększenie fotografii, niewyraźne, pozbawione właściwej ostrości konturów, a mimo to miało w sobie pewien wyraz. Aparat uchwycił więcej niż podobieństwo teriera, uchwycił także jego duszę.

— Siedem miesięcy — rzekł Tucker Crosden z westchnieniem — pomyśleć tylko, czym byłby...

Urwał i wrócił na swe krzesło, pograżył się w myślach. Kawa była już gotowa. Zjadł ciasto i wypił ją hałaśliwie, nieświadomie jak zwierzę. Ciotka Abbey zagryzała wargi z obrzydzeniem.

— Miałeś choć trochę szczęścia? — spytała wreszcie Karolina Crosden.

— Jak myślisz?

— Jestem prawie pewna — odrzekła, pochylając się ku przodowi. — Nic innego nie sprowadziłoby cię tak prędko do domu, chyba, chyba że znalazłeś... może... parę srebrnych lisów...

Uśmiechnął się, patrząc na jej rozjaśnioną twarz.

— Albo może trochę droższej rudy?

Uśmiechnął się znowu.

— A może — dodała smutno — tylko dlatego, że jedno ze szczeniąt zapowiada się pięknie i chciałeś przynieść je do domu, aby mu się lepiej wiodło. Czy to było tylko to, kochanie?

Ujrzał twarz jej jak za czerwoną mgłą. We mgle tej białą małą, nieżywe ciało; błękitna sójka trzepotała w promieniach słońca...

— Wszystkie nie żyją — rzekł Crosden.

Karolina przymknęła oczy, a ciotka Abbey wybuchła:

— Szczenięta? Tam, w górze, w tym zimnym powietrzu górskim, nic dziwnego! Jaki wariat zabrałby je w góry, pytam? Ale Nelly miewa się dobrze, prawda?

— Nie martwisz się chyba o nią, co? — zapytał Crosden. Bawiło go to ciągle igranie z męką, podobnie jak walka ze znużeniem podczas powrotu do domu. Nie pojmował tylko, skąd, z jakiej głębi czerpał tyle świeżych sił.

— Nie przepadałam nigdy za tymi nieznośnymi, wąskookimi stworzeniami — rzekła ciotka Abbey — i nie udawałam, że za nimi przepadam. Zwłaszcza wtedy, kiedy widzę, że marnują niektórym życie.

Trafiła w najczulsze miejsce duszy olbrzyma. Wiedział, że kiedy się ożenił, Karolina była ładną dziewczyną. Wiedział również, że stała się znużoną kobietą o wylękłych oczach, a choć nie pojmował dokładnie, jak to się stało, to czuł, że go oskarżono o spowodowanie tej zmiany. I z głębin własnej duszy słyszał nieraz donośny głos oskarżenia, którego nie mógł zagłuszyć.

Karolina patrzyła na niego pełna trwogi i drgnęła, poczuwszy na sobie jego wzrok.

— Nie mów tego, nie mów o takich rzeczach, Abbey — szepnęła.

Oczy jej zasnuły się cieniem strachu, jak gdyby ujrzały wzniesioną na siebie rękę. Jego rękę na kobietę! Chłonał wściekłość i zgrozę — najlepszą mieszankę trucizny.

— Nie będzie cię bił, głuptasie — zapewniała ją ciotka Abbey. — Przecież to jednak Crosden... Co mnie wszakże dziwi, Tuckerze, to to, że nie sprzedasz tego psa. Jeśli przyniesie ci trzy tysiące — kupa pieniędzy! Czemu go nie sprzedasz i nie urządzisz rodziny, jak należy?

— A czy nie żyje, jak należy? — spytał Crosden.

— Spójrz na łatę na sukni twojej żony, na ten kolor, co kiedyś był niebieski, a zniszczył się, wyprał i stał się brudnobiały... Spójrz na swoją dziewczynkę: chodzi bez butów... Spójrz

na ten stół o jednej nodze, przymocowanej drutem... Spójrz na to wszystko, Tuckerze, a potem zapytaj mnie znowu, czy twoja rodzina przyzwicie żyje... Zresztą przytoczę jeszcze kilka powodów, dla których powinieneś być sprzedać to nędzne psisko! Mogłabym je wyliczać całą noc.

Odrzucił się w tył na krzesło, aż zatrzeszczało pod jego ciężarem, kiwał głową i uśmiechał się do niej w powstrzymany szaleństwie gniewu.

— Musisz mi wybaczyć, ciotko Abbey, a raczej musisz wybaczyć Nelly. Zdechła, uważasz, a zdechłe psy to nie to samo co żywe.

— Zdechła... — westchnęła Karolina. — Och, Tuckerze! Trzy tysiące dolarów gorzej niż stracone... Och!

Zerwał się z krzesła. Potrząsał olbrzymimi pięściami ponad głową, aż odbijały się o sufit z hukami.

— Nie straciliśmy nic więcej prócz pieniędzy! — wołał, a głos jego rozbrzmiewał niczym ogłuszający dźwięk dziesięciu rogów myśliwskich. — Karolino, nie widzisz w tym nic więcej?

Cofnęła się, stanął jednak nad nią i ryczał:

— Powiem ci więc, co tam było — krew, na Boga! Krew! Krew! Jej i moja. I te lata pracy, nadziei, modlitwy. Teraz powiadasz: trzy tysiące dolarów. Nawet trzy miliony nie powetowałyby tej straty, o ty, bez serca, spójrz na mnie!

Chwycił ją za rękę. Starął się postępować delikatnie, nie mógł jednak zmniejszyć siły swych ogromnych łapsk. Spojrzała nań, ale twarz jej zbieleła z bólu i strachu, a głos zabrzmiał ostro, przenikliwie.

— Nie zabijaj mnie, Tuckerze! O, Boże, daruj mi życie, nie myślałam nic złego, chciałam, żeby Nelly wróciła... chciałam...

Odsunął jej rękę, a siła tego ruchu porwała za sobą całe jej ciało i grzmotnęła nim o ścianę. Padła na kolana z okropnym, rozdzierającym jękiem.

Tucker Crosden bił sam siebie po twarzy. Diabeł, widać, wdał się w to, aby on uderzył swoją żonę, aby on uderzył kobietę — on!

I ze zdławionym okrzykiem wypadł z kuchni w mrok nocy.

Karolina nie mogła się ruszyć. Strach paraliżował w niej wszystko prócz szeptu:

— Zamknij drzwi... Poszedł do szopy po strzelbę. Wróci, aby zamordować nas obie.

Ciotka Abbey była wprawdzie kobietą, pochodziła jednak z rodu Crosdenów. Nie miała olbrzymiej postawy, za to kolosalną odwagę.

— Przydałoby się trochę mocnych zamków — rzekła. — Jeśli kopnie w ścianę, to tak jak w pudełko zapalek. Musimy jakoś zaradzić. Klin klinem.

Podbiegła do telefonu i zaczęła kręcić korbką.

Potem, przez trzy długie jak wieczność sekundy, czekała na odpowiedź.

— Halo, centrala? — zabrzmiał wreszcie jej spokojny głos. — Tutaj miss Abbey Crosden. Telefonuję z farmy Tuckera Crosdena, mego siostrzeńca. Oszalał. Uderzył swoją żonę. Poszedł po strzelbę, aby nas zamordować.

Zgrzyt w centrali wydał się ciotce Abbey niepożądaną przerwą w rozmowie. Usłyszała za sobą szept Karoliny:

— Och, powiedz im, niech przyjadą prędko! Prędko! Umieram, serce mi pęka!

— Centrala? Proszę słuchać. Wszystko od was zależy. Jak najprędzej zatelefonujcie do domów Morelandów, Burtonów i Charlie Heeneya. Leżą najbliżej stąd. Powiedzcie, żeby nie siodłali koni, żeby przyjechali na oklep. Mogą zdążyć w ciągu pięciu minut. Tylko wy możecie to uczynić. Do widzenia!

— To kłamstwo! — zawołał nagle piskliwy głosik. Odwróciła się i ujrzała w drzwiach Molly. — Nie ma w tym ani słowa prawdy. Mój tatuś nie skrzywdziłby nawet muchy! Nienawidzę cię, ciotko Abbey, i idę po niego.

— Zatrzymaj ją, Abbey.

— Molly, dziecko, nie chodź. Gdyby cię spotkał, nie wiem, co by zrobił.

— Chcesz mnie nim straszyć? Wyjdę, odzukam i sprowadzę go tutaj za rękę!

I Molly wybiegła w mrok nocy.

VII

Za szopą stał szereg niewielkich psich bud. Do każdej wiódł długi, wąski dostęp ogrodzony dziewięciostopową, mocną, gęstą drucianą siatką. Przy bullterierach nie można używać zwykłej siatki, bo wdrapują się na nią niczym dzikie wino i skaczą, jak gdyby miały skrzydła. Poza tym, siatka taka musi kończyć się stopę pod powierzchnią ziemi, bo jeśli terier postanowi wyjść — nie odstąpi od tego zamiaru, dopóki nie rozwiąże problemu. Pomimo tej przeczności niejeden pies Tuckera Crosdena podkopywał wyjście. Pierwszym sygnałem o jego nieobecności bywało wówczas pełne oburzenia wezwanie z sąsiedniej farmy.

— Jeden z waszych przeklętych białych psów zjawił się tutaj i zabił naszego Rexa na naszych oczach. Nie mogliśmy oderwać tego białego diabła...

Oto jak przedstawiały się przegrody dla bullterierów z takim trudem zbudowane przez ojca Molly. Ilekroć w domu zaszło coś przykrego — wiedziała, że zastanie go w pobliżu przegródki.

Drugie ulubione jego miejsce znajdowało się na mostku rzuconym łukowato ponad niewielką rzeczulką. Można go tam było zastać w dzień, a czasem w nocy. Podparłszy pięścią szeroki, mięsisty podbródek, wpatrywał się w wiry i bieg wód. Nocą jawiły mu się jak żywe, wijące się złowróźbne moce — dniem jak miła, zielona zagadka. Tej jednak nocy dziewczynka nie znalazła go na moście. Usiadła, jak to czyniła nieraz, i wpatrywała się w wężowe skręty strumienia i dumiała, gdzie podziewa się jej ojciec. I trwała tak zatopiona w domysłach i rozważaniach, aż minął czas, kiedy mogła spotkać Tuckera Crosdena i ocalić go przed nim samym.

Nie udał się do przegródki dla psów; nie żyły. Nie poszedł na most, nie chciał bowiem zaprzętać myśli dalszymi zagadkami. Pobiegł wprost na pola, gdzie pracował ciężko, a zebrał tak nędzny plon, na te same pola, gdzie po raz pierwszy się przekonał, że uczciwym trudem nie zawsze zdobywa się rzetelną nagrodę i gdzie wreszcie poznał Los w jego prawdziwej postaci — sprytnego oszusta.

Biegł, aż burza ucichła w jego głowie, potem zawrócił. Postąpił jak dziecko albo dzikus. Po trosze zaczął uwalniać się od trucizny, którą przesiał, a wracając powtarzał sobie słowa, które przynosiły mu pociechę: — Kobiety to przeważnie wariatki! Kobiety to przeważnie wariatki!

Przeszedłszy zaledwie połowę drogi, usłyszał tętent trzech koni w pełnym galopie, a zanim zbliżył się do płotu, nadjechał drugi pojazd pędzący z czterema ludźmi w stronę jego domu.

Na ten widok przyśpieszył kroku dziwiąc się, co się stało.

Obszedł dom i udał się w kierunku drzwi kuchennych, zdumiony szeptem podnieconych głosów wewnątrz domu. U wejścia do kuchni zastał dwóch ludzi; odskoczyli, kiedy wyłonił się przed nimi i usłyszał głos Sama — piskliwy i obcy ze strachu i wzburzenia.

— Z daleka, Tuckerze Crosdenie! Dostyć już nabroiłeś dzisiejszego wieczora!

— Słuchaj, Sam — rzekł olbrzym łagodnie — jesteś z głową nie w porządku... Można by pomyśleć, że się pali, patrząc na wasze zachowanie. Nic ci nie zrobię... Chcę po prostu wejść do domu.

— Nie wejdiesz! — krzyknął Sam. — Mam broń, Tuckerze. Ostrzegam cię, trzymaj się z daleka... Mam przy sobie broń i użyję jej, jeśli zbliżysz się choćby o krok!

— Sam — odpowiedział — zwariowałeś! Co ja zrobiłem takiego.

— Może pobicie żony nie ma znaczenia w twoich stronach — odparł Sam Watchet — ale tutaj strzeż się! I z daleka, Tuckerze Crosden, bo na Boga...

Fala szaleństwa przebiegła przez myśli Crosdena, gdy słuchał tych słów. Zatoczywszy się ku przodowi, usłyszał wystrzał i coś szarpnęło go za marynarkę. Wyciągnął rękę i jak dziecku wyrwał strzelbę z rąk niższemu mężczyźnie. Sam Watchet należał do wojowniczych. Podskoczył i objął ramionami ciało olbrzyma niby pień dębu. Towarzysz jego z okrzykiem zamierzył się kolbą, chcąc go trafić w głowę. Crosden wymierzył szaleńcowi policzek i człowiek, i strzelba potoczyła się w mrok nocy. Potem trzasnął pięścią w kark Sama i dzielny chłopiec skulił się na ziemi.

Następnie Crosden spróbował otworzyć drzwi. Zamknięto je na klucz i na zasuwkę, grzmotnął więc raz i drugi strzelbą, odrywając przy tym lufę jak kawałek papieru. Potem kopnął szczątki drzwi i otworzył je na oścież. Ujrzał przed sobą ludzi i połyskliwą broń, cisnął im więc w twarz resztki drzwi. Nagle uszy jego przeszył daleki kobiecy krzyk. Mężczyźni usunęli mu się z oczu. Zatrzasnęli i zamknęli na klucz drugie drzwi, wzburzone ich głosy, rady i rozkazy brzmiały z oddalenia. Crosden rozejrzał się bezradnie.

Cóż miał teraz zrobić? Mógł wywalić drugie drzwi, nie przyniosłoby to jednak żadnej korzyści, z wyjątkiem może zatrzymania jednego z tych durniów, co nazwano by morderstwem. Stopniowo jednak zaświtało mu w głowie, że nie zjawili się tu nieproszeni. Wrzask tej kobiety i jej histeryczny śmiech świadczyły o tym, że przybyli na prośbę jego żony, by wyrwać mu ją z rąk.

Świadomość ta niby miecz zraniła jego serce i niby miecz odcięła więź łączącą go z dotychczasowym życiem. Rozejrzawszy się wokoło, dostrzegł jedyną z przeszłości pamiątkę, jaką pragnął zachować na przyszłość: fotografię Króla na ścianie.

Wyrwał ją z ramy, złożył starannie i umieścił w przedniej kieszeni. Potem wyszedł przez szeroko otwarte drzwi. Dwaj mężczyźni jęczeli na ziemi, nie miał im jednak nic do powiedzenia. Dźwignął ciężki toból, zdjęty niedawno z grzbietu kłapoucha. Na pastwisku natknął się na siwka, przymocował tłumok i spojrzął bezmyślnie dokoła. Wszystko tonęło w ciemności z wyjątkiem najwyższych bastionów gór San Jacinto, wznoszących się ku gwiazdom wschodu. Odwrócił się w tamtą stronę, wyszedł na drogę i rozpoczął ostatni etap swej długiej wędrówki.

Ciało jego poniżej bioder zdrętwiało ze zmęczenia, nie zdawał sobie jednak z tego sprawy, każda bowiem chwila od powrotu do domu mijała jak błyskawica przed oczyma jego wyobraźni, oświetlając wydarzenia czerwonym płomieniem.

Potem usłyszał za sobą głos, na dźwięk którego się zatrzymał. Czekał, dopóki małeńka postać nie zbliżyła się ku niemu w ciemności.

— Och, tatusiu! — wołała Molly. — To nieprawda, co mówią, że Nelly nie żyje?

— Ona, hm, zapomniałem o niej — rzekł Crosden. — Pozwól mi jednak powiedzieć sobie coś ważnego. Jedno ze szczeniąt wyglądało jak Król, kiedy był mały. Wyglądało jak Król, ale jeszcze lepiej. Nie miało żadnych wad. Siedziałem często przy ognisku, trzymałem je w rękę, a ono ssało mój wielki palec, gryzło go zawzięcie. — O, Boże, mawiałem nieraz — jeśli ma ono jakie braki, wskaż mi je. — Nie miał jednak żadnego feleru. Był bez zarzutu. I, Molly, on też nie żyje, jak wszystkie!

Czekał. — Trzy tysiące dolarów! — powiedziałaaby jego żona...

A Molly?

— Biedny tatusiu! — rzekła. — O, biedny tatusiu! Pewnie serce ci pęka...

— Niech cię Bóg błogosławi, Molly! Idę i wrócę, kiedy będę mógł utrzymać cię jak wielką damę, czysto i wytwornie... Wierzysz?

Chwyliła go za poły płaszcza.

— Co będę robiła w domu, kiedy ciebie tak długo nie będzie?

— Widzisz, Molly, czy byłabyś tak niemądra, by włączyć się ze mną?

— Mam na sobie grube palto. Czegóż mi więcej trzeba? Czy nie mogłabym gotować i naprawiać ci rzeczy? Czy nie mogę robić nic lepszego, niż siedzieć w domu i patrzeć, jak mama płacze i załamuje ręce?

— A co się z nią stanie?

— Nic. Wróci do domu z ciotką Abbey.

— Nie, Molly. Ja nie mam racji. Doszukuję się dobrych i złych stron życia, ale cóż ja? Z tymi twardymi łapskami... Nie są stworzone do wychowywania dziewczynki jak należy.

— Nie ma na świecie rąk, oprócz twoich, które umiałyby mnie wychować tak, jak chcę!

Przepełniony bólem, wątpliwością i radością, nie zdołał odpowiedzieć. Spozrzegł jednak, że odszedł dość daleko z jej ręką uwięzioną w swojej. Choć zmęczona, walczyła jednak mężnie, by dotrzymać mu kroku po błocie.

Podniósł ją, chcąc posadzić na konia, zamiast tego jednak umieścił ją na potężnym swym ramieniu i kroczył z nią śmiało w ciemnościach nocy. Czuł się szczęśliwy i winny, ale duszy zamkniętej w ciele olbrzyma zdawało się, że gdyby czynił coś zdrożnego, gwiazdy nie lśniłyby tak jasno, a pogodne oblicze nieba zasłoby chmurą gniewu.

Kiedy sen zmorzył dziewczynkę, ułożył ją na tłumokach, a sam siedł z wolna obok konia, otoczywszy ją ramieniem. Ból i radość przepełniały mu serce.

VIII

Owego fatalnego dnia wilczyca wstała wcześniej, bowiem dzień ubiegły minął pod znakiem uciążliwych łowów i braku pożywienia. Podniosła głowę i spojrzała na swe młode, wyciągnięte we śnie u jej boku. W tejże chwili krótkie uszka nastroszyły się, błyszczące oczka się otwały, tylko ciało "białego wilka" między przednimi jej łapami pozostało nieruchome, drgnęło tylko we śnie. Dotknęła go czule nosem, dziwiąc się, że potrafi stawić czoło niebezpieczeństwom czyhającym w strasliwym świecie zewnątrz jaskini — niebezpieczeństwom, przeciwko którym natura wyposażyła go w tak przytępione zmysły! Nie poruszył się nawet, kiedy jej nozdrza dotknęły miękkiej, aksamitnej skóry, a kiedy wysunęła ostrożnie wszystkie cztery nogi, odwrócił się leciutko we śnie i przytulił bliżej do jej piersi.

La Sombra otworzyła czerwoną paszczę i roześmiała się z bólem i radością. Wstała, a biały wilk otworzył w końcu oczy i zmrużył je trwożliwie, widząc, że zmierza w kierunku wyjścia. Pierworodny, najsilniejszy ze wszystkich, o obwisłych uszach, natychmiast podążył jej śladem, odwróciła się jednak i szczypnęła go zębami tak mocno, że zaczął piszczeć.

Siedź spokojnie — warknęła La Sombra. — Nie rusz się, dopóki słońce nie zacznie przypiekać, potem uważaj, żebyś nie odszedł dalej niż o dziesięć susów od wejścia do domu; powietrze ranne pełne jest niebezpieczeństwa. — Znowu podniosła głowę i zaczęła węszyć. — Zdaje mi się, że zbliża się z doliny Siedmiu Sióstr, jeśli jednak będziecie cicho, jak przystoi małym wilczątkom, nic się wam nie stanie.

Gdy oddaliła się o krok — terier zaskowyczał. Wróciła zatem pędem, warcząc groźnie, kiedy jednak stanęła nad nim — roztajało w niej serce jak nieraz, za dawnych dni, przepelniała ją bowiem ta tkliwość, jaką matki żywią zawsze dla najgłupszego z dzieci. Jeno spojrzenie, podniesienie łapy, lekko wyszczerzone zęby wystarczały, by doprowadzić wilczęta do porządku. Z "białym wilkiem" rzecz miała się inaczej. Choć nakazała ciszę, nie przestawał płaszczyć się i skomleć, a ona zamiast szczypnąć go zdrowo zębami, jak powinna była uczynić dobra wychowawczyni, zaczęła lizać go po mordce i szeptać z głębi potężnej krtani:

Co to, głuptasku? Cóż ty tam widzisz w głębi swego serduszka, czego bystre oczy tamtych nie mogą dostrzec? O, ty dzielny, maleńki tchórz, ty mądry głuptasku, czy miała która matka taki krzyż pański, jak ja z tobą?

Potem zwinął się w kłębek do snu. Zauważyła, że nie szuka ciepła reszty potomstwa, że nawet trzyma się od nich z daleka. Podczas zabawy wolał bawić się kijem lub kamieniem, a kiedy nocą zwiwały się w kłębek u boku La Sombry, włożył zawsze na stałe miejsce między jej przednie łapy. Serce ją bolało, gdy patrzyła na śpiące szczenię — nie mogąc jednak pojąć przyczyny tego bólu — warknęła znowu (nie głośniej niż brzęk pszczoły) w przeciwną stronę wiatru. Potem wyszła z pieczary.

Najstarszy syn, o obwisłym uchu, od czasu gdy garniturek ząbków obcego, białego braciszka zostawił mu ślad na całe życie, obserwował matkę, jak przekradała się przez polanę

i jak na skraju lasu pogardliwie a daremnie skoczyła za wiewiórką, ta zaś szczeękła na nią z gałęzi. Wilczyca odeszła bezszelestnie, a syn jej wrócił do towarzyszy.

Nastała dla teriera pora chłódów, bo wiatr z południa i wschodu owiewał pasma gór San Jacinto i wsuwał swe lodowate palce do zacisznej jaskini. Mleczni jego bracia, przybrani w puszyste futra, nie zwracali uwagi na wścibski pęd powietrza, za to teriera każde jego dotknięcie przeszywało niby niewidzialny miecz. Związał się w twardy ciasny kłębuszek i cierpiał, drżąc, marszcząc nawet nos w swej rozpacz.

W końcu zapomniał o przestrodze La Sombry. Podpełził do wejścia jaskini i położył się do połowy w chłodnym cieniu, do połowy zaś w miłym ciepłe porannego słońca. Zasnął.

Na ten dowód niesłychanego zuchwalstwa małe wilczątko patrzyły ze zdumieniem i spoglądały po sobie, aż Miękkouszek podkraść się też na przód jaskini i stanął obok brata. Tkwiło w tym niebezpieczeństwo. Struna w jego sercu, poruszona warczeniem matki, drgała jeszcze, ale kiedy spoglądał wokoło, cieplej robiło mu się w duszy. Jeśli oko nie ujrzalo niebezpieczeństwa — nie istniało zapewne.

Wrócił pędem do rodzeństwa, żartobliwie dotknął nosem jednej z siostr i po chwili harcowały wszystkie w rozkosznym ciepłe słońca, zachowując jednak pewną ostrożność, bo od czasu do czasu wśród szalonej gonitwy wietrzyły nieznane zapachy dochodzące z nie odkrytych jeszcze światów na wschodzie i południu — tam, gdzie góra Dunkeld i San Jacinto dotykały nieba dumnym łańcuchem szczytów i gdzie daleko, na południo-wschód, góry Lawrence wznoszą się niby potworna okrągła piramida o wielkiej, białej czapie nasuniętej na oczy. A kiedy z dolin między czubami gór wiatr przynosił ostre i dziwne zapachy, rozbawiona młódź przykuciała nagle, wysunawszy w górę nosy, przytłoczona ciszą i dziesięcioma tysiącami stuleci świadomości.

Biały Wilk nie brał udziału w zabawie. Potrzebował więcej snu niż towarzysze, zresztą nawet wyspany nie uczestniczył w tych wybrykach. Nie cieszył się popularnością wśród rodziny: na mocy ogólnego porozumienia nie dopuszczano go do towarzystwa jako niepożądanego członka. A zresztą włączenie go do zabawy w "berka" nie przedstawiało żadnej prawdziwej przyjemności. NIGdy nie był "berkiem". Natura wyposażyła go w cztery nogi, a raczej w cztery drgające wiązki stalowych drutów i nerwów. Nie umiał biegać prędzej, umiał się za to dziesięć razy zwinniej wykręcać. Nieraz starały się dokuczyć mu z samej antypatii, ale zdawało im się, że zatapiają zęby w trzepocącym motyłu, w zeschniętym liściu, co wiruje w powietrzu, wypadłszy z rzucającej go o ziemię dłoni. A kiedy brał udział we wspólnej zabawie — nie wiedziały, co z tego wyniknie. Jędrne ciała wilczą opierały się bez szkody wszelkim ukąszeniom i szczypnięciom, za to najłżejsze dotknięcie zęba zalewało krwią jedwabistą sierść teriera i zamieniało go we wściekłego, małego diabełka. Nie skowytał, nie skomlał z bólu, ale w szatańskim milczeniu rzucał się na wroga i chwycił go gdzie popadło, zaciskał szczęki, zatapiał coraz głębiej zęby, przymykając oczy ze szczerzej uciechy. Toteż zostawiano go w spokoju. Nieraz wilczęta we trójkę lub czwórkę zaczynały go męczyć i tyranizować, ale nawet wtedy dawał sobie z nimi radę. W końcu uciekał w głąb pieczary, do szczeliny, która mogła pomieścić tylko jego samego i gdzie mogły się do niego zbliżyć tylko po jednym.

Leżał tego ranka śledząc je spojrzeniem, bolało go serce, że robią z niego pośmiewisko i z udaną obojętnością odwracał łebek w stronę gór i lasów, podobnych do gęstych cieni na zboczach. Wtem pisnęła wiewiórka na wierzchołku drzewa, a pisk jej zdradzał tak śmiertelną trwogę, że wilczęta przypadły plackiem do ziemi.

Ujrzały srebrną wiewiórkę, jak pędziła po ziemi i skoczyła na drzewo. Za nią biegło stworzenie — istny szatan: jedwabiste, niskie a długie, o węzowych ruchach głowy. Dopadłszy do drzewa, nie zatrzymało się, lecz skoczyło na nie jak wiewiórka. Bieganina i

szelest. Coraz wyżej. Potem pisk zamarły w połowie. Przerażone maleństwa pojęły, że dokonało się morderstwo.

Pierwszy odzyskał rezon Miękkouszek, wstał i zaczął skradać się w kierunku pieczary. Reszta poszła za jego przykładem. Jakże wydawał im się bezpiecznym mrok jaskini! Patrzyły na siebie rozumiejąc się bez słów. Mały, brązowy diabełek na sośnie nie zabił wiewiórki z głodu: miękkie, puszyste ciało wypadło z krwawych jego szczęk i spadało, objijając się o gałęzie, łowca zaś przyglądał się uważnie scenie rozgrywającej się na ziemi.

Miał bardzo mało czasu. Jaskinia znajdowała się w pobliżu, maleństwa mogły znaleźć tam schronienie lada chwila, toteż nie czekał, a szerokim, na dwadzieścia pięć stóp zatoczonym łukiem skoczył na ziemię. Stał szczęśliwie na nogi, mięśnie jego zwinęły się jak sprężyny i po chwili znalazł się wśród wilcząt.

Nie posługiwał się samymi szczękami, ale biegnąc, bił na prawo i lewo przednimi łapami, uzbrojonymi w pięć morderczych sztyletów. Siłą zadanych ciosów powyrywał szczeniętom zębra i gdy wszedł do jaskini — leżały martwe lub konały.

Biały błysk wskazał miękkouszkowi drogę, a kiedy terier dotarł do ulubionej swej szczeliny, wilczek poszedł w jego ślady, wsunął się głęboko, przytulił do mlecznego brata i drżąc z przerażenia, zbyt wielkiego, by znalazło wyraz w skowycie, wciągał zgnity odór oddechu sapiącego kota. Pazur jak ostrze noża przeciął skórę na grzbiecie Miękkoucha, który osunął się z jękiem na Białego Wilka. Niebezpieczeństwo wzrastało z każdą chwilą, gdyż po bokach szczeliny kruszyły się kamienie, a silne łapy pekana mogły w ciągu pięciu minut rozszerzyć przejście. Ale Opatrzność wyciągnęła zbawczą dłoń nad dwójką drżących zbiegów. Nagle wiatr przyniósł od strony szczytu Dunkeld silny, głęboki i złowroźny odgłos — zew polującego wilka.

Pekan zaczął się wsłuchiwać, zwinął się w kłębek, a potem wciągnął głęboko zapach wilków, które przejęły go grozą i strachem. Nie należał do tych, co cofają się przed najśmielszym wilkiem z gór, ale dreszcz nim wstrząsnął na myśl o zbolałym, oszalałym macierzyństwie.

Rzucił ostatnie, spragnione spojrzenie w kierunku szczeliny. Potem wymknął się na światło dzienne. Leżały przed nim martwe, okrwawione ciała. Jak winowajca wśliznął się w zbawczy cień lasu.

IX

Dzięki bogatej dobroci natury, serce wilczycy wezbrało tylko raz jeden nad trupkami zmarłych dzieci. Potem zaprowadziła dwoje pozostałych do jaskini wśród brunatnych skał w kanionie Dunkeld i poświęciła się im z radością, maconą tylko wtedy, gdy o zachodzie słońca spoglądała na wyłaniającą się z mroków góry Spencera i gdy wspominała tragedię, która rozegrała się w ich łonie. Przeszłość i przyszłość istniały dla niej jako niewypełniona przestrzeń marginesu, naprawdę liczyła się tylko obszerna stronica terażniejszości. Prócz tego przypadła jej w udziale olbrzymia praca wychowawcza — większa od pracy przeciętnej wilczycy. Biały potomek stał się dla niej bolesną zagadką.

Miał "ślepy" nos, pierwszy i niewątpliwie największy handicap. Poza tym nie miał za sobą podejrzliwości milionów pokoleń i jeśli nie szeptała mu tysiącrotnie: cicho, cicho! Spokojnie, Biały Wilku! — szedł przez krzaki z hałasem jak miś na polowanie. Następnie miał rozpaczliwie krótkie nóżki i taki sam oddech. Wilczyca lubiła jednak mawiać, iż mądra głowa wystarczy wilkowi i za zęby, i za nogi — spędzała więc czas na nabijaniu bullterierowi głowy swą nauką. Była co prawda jeszcze młoda, ale miała doświadczenie, polowała już począwszy od zachodnich pustyń aż do gór Winnemago na dalekim północo-zachodzie. Dzieliła się więc ze swym przyrodnym synem wszystkimi nabytymi wiadomościami. Co do Miękkouszka — ten miał dziewięć dziesiątych wszystkich wykładów na końcu pazurów. Białego Wilka trzeba było uczyć ryc ziemie w poszukiwaniu myszy, polować na króliki, co wymagało większej cierpliwości i zręczności niż pośpiechu, notować w pamięci drzewa, wody i kryjówki. Trzeba go było uczyć, że jeżozwierz nie na darmo grzechocze kolcami i że skunks nie bez powodu nie obawia się niczego pod słońcem.

Biały Wilk zresztą, w zamian za swe braki, posiadał pojętny umysł i wyjątkowe uzdolnienia: potrafiłby charta wyprzedzić o sto jardów, odznaczał się odwagą lwa, zręcznością i umiejętnością chwytu paraliżującego przeciwnika, o czym przekonywał się stale Miękkouch podczas sporów rodzinnych.

Lato i wczesna jesień stały się porą radości dla teriera. Wyczyny jego zabiłyby sto razy psa wychowanego przez człowieka, Biały Wilk jednak wyrósł wielki, silny i masywny. Wałęsali się tedy doliną Siedmiu Sióstr, aż nadszedł dzień październikowy, pora roku, kiedy młode wilczki zaczynają zdradzać pewną niekarność i chęć chodzenia własnymi drogami.

Owego dnia biegł przed wilczycą w kierunku Jeziora Pekań w dolinie Siedmiu Sióstr.

Masz iść za mną — strofowała go zdyszana. — Nie gryzłam skał i nie stępiły mi się zęby. Nauczę cię moresu!

Ale młodzian cwałował.

Czuję królika w powietrzu — rzekła — czuję chęć morderstwa w kościach.

Miękkouch, wskoczywszy na szczyt niewielkiego wzgórza, padł plackiem na ziemię, z pomrukiem zdziwienia i strachu. Wilczyca opadła również na ziemię. Tylko terier biegł, badając wiatr. Wreszcie zwęszył jakiś zapach, nie przypadł jednak do ziemi, a stanął

wyprostowany, obserwując teren. Wśród drzew wiła się cienka smuga dymu, który przynosił z sobą woń nieznanego dotychczas zwierzęcia i uczy, złożonej z nieznanych potraw.

Padnij! — poleciła wilczyca.

Padnij, padnij! — dyszał Miękkouch. — Brzuch przywarł mi do grzbietu i grzywa mi się jeży. Nigdy jeszcze nie czułem tak ohydny zapachu.

Mylisz się — rzekł terier. — Przejmuje mnie nie strachem, lecz radością. Ach, co to jest?

Po lesie rozległ się huczący, dźwięczny odgłos.

Nie czujesz strachu? — zapytała wilczyca szczerząc zęby — to co słyszysz, to potwór ostrzący szpony... Tssss!

Jakby daleki szum wichru, potem trzask i huk, od którego zatrzęsała się ziemia.

Terier uskoczył sztywno w bok i nadstawił uszu.

Co to?

Ściął drzewo. Boisz się? No, to przyczołgaj się tu do mnie i popłacz sobie trochę. Nie masz wcale rozumu w tej swojej głupiej główce? A Miękkouszek czy nie wiedział o tym? Czy nie wiedziałam również, kiedy dawno, dawno po raz pierwszy poczułam ten zapach? A teraz chodźcie ze mną i zostawmy za sobą to przekleństwo! Jedno tylko wam powiadam: nadszedł dla nas ostatni dzień spokojnych łowów w dolinie Siedmiu Jezior.

Powiodła je, szybka jak wiatr, na wzgórze Dunkeld. Tam położyły się w małym topolowym gaiku i lizały trawę wilgotną od rosy, bowiem zapadał mrok. Przed nimi złoto i purpura jesieni bladeły w ciemnym błękicie i purpurze nocy.

Nie wspominałam nigdy o tym, nie ma bowiem sensu mówić o czymś, czego się nie widziało i nie poznało — rzekła wilczyca. — Jedno wam tylko powiem: matka moja zginęła na moich oczach, schwytana przez tego potwora, i te zęby, jakie zakłada w ziemi u wejścia do jaskini. Skórę mojej matki suszył na słońcu. Ja, La Sombra, przyczołgałam się do stóp drzew na skraju lasu i przyjrzałam się jego twarzy!

I wzdrygnęła się na całym ciele.

Dziwna rzecz — szepnął Biały Wilk. — Chętnie pobiegłbym w stronę tego dymu. Podoba mi się bardzo. Ślinka idzie mi do ust i lekko mi na sercu.

Trzeba być skończonym idiotą! — zadrwił Miękkouch i uskoczył w sam czas, gdyż białe zęby przyrodniego brata kłapnęły w miejscu, gdzie przedtem znajdowała się jego noga.

Nie czas na głupstwa — mruknęła La Sombra. — Spójrz w górę, synu, i powiedz mi, co widzisz?

Tylko orła, co mieszka na skałach u szczytu góry Spencera.

Gdyby ten człowiek miał orle skrzydła, w szponach siłę niedźwiedzia, zbroję jeżozwierza, odór śmierzdźla i jad węża — bałbyś się go, maleńki?

Tak — odparł pies — gdyby tyle okropności mogło zmieścić się w jednym stworzeniu.

Opowiem ci coś — rzekła wilczyca. — Widziałam go, jak stał nie dalej niż stąd do tego zwalonego drzewa, i jak błyskiem ognia i hukiem gromu zabił niedźwiedzia za jednym zamachem.

Terier oblizywał swe cienie, czerwone wargi.

To jest najdziwniejsze ze wszystkiego — oświadczył.

Nawet żelazo służy mu niewolniczo. A tam, gdzie żelazo — tam i śmierć! Kiedy rozniesie się ostry, gryzący zapach, który wysusza gardło i drażni nos — to znak, że człowiek ma przy sobie huk, co zabija z daleka.

Powiedz mi — wtrącił Miękkouch — czy jest o wiele większy od niedźwiedzia?

Gdyby ojciec twój stanął na dwóch tylnych łapach, nie okazałby się niższy od niego.

A czy grzechocze kolcami, kiedy chodzi? — zapytał terier.

Natura nie wyposażyła go w kolce. Ma ciało miękkie jak królik albo świnia domowa, której jeszcze nie skosztowałeś, a mięso jego jest obrzydliwe. Ma powolny chód, a o bieganiu nie warto nawet mówić. Posiada jednak niewolników i ma diabła w sobie!

Czyś widziała go z bliska? — zapytały razem.

Pewnego straszliwego dnia biegłam w myśliwskim zapędzie z wiatrem i znalazłam się nagle przed człowiekiem. Nie miał przy sobie huku, co zabija, inaczej padłabym natychmiast trupem, nosił jednak z sobą ząb, którym ścina drzewa. A przecież było to niczym.

Matko — rzekł terier — rozglądasz się na wszystkie strony, jak gdybyś się czegoś bała.

Pilnuj swego nosa, jak przystoi dobrze wychowanemu wilkowi — burknęła — i daj mi święty spokój! Powiadam wam: kiedy ta bestia człowiek spojrzał na mnie, coś wyszło z jego oczu i weszło w moje, obracając mi serce w kamień. Nie mogłam ruszyć się z miejsca. Nie mogłam mówić. A siła jego spojrzenia tak owładnęła moim wzrokiem, jak prąd strumienia miota zeschniętym liściem. Czułam się chora. Potem krzyknął i odzyskałam tyle sił, by uciec. Ale nie zapomniałam! I wolałabym się znaleźć w szponach lwa górskiego niż we władzy oczu człowieka.

Uwaga! — rzekł Miękkouch czołgając się na brzuchu — coś się rusza w tamtych krzakach. Co to?

To jeleni wkroczył w dolinę i Miękkouch rzucił się na niego ze skowytym wściekłego zapachu.

Wracaj! — krzyknęła matka wilczyca. — To tak, jakbyś się uganiał za jastrzębiem o tej porze roku.

Miękkouch zawahał się i pobiegł dalej.

Czekali długo, a potem usłyszeli jego daleki zew. Wilczyca zerwała się natychmiast na nogi.

To głos wilka, który poluje tylko dla siebie — rzekła. — Nie wróci już nigdy. Czas na niego. Kiedyż i ty odejdziesz, mój synu?

Czemu miałbym cię opuścić? — spytał Biały Wilk nieśmiało, zwiesiwszy głowę i chciał przysunąć się do niej, warknęła jednak i uskoczyła w bok.

Bo świat jest ci potrzebny i ty światu, aby nauczył cię tego, czego nawet La Sombra nie wie i nie umie. Najważniejsze zaś, Biały Wilku, to: zabijać albo zostać zabity! Odejdź! Krew się dzisiaj we mnie burzy.

X

Biały Wilk spał. Sen jego był — jak na psa — bardzo lekki, jak na wilka zaś — kamienny. Kiedy obudził się rano, okazało się, że La Sombra znikła. Nieraz oddalała się wcześniej, o brzasku, bo królik, któremu w południe wiatr przypina skrzydła do nóg, rankiem bywa ślamazarą. Terier jednak pamiętał, co słyszał dnia poprzedniego i nieobecność jej przejęła go nie obawą a podniętą.

Pośpieszył na skraj wąwozu i rozejrzał się na wszystkie strony. Pod nim płynęła w cieniu rzeka obrzeżona białą pianką z każdej strony, a szum wód dochodził smutnym szeptem do jego uszu. Biały Wilk zawrócił, opuścił wąwóz i pobiegł co tchu na północ, przez wzgórza Dunkeld aż na brzeg doliny Siedmiu Jezior. Osłabły siadł na brzegu łagodnej spadzistości pagórka i wpatrywał się w przepyszne jesienne kolory przeplatane srebrem siedmiu jezior. Wśród nich snuły się mgły października, mienąc się różowym ametystem poranka. Biały Wilk jednak nie zwracał tego dnia uwagi na piękno natury.

Dokąd udała się matka wilczyca? A może opuściła go na zawsze? Tak jak Miękkouch, bez uprzedzenia, rozmyślnie...

U szerokiego podnóża góry Spencera mieściła się maleńka zatoka, gdzie chętnie zbierały się króliki i skubały wyborną rzeżuchę, która rosła w tym miejscu. Często przychodziły tu jelenie, by napić się wody, i ostrożny myśliwy mógł napadać na nie z ukrycia, gdy zanurzały lśniące nozdrza w wodzie. Był to ulubiony teren łowów wilczycy. Ilekroć tęsknota za zwierzyną nawiedzała ją nocą, zakradała się tam rankiem, toteż w kierunku Króliczej Zatoki skierował terier swe kroki i przebiegłszy z pół mili omal nie padł ofiarą strasznego wypadku. Jakieś niskie, szare stworzenie poruszyło się po drodze i cofało niezgrabnie w jego stronę. W ciągu dziesiątej części sekundy Biały Wilk dojrzał niebezpieczeństwo i usunął mu się z drogi z szybkością, na jaką nie zdobyłby się nigdy prawdziwy wilk. Poczul ostry odór, usłyszał lekki grzechot kolców i znalazł się zaledwie o cal od wymachującego ogonem jeżozwierza.

Dotarł do Króliczej Zatoki, przemierzył ją beztriosko kilka razy, jednakże nie usłyszał dobrze znanego głosu wilczycy, ani jej nie spotkał. Wszedł więc na stos złomów skalnych, przykucnął na najwyższym z nosem skierowanym ku niebu i przymkniętymi z niepokoju oczyma. Brzuch podnosił mu się i opadał, kark wzdął się i zjeżył. Z największym wysiłkiem wydał z siebie głos — naśladownictwo strasliwego wycia wilka. Udało mu się doskonale, wyjąwszy ton końcowy, któremu zabrakło upiornej grozy; wśród dziesięciu tysięcy wilczyca byłaby z pewnością rozpoznała zew swego mlecznego syna.

Wsluchując się jednakże w zamierające echo — nie pochwycił sygnału w odpowiedzi. Teraz wiedział już na pewno, że odeszła. Jakiś czas leżał na złomach skalnych. Czuł, że serce mu pęka, że skona z bólu i zgryzoty, więc zszedł w dolinę Siedmiu Sióstr, oślepy z żalu, pędząc przed siebie z wiatrem w rozpaczliwej nadziei, że natrafi na ślad La Sombry.

Królik wyskoczył mu spod nogi i jak szalony umknął przed niebezpieczeństwem. Nie obeszło go to, nie miał tego dnia apetytu. Nie zatrzymywał się, aby ugasić pragnienie, dopóki wyschłe gardło nie zaczęło mu doskwierać.

Cienie południa zmalowały wokół drzew, garnąc się im do stóp, popołudnie owionęło ziemię skwarem, złocisty wieczór przeszedł w mrok pełen melancholii, a znużone szczenię tułało się po lasach.

Zgłodniały ryś, skulony na niskiej gałęzi, wyprężył się na widok białego jak błysk światła stworzenia wśród drzew, ale wiatr uderzył go w nozdrza wilczym zapachem, ostrzejszym niż zapach psa. Ryś schował pazury, skulił się na swej gałęzi. Z wilkiem była trudna sprawa. Twarda potrawa. Mięso jego mogło zimą przydać się na czarną godzinę, ale nie służyć jako danie w październiku!

I Biały Wilk uniknął zawisłego nad nim niebezpieczeństwa.

Wyszedł z lasu, okrążył go i błądząc wśród skał, usłyszał nagle syk i grzechotanie. Zatoczył się na zeszywniałych ze strachu nogach. Ostrożnie, bracie — szepnął grzechotnik — nogę masz twardszą od mego grzbietu. Uważaj, byś nie stąpnął tutaj, albo nie będziesz stąpał w ogóle!

Po tym ostrzeżeniu pies cofnął się znów w stronę drzew.

Był to wielki las z olbrzymimi srebrnymi jodłami wznoszącymi się aż do nieba. Biały Wilk rzucał na nie przelotne spojrzenia, na gwiazdy, które zaczynały świecić blado nad ziemią. Pod drzewami panowała jednak głęboka noc i tylko szczęśliwym przypadkiem terier uniknął zięjącej paszczy niebezpieczeństwa. Ujrzał je na tle bielejących wód jeziora Preston, jaśniejącego pośród drzew niby polerowany metal. Na pierwszy rzut oka wydało się szczenięciu tak wielkie jak ponura sylwetka niedźwiedzia — naprawdę jednak skoczył ku niemu na polanę duży wilk, masywny i silny, strojny w zjeżoną grzywę.

Terier przypadł plackiem do ziemi i, bijąc ogonem na znak zgody, jęczał: Jestem twoim szczerem przyjacielem. Nie będę ci szkodził. Nie pragnę niczego więcej, jak usunąć ci się z drogi.

Aha! — warknął olbrzym — nie jesteś ty czasem tym podłym nieprawym dzieckiem La Sombry! Tak, rozróżniam w tobie jej zapach. To pewne, tak pewne, jak trudne jest polowanie na kojota. La Sombra nazywa cię Białym Wilkiem i ośmiesza się tymi głupstwami przed całym pasmem gór San Jacinto. Ma dość ujmujący sposób bycia, ale w gruncie rzeczy jest głupia.

Już idę, proszę bardzo — szepnął terier z westchnieniem, podnosząc się nieco na nogi. — Czekają na mnie. La Sombra się rozgniewa i gotowa mnie ukarać.

Stop! — warknęło wilczysko. — A więc myślisz, że zmarnowałem tyle czasu śledząc i oczekując chwili, kiedy będę mógł cię przyłapać z dala od zębów tej bystrookiej sekutnicy i teraz pozwolę odejść? Nie, mój mały! Już La Sombra ciebie nigdy nie ukarze. Ja, Czarny Wilk, nie pozostawię jej nic więcej prócz krwawej plamy, po której będzie rozpaczać.

Biada mi — jęknął terier — czy nie pochodzę z waszego rodu? Czy La Sombra nie jest moją matką? Chcesz zamordować mnie tu, w mroku leśnym, choć nie uczyniłem ci najmniejszej krzywdy?

Nie myśl, że masz do czynienia z kobietą — odrzekł potwór. — Jeśli nos mi powiada, że jesteś wilkiem, twierdzi również, że jest to zapożyczony zapach i że skóra twa kryje psa, psa, co nie przyniesie mi nic dobrego. A teraz, łotrze jeden, stań i walcz o swoje życie, albo wezmę cię za kark i przetrączę grzbiet.

Uczynił kilka kroków w stronę skulonego szczenięcia. Bolesny jego jęk nie wzruszał okrutnej duszy Czarnego Wilka — skoczył, a zęby jego załśniły nad przyrodnym synem jak zamglona błyskawica.

Nic nie usprawiedliwi tego, co się stało. Nic — tylko najwyższe niedbalstwo. On, który jednym kłapnięciem zębów wrywał funty ciała z wyprężonego uda byka w pełnym galopie, on, który za jednym zamachem odrywał ścięgna od nóg łosia, on, którego skok uzyskał

przysłowiową pewność — skoczył tak niedbale, że musnął pazurami grzbiet szczenięcia, ono zaś niby srebrno-biała smuga umknęło co tchu z głośnym szczekaniem.

Biały Wilk biegł na oślep. Ubiegł już ze sto jardów, zanim wróg zdołał się odwrócić i nabrać rozpędu, krótki jednak oddech szczenięcia nie osiągnął jeszcze swej doskonałości, toteż wkrótce usłyszał za sobą ciężki i chwiejny galop Czarnego Wilka.

Pozostać w lesie — równało się śmierci. Skręcił więc i z tak ogłuszającym pluskiem skoczył w wodę jeziora Preston, że wystraszone ryby skryły się w tajemne i bezpieczne zakamarki ciemności. Czarny Wilk, wypadłszy z lasu na otwarty brzeg, ujrzał swoją ofiarę przecinającą wodę niby nóż i zdążającą ku małej, pobliskiej wysepce. Rzucił się w pogoń za nią. Nie lubił wody w tej postaci: zlepiła mu sierść, przejmowała chłodem aż do szpiku kości i przytłaczała go w okropny sposób, mimo to chronił się nieraz w nurty rzeki przed pościgiem psów. Szalała w nim żądza krwi, płynął z trudem, gnany nienawiścią i niepokojem.

Posunął się naprzód, chociaż nie dość szybko, i zbliżywszy się do brzegu, ujrzał szczenię, jak wygramoliło się z wody i stało drżące w świetle gwiazd. Owładnęła nim wielka, choć spóźniona radość. Parł naprzód przez wodę, uderzając w nią łapami mocnymi jak dłonie człowieka. Zbliżywszy się do wyspy — poszukał dna, nie znalazł go jednak. Gdyby się pośpieszył — stanąłby oko w oko z nieprzyjacielem.

Na małej wysepce oblanej zewsząd wodą nawet szczur czułby się bezpieczny, toteż terier nie miał zamiaru umierać bez walki. Próbował upokorzyć się, lecz nadaremnie, próbował uciekać, lecz krótkie jego nóżki nie dotrzymały pola krokom tego dryblasza. Nie pozostawało nic innego jak walka. Samo oczekiwanie wprawiło go w stan zachwytu. Podrygiwał jak w słońcu. Dygotał ze strachu i rozkoszy. W bladym świetle gwiazd oczy jego nabrały zielonkawego blasku, gdy podążał w ślad za Czarnym Wilkiem na brzeg wody, warcząc cienko a przeraźliwie.

Dwukrotnie władca gór San Jacinto podkładał się do brzegu i dwukrotnie cofał się przed wyzywającym staccato Białego Wilka. Nie bacząc bowiem na potężne rozmiary, poddawał się naturze swego rodu. Wilk jak Indianin jest odważny, nie lubi przegranej. Ceni tego wojownika, co zabija, ciesząc się całkowitym bezpieczeństwem. A połyskliwe kły białego psa wydawały się Czarnemu Wilkowi ostre jak noże.

Okrażył wysepkę. W jednym miejscu trafił na bród, w chwili jednak, gdy — starając się zachować równowagę — chciał rzucić się na wroga, wpadł w głębokie, grząskie błoto. Tymczasem opuściły go zupełnie siły, więc zawrócił do przeciwległego brzegu, otrząsnął osłabłe boki, aż woda bryzgnęła we wszystkie strony, i zawył drżąc, przeraźliwie do gwiazd.

Ty wielki, czarny tchórze! — zaszczekał Biały Wilk zabawnym swym sopranem. — Napastniku! Nędzniku! Niech tylko nabiorę sił, a zacznę cię tak prześladować jak ty mnie, synu kojota! Gdy usłyszysz mój głos, to będziesz modlił się o dłuższe nogi. Ukryjesz się w błocie i będziesz tarzał się w nim niby chory niedźwiedź w nadziei, że przejdę mimo. Umrzesz jednak niewątpliwie z gardłem przegryzionym mymi zębami!

Tak mówił Biały Wilk, podrygując w ekstazie triumfu na skraju małej wysepki, a złośliwość jego mowy wywołała istny wrzask wściekłości ciemnowłosego olbrzyma z przeciwległego brzegu. Na krzyk ten odpowiedziało przeciągłe, łagodne wycie.

La Sombra! — zawołał Biały Wilk.

La Sombra! — odezwał się jej mąż ponurym echem.

Biega szybko — uprzedził Biały Wilk. — Szuka mnie, a gdy nadejdzie tutaj, wezmę cię za tylne nogi i przytrzymam, ona zaś dobierze się do twego gardła. Cóż to będzie za śliczna zabawa! Zaczekaj na nią, ojcze, błagam cię, zaczekaj! Poproszę, żeby się pośpieszyła.

Przykucnął, podniósł nos do góry i wydał żaloszny okrzyk. Rozległ się dalekim echem i przyniósł szybką odpowiedź La Sombry, której głos zabrzmiał znacznie bliżej. Przybywała

pełnym galopem swych niestrudzonych nóg, a Czarny Wilk wiedział doskonale, że jego eks-małżonka i jej podrastający potomek wezmą się za niego z całych sił.

Zobaczmy się jeszcze — warknął szorstko — strzeż się! Myśl o mnie nie opuści cię na chwilę. Będę szedł za tobą jak cień, a myśl o mnie prześladować cię będzie, dopóki cię nie uśmiercę, ty szczeniaku o świńskich oczkach. Pfuj, ty łbie węzowy! Oczekuj tego dnia!

I ze wstrętem cofnął się w zarośla. Zaledwie odszedł — nasłuchujące ucho teriera chwyciło odgłos kroków La Sombry, pędzącej na oślep przez gąszcz. Jednym susem skoczyła na brzeg wody.

Przemów do mnie, biały mój syneczku! — wołała zdyszana. — Czy pochłonęło cię jezioro? Ach, czuję w krzakach zapach Czarnego Wilka. Zdrajco i morderco! Żyjesz, moje dziecko? Możesz przemówić do mnie?

Ze wzruszenia ledwie zdołał wyjąkać: Jestem tutaj, nic mi się nie stało. Był to Czarny Wilk! Odszedł tamędy, obok drzew!

Zanurzył się w wodzie i popłynął ku niej, La Sombra zaś wyszła mu na spotkanie, chciwie chłepcąc zimną wodę sięgającą jej do brzucha.

Aha... — mówiła dysząc ciężko — schroniłeś się na wyspę. Uczyniłeś wodę swoim sprzymierzeńcem. W twoim wieku zdobyłeś się na coś podobnego? To nic, że masz krótkie nogi i krótki oddech, przytępiony węch i głupie oczy. Będziesz żył i staniesz się kiedyś wielki, mój synu. Spryt i tylko spryt sprzyja naszemu powodzeniu. Ja, twoja matka, ci to przepowiadam. Radość i ból, z jakim zawsze patrzyłam na ciebie, oładnęły moim sercem i całą istotą i przepowiadam ci, że będziesz wielki!

Zbliżywszy się do La Sombry stanął na tylne nogi i byłby ją zameczył pieszczotami, gdyby nie wsunęła długiego swego nosa między jego przednie łapy, nie przewróciła na grzbiet i nie pchnęła zręcznie do jeziora. Wstał, otrząsając się, zadyszany, lecz szczęśliwy.

Myślałem, żeś opuściła mnie na zawsze — westchnął.

Nie mówmy o tym. Najważniejsze jest to, że w porę usłyszałam twój głos.

A nie pójdziemy za tym czarnowłosym mordercą, póki jest jeszcze blisko?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

Mężczyźni zostają zawsze mężczyznami — rzekła. — Musisz nauczyć się ich sposobu życia, który polega raczej na walce niż pokoju... Ale uf! cóż za cięcie zostawił ci na grzbiecie.

I oblizała je do czysta.

XI

Zdawałoby się, że La Sombra pragnęła, aby zapomniał, w jaki sposób go opuściła. Otaczała go wyjątkową czułością. Pamiętał jednak o tym i teraz, kiedy odzyskał ją na nowo, postanowił nie tracić jej z oczu.

Czyś jadł co? — zapytała La Sombra.

Głodny jestem jak młody niedźwiedź — odparł.

Udali się więc na skraj lasu skąpany w blasku księżyca i tam natknęli się na jelonka tak młodego, że nie wydzielał żadnego zapachu, bystre oko La Sombry dostrzegło jednak smaczny kąsek, którym uraczyli się do syta. Objedli się zanadto, by wracać do jaskini w Dunkeld, przespali się kilka godzin w gąszczu, a kiedy La Sombra milcząca jak cień wstała i wymknęła się po cichu — Biały Wilk zbudził się i skoczył za nią.

Odwróciła się szybko i pokazała mu wszystkie kły w uśmiechu, nacechowanym diabelską złośliwością.

Kładź się i śpij — rzekła. — Idę tylko na pole, słyszałam tam bowiem pisk myszy podobny do świergotu ptasząt we śnie.

Wiedział jednak, że kłamie.

Nie będę już mógł zasnąć — rzekł ziewnąwszy szeroko, aż się wzdrygnął. — Nie będę już mógł spać cały dzień. Pójdę zatem z tobą. Nie mam nic lepszego do roboty.

Księżyc stał wysoko zalewając ziemię zimną sztuczną jasnością. La Sombra rzuciła szczenięciu niechętnie spojrzenie; stało jej się istotnie obce.

Hm — rzekła — chodź, jeśli chcesz. Będę dziś jednak biegła szybko. Chodź! — i pomknęła takim klusem, że Biały Wilk dostał klucia w płucach.

Między gajem topolowym a laskiem jesionowym zatrzymała się i pochyliła głowę.

Zbadaj te ślady w trawie. Co ci powiada wąż, mój synu?

Zaczął uważnie węszyć.

Krew — rzekł w końcu. — Przechodziło tędy pieszo świetne, czerwone mięso!

I nic więcej?

Nic więcej.

Pójdź za mną.

Poprowadziła go dalej, potem dmuchnięciem odwróciła szeroki liść.

Co to jest, mój synu?

Ślad odcisnięty na miękkiej ziemi.

Jaki rodzaj śladu?

Podłużny, szeroki ślad, podobny tylko do stopy małego niedźwiedziątka.

To nie niedźwiedź. To człowiek! On to zostawił ślad krwi na trawie. Idź dalej!

Podeszli tuż do Jeziora Pekanów. Odkryli tutaj wąskie przejście młodych drzewek, gdzie ziemię pokrywał miękki, lekki piasek.

No, a teraz — rzekła La Sombra. — Powiedz mi, co to jest?

Pies zatrzymał się nagle. Z pochyloną nisko głową badał ślady, a potem — podniósłszy ją wysoko — badał powietrze.

Ach! — rzekł i ruszył naprzód — tam jest to mięso, o którym mówiłem.

Cofnął się na odgłos warknięcia La Sombry.

Tam jest mięso — rzekła. — Gdzie są jednak nogi, które je przyniosły?

Nie widzę ich.

A nie czujesz człowieka?

Nie czuję nic.

Masz zupełnie ślepy nos. Ja czuję go jeszcze w powietrzu, na ziemi, otarł się o ten krzak... Pfe! Co za smród! Ale ty, mój synu, nic nie rozróżniasz oprócz ogromnych śladów, które mógłby zauważyć nawet królik. Te wysokie wilczury, z którymi poluje na nas człowiek, mają też podobny węch... i wszyscy mieszkańcy lasu wiedzą, że pies — to dureń! I niewolnik. Teraz posłuchaj i bierz sobie za świadka moją matkę, co umarła na moich oczach. Ten Diabeł zakłada w ziemi zęby, zamykają się na nodze nieostrożnej ofiary i ściskają tak długo, aż nadejdzie człowiek z hukiem, który zabija z daleka. W miejscu zaś, gdzie zakłada zęby, umieszcza kawał mięsa na przynętę.

Dziwna rzecz — rzekł pies. — Nawet ziemia pomaga człowiekowi walczyć z nami.

Wszystko mu pomaga, kiedy on tego chce! Obejdź wraz ze mną to miejsce, ale ostrożnie, ostrożnie. Stąpaj delikatnie, uczyni twoje nogi lekkie jak puch ostu. Tam, gdzie przeszedł człowiek, nie wiadomo, jakie kryją się niebezpieczeństwa. Gdyby nie szło mi o ciebie, ty mały głuptasku, nic nie zwabiłoby mnie tak blisko. Idź tamtędy, a ja tędy i badaj grunt ze wszystkich stron. Powiadam ci: za żadną cenę nie tknęłabym tego mięsa o zatrutym zapachu człowieka!

Postąpił, jak mu kazano. Krążył lekką stopą wokół zakazanego skrawka ziemi i wpatrywał się tak w płatek surowego mięsa, jak gdyby to była ziejąca paszcza uzbrojona kłami. Wiatr, uśpiony dotąd wśród drzew, ożył i miotał zeschnięte liście wokół La Sombry. Na szelest ten zareagowały mechanicznie naprężone jej mięśnie: uskoczyła daleko w bok i Biały Wilk usłyszał tępy odgłos, jak gdyby zaciśnięte zęby gryzły ciało aż do kości.

Z gardła La Sombry wyrwał się jęk bólu.

Człowiek! Człowiek! Zęby mnie schwytały! — biadała. — Ratunku! Na pomoc, o mój synu!

Zbliżył się, drżąc ze strachu.

Matko, matko! — rozpacział — powiedz mi, co robić? I nie wołaj tak głośno, bo wszystkie zwierzęta w lesie dowiedzą się, że La Sombra znajduje się w nieszczęściu, a potem nadejdzie człowiek z tym głosem, co zabija. Mów ciszej i powiedz mi, co robić?

Jęcząc szarpała łańcuch, który nie ustępował. Zdawałoby się, że opuściła ją wrodzona mądrość. Zaczęła nadgryzać łańcuch z całej siły.

Pomóż mi przegryźć to, co mnie tu trzyma — rzekła. — Użyj silnych swoich zębów.

Położył się i chciał chwycić łańcuch, cofnął się jednak przed jego dziwnym smakiem i twardością.

Aj — aj — jęczała La Sombra. — To żelazo. Przez litość, uczyni coś dla swojej matki. Uczyni coś dla niej, a jeśli mnie uwolnisz...

Gryzł cierpliwie, aż zabolaty go szczęki, aż wyszczerbiły mu się zęby i rdza zesza z żelaza. Potem nie mógł już więcej. La Sombra też przestała gryźć. Pysk jej pokryła krwawa piana.

Wtem podskoczyła, szarpiąc swą uwięzioną przednią nogę.

Słuchaj! — rzekła. — Słuchaj! Co słyszysz?

Tylko szum wiatru wśród odległych drzew.

Ach, gdybyż to było wszystko! Nie, to coś innego. To człowiek, człowiek się zbliża! Idzie tutaj, ratuj mnie, Biały Wilku.

Ogarnęło ją szaleństwo, a łańcuch dźwięczał, gdy szarpała go i gryzła. Ale potrzask więził ją, a okrutne, stalowe zęby wpijały się coraz głębiej aż do kości.

A potem, w nagle zapadłej ciszy, usłyszał Biały Wilk zbliżający się odgłos w gąszczu jak nieostrożne kroki wielkiego zwierzęcia. Ani jeżozwierz, ani tchórz nie stąpają tak niedbale. Usłyszała je również La Sombra i w gnieniu oka straszliwe, białe jej kły wbiły się we własną nogę tam, gdzie pod uciskiem olbrzymiej sprężyny ciało jej stało się nieczułe z odrętwienia.

I znów skoczyła w tył, na wolność, ale — ach, jakże zmienionym galopem, jak niepodobnym do radosnych susów z dawnych dni. Bez wysiłku dotrzymywał jej bullterier kroku, kuśtykała bowiem na trzech nogach, unosząc wysoko przednią, straszliwie zmasakrowaną łapę. Szczenię spojrzało poza siebie przerażonym wzrokiem: zdawało mu się, że potwór tak okrutny i potężny, który zakłada zęby w ziemi i zamyka je będąc sam tak daleko, że istota o tak niezwykłych uzdolnieniach cieszy się lotem sokoła. Ale usłyszał tylko chrypliwe wołanie, które natychmiast zamarło w szumie wiatru. I szczenię pobiegło dalej u boku swej przybranej matki. Nie bacząc na ból, strach i osłabienie spowodowane utratą krwi, nie ustawała wytrwale w pracy i odgradzała się całymi milami od niebezpieczeństwa czyhającego na nią nad brzegami Jeziora Pekanów. W końcu i jej żelazna wola odmówiła posłuszeństwa: skryła się tedy w gąszczu, a kiedy pies chciał wejść za nią — odwróciła się z przeraźliwym warknięciem, a uderzenie jej kłów rozcięło mu jędrną skórę na ramieniu.

Skomląc legł więc na skraju gąszczu, gdzie przeżył najsmutniejszą noc w swoim życiu. Nie mógł usnąć. Po raz pierwszy spędził całą noc z dala od jaskini i samotność jak straszny ciężar przytłoczyła mu serce. Ciemne, wyniosłe sylwety drzew kiwały do siebie poważnie głowami, strzelając wdzięcznymi czubkami ku gwiazdom. Nie tylko one jednak żyły i poruszały się. Wiatr, co dął z południo-wschodu, przynosił mrozący krew głos lwa górskiego. Polował do późna i skarżył się gwiazdom na pusty swój żołądek.

Potem bezgłośny jakiś cień spłynął z wierzchołków drzew — to sowa-potwór spadła raptownie na psa, ukazując mu parę ogromnych, połyskujących blado dysków-oczu. Bullterier wtulił się głęboko w trawę z lekliwym westchnieniem, a szerokie skrzydła zatrzepotały i uniosły sowę w górę, w gęstwinę drzew.

Jakież jeszcze niebezpieczeństwa równie ciche i milczące poruszały się wśród mroków nocy?

Zamknął oczy ze strachu i po raz setny pytał, skąd Miękkouch znalazł w sobie siłę i odwagę, by dobrowolnie ruszyć w świat, polować i kuć swój własny los?

La Sombra poruszała się we śnie i dotknąwszy kikuta okaleczonej nogi, zawyła krótko z bólu. Choć terier poczuł dreszcz współczucia — był niemal z tego rad. Nie mogła go bowiem opuścić, choć groziła mu tym tego samego dnia. Siłą rzeczy była zależna od niego, będzie polował dla niej i dla siebie.

Przed samym świtem wysunęła się powoli z gąszczu warcząc straszliwie, gdy dyndająca jej noga dotykała jakiejś przeszkody. Burknęła na teriera z wyrazem najżywszej nienawiści i zesła zgarbiona ze wzgórza jak upiorna karykatura swego dawnego wdzięku: ze zgiętym grzbietem, podciągniętym brzuchem, łbem zwieszonym niemal do ziemi. Mleczny jej syn słyszał, jak przybywszy na brzeg zatoki, długo i chciwie chleptała wodę, potem, kiedy chciała wdrapać się na górę, zatoczyła się nie mając oparcia, a jej krótki jęk bólu przeszył niby ostrze noża serce młodego psa.

Na brzegu strumienia zastał ją wyciągniętą płasko na boku, a za każdym oddechem z gardła wydobywało się rżenie. Pewien był, że umiera, przeczekawszy jednak dłuższy czas zauważył, że oddycha. Jedzenie mogłoby jej pomóc. W jednej chwili był już daleko.

Nie, nie szło tu o polowanie dla niej, lecz dla siebie. Z dala, na południu i wschodzie dostrzegł wielką górę Lawrence otuloną straszyną, białym kapturem. Zimne jak lód przerażenie owiało serce psa. Samotny pobyt w lesie podczas ponurej, nadchodzącej zimy, z tym — jak powiadała La Sombra — "ślepy nos" i niezupełnie jeszcze rozwiniętym ciałem — oznaczało pewną śmierć. Polował, bo pożywienie mogło stać się ratunkiem La Sombry, ocaleniem jej rozumu i długoletniego doświadczenia — te zaś miały mu pomóc w walce o byt.

XII

Człowiek nie podchodził do nich blisko, kiedy Biały Wilk wysiłał się dniem i nocą, aby upolować coś dla dwojga. Kiedy jednak noga La Sombry się zagoiła, wiały już wichry listopadowe i padał śnieg. Jeden rzut oka w dolinę upewniał ją, że nawet czworonożne wilki czeka tej zimy trudne polowanie. Ponieważ na domiar dolinę Siedmiu Sióstr nawiedził człowiek — w rozpaczy postanowiła przenieść się gdzie indziej, gdzie również żyli ludzie, ale gdzie można było z łatwością upolować zwierzynę. Boki jej zapadły, Białemu Wilkowi można by policzyć zębra, zwróciła się więc ku zachodowi.

Szli dwa tygodnie łatwymi etapami, zebrala tymczasem siły i nauczyła się biegać doskonale na trzech nogach. Przeszli obok góry Lomas i góry Spencera, zostawili za sobą kaniony bukszpanowe, ten świat skał oślizłych od mrozu, i pewnego wieczoru wyszli na przełęcz wznoszącą się nad szeroką, falistą równiną. Tu i ówdzie lśniły małe, żółte światełka. Biały Wilk przysunął się blisko do jej boku.

Co to za oczy, matko?

To przygasłe ogniska ludzi, którzy zapalają je po swych jaskiniach.

Co to za zwierzę ognisko?

Więcej masz w sobie pytań niż cierni karzak jałowcowy. Nie pytaj tyle, a chodź ze mną i uważaj, mam bowiem zamiar pokazać ci coś nowego. Kiedy byłam jeszcze młoda i piękna, polowałam w tych stronach i... utylam na tym. Pójdź!

Zeszli na równinę, natknęli się na trzy linie potrzasków uzbrojonych w kolce, przez które wilczyca przeskoczyła, opierając się chwiejnie na swej jedynej przedniej nodze, biały pies zaś skakał u jej boku. Zauważyli w jednym rogu łąki grupkę skulonych sylwetek. Wilczyca popęzła na brzuchu, szepcąc do swego mlecznego syna:

Kiedy warknę — rozpierzchną się. Nie mają sił tak jak młode jelonki. Łap za gardło i rwij, a poczujesz, jak życie z nich uchodzi wraz z pierwszym chluśnięciem krwi. Naprzód, synu!

Podniosła się i warknęła. Sześćdziesiąt białych zwierzątek zerwało się z rozpaczliwym wrzaskiem. Znaczna ich liczba i dziwaczność przejęły strachem serce psa, przyswoił już sobie jednak pierwsze i najważniejsze prawo puszczy — posłuszeństwo. Rzucił się więc w kierunku pierwszej lepszej gardzieli. Wszystko odbyło się tak, jak przepowiedziała La Sombra. Jeden gwałtowny chwyt, szarpnięcie miękkim ciałem, a kiedy pysk zalała mu gorąca krew, poczuł, że gaśnie słabe życie zwierzęcia.

La Sombra była już przy nim, rwąc ciepłe ciało na strzępy, owce zaś becząc uciekały w najodleglejszą część pastwiska.

Szybko! — przynagliła La Sombra. — To wielkie króliki. Czy jadłeś kiedyś tak delikatne mięso?

Nie, od czasu kiedy upolowaliśmy jelonka na skraju lasu... Jak hałasują te głupie stworzenia!

Dlatego też śpiesz się. Ha, mój synu, już idą!

Trzy czy cztery postacie pędziły po łące w ich stronę, podniósłszy piekielne ujadanie.

Jeszcze wilki! — zawołał terier. — Szczekają tak jak ja, a nie jak ty i Miękkouchy.

To nie wilki, a psy — objaśniła. — Nie staną po naszej stronie. To niewolnicy człowieka, hałaśliwi durnie, co mówią dziesięć razy więcej, niż działają. A rozmawiają jak niedźwiedzie — władcy gór nie znający strachu. Weź się za tego, co biegnie pierwszy, ja zaś zabiorę się do następnego, o ile ośmieli się zbliżyć. Pamiętaj, synu: barki naprzód, mocno a nisko, a potem zębami za gardło!

Nauczono go walki wilczym systemem straszonym dla psów nie znających tajników tej wiedzy. Kiedy nadbiegły cztery psy — szalona chęć utarczki płonęła purpurą przed oczyma Białego Wilka. Skoczył jak gdyby podrzucony sprężyną i biegnąc tuż przy ziemi, całym ciężarem uderzył o pierś wodza owczarków.

Był to mądry i straszliwy wojownik, którego błyskające zęby siały postrach wśród wiejskich psów w obrębie wielu, wielu mil. Uderzył go kłami jak wilk, ale biała smuga zadała mu straszliwy cios, podbiła w powietrze, a potem rzuciła plackiem na grzbiet. Wspaniałe, iście wilcze posunięcie! Jednak zakończenie walki nie odbyło się według systemu La Sombry. Terier wstrzymał się w biegu, chwycił leżącego psa za gardło, zacisnął szczęki, zatapiając coraz głębiej zęby i przymykając oczy w przystępie głębokiej szczęśliwości.

Skończone — rzekła La Sombra, dysząc ciężko, rozpedziła bowiem całą sforę kilkoma kłapnięciami zębów i chrapliwym warknięciem. — Skończone i pies ten nie żyje. Dobrze mu tak!

Biały Wilk wstał, oblizując krwawe wargi.

To bardzo miła zabawa — oświadczył. — Lepsza niż wszystkie dotąd. Pobiegnijmy za nimi i zabawmy się tak jeszcze raz.

Jeszcze raz? — spytała La Sombra. — Jestem zmęczona. Chodźmy stąd.

Z drogi — dyszał Biały Wilk. — Pobiegnę za nimi i zaraz wrócę.

Jednym warknięciem przywołała go do porządku.

Zapomniałeś już o dolinie Siedmiu Sióstr i zębach w ziemi? Psy te — to niewolnicy człowieka, a owce też doń należą, czuć je było odorem człowieka... Mądrzej i bezpieczniej kraść szczenięta "mishe mukwa" — burego niedźwiedzia, niż niepokoić sługi człowieka. Okazaliśmy już dosyć zuchwalstwa. Klnę się na prochy mojej matki, która umarła na moich oczach, że dokonaliśmy zbyt wiele! A teraz wracajmy!

I Biały Wilk pokłusował posłusznie u jej boku, opuścił łąkę i przekradł się na powrót w stronę wzgórz. I znów wyrosła przed nimi świeża przeszkoda, którą przeskoczyli jednocześnie. W świetle gwiazd ujrzeli olbrzymie potwory, podnoszące się ociężale na nogi.

Matko! Matko! — zawołał Biały Wilk, płaszcąc się na brzuchu tuż przy ziemi. — Co to za stworzenia?

Stały kołem, zwisiwszy wystające łby, potrząsały nimi i sapaly, wydychając wielkie kłęby pary w zamarzłym powietrzu. Były daleko większe niż sam "mishe mukwa" — bury niedźwiedź.

Wstań — rzekła matka. — I to są niewolnicy człowieka — co za tym idzie — głupcy. Nie mogą więc uczynić nam krzywdy, o ile zachowamy przytomność umysłu. Podejdź bliżej, a zobaczysz.

Nawet poduszcзки u łap mi drżą... — westchnął terier. — Ale posłucham cię. Ha, czy ten potwór nas nie połknie?

Kiedy się bowiem zbliżyli, młody byczek wyrwał się niecierpliwie z koła i pognął za dwojgiem nieprzyjaciół.

Uciekajmy! — krzyknęła La Sombra. — Pokażę ci ciekawą sztuczkę.

Nawet na trzech nogach biegła dostatecznie szybko, aby wyprzedzić nacierającego byka, który ścigał ich po łące.

Teraz! — zawołała La Sombra. — Ty w jedną stronę, a ja w drugą, prędko, prędko, synu, skacz wysoko!

A choć dygotał ze strachu — usłuchał jednak jej rozkazu. Skoczył daleko, a kiedy byk przemknął obok dudniąc kopytami, z pochyloną głową, terier ujrzał, że La Sombra rozplątała mu mięsień tylnej nogi. Gryzła długo a głęboko, nie mogła jednak przegryźć na wylot ścięgna, grubości przebugu ręki ludzkiej. Mało tego: zachwiała się z wysiłku, padła jak długa i leżała bez ruchu.

Zdawało się Białemu Wilkowi, że udaje, kiedy jednak podźwignęła się z trudem i usiadła, rozglądając się ogłupiałym wzrokiem — zrozumiał, że ogłuszył ją upadek. Byk zaś w dalszym ciągu nacierał dziko.

Gdyby Biały Wilk należał do klasy innych zwierząt — z wyjątkiem może niedźwiedzicy walczącej o swoje młode — byłby się odwrócił i uciekł przed tym atakiem. Jednak nie uciekł. Mimo rozpaczliwego, okropnego przerażenia w głębi jego serca odezwały się głosy całych pokoleń przodków, których odwaga zawsze górowała nad trwogą. Rzucił się wprost przed potwora.

Ach, cóż to był za widok dla malarza! Ten byk, tak wielki, tak czarny, pędzący z takim dudnieniem — i pies — tak mały, tak biały i cichy!

Zbliżywszy się o trzy kroki, byk pochylił łeb, aż lśniące rogi znalazły się na jednym poziomie z ziemią. I byłoby niechybnie już po Białym Wilku, gdyby instynkt nie pokierował jego ruchami i nie przygniótł go do ziemi. Rozpląszczył się, jak czyniło wielu jego przodków podczas szczucia byków psami w dawnej, wesołej Anglii. Śmiercionośne rogi przejechały mu po grzbiecie, mignęło żelazne czoło byka i... Biały Wilk chwycił szeroki, miękki nos olbrzyma.

To nie zęby — to dwie ogniste szczęki uwięziły byka; to kilkadziesiąt funtów drgających mięśni szarpało najczulsze jego nerwy. Ryk jego rozległ się daleko wśród nocy i pieścił duszę małego Białego Wilka niby fanfara stu tręb głośniejących chwałę bitwy.

Oślepiły z bólu i strachu byk stanął dęba, ciężar szarpiącego nim teriera przeważył na jedną stronę, i — straciwszy równowagę — potwór zachwiał się i runął na bok. Coś błysnęło tuż koło głowy Białego Wilka. To zęby La Sombry wrzynały się coraz głębiej w gardziel byka.

Daj mu spokój — rzekła. — Będzie krwawił, aż zdechnie. Potem najemy się.

Cofnęli się. Nieszczęsny skazaniec powstał, rozkraczył nogi i konał, a La Sombra lizała po twarzy swego mlecznego syna.

Nie ma takiego na świecie jak mój syn — szeptała. — Ja to oświadczam, ja, która mówię prawdę i tylko prawdę! Czyż nie widziałam, jak Czarny Wilk poluje? Czy nie widziałam, jak łoś padł z jego ręki? Któż jednak może się porównać z moim białym synem? Bierze olbrzymów za łby i rzuca ich o ziemię, żeby matka miała co jeść. — Przerwała, by zaczerpnąć tchu. — Jeśli zapomnę kiedykolwiek, że wyrwałeś mnie z objęć śmierci, syneczku, nie myśl o mnie i nezwij mnie grzechotnikiem albo psem — dodała cicho.

XIII

Upłynęło półtora roku, odkąd Adam Gannaway bawił na południu od Winnemago. Odbывał teraz długie marsze, chciał jak najprędzej dostać się w niziny, nim miną ostatnie, ciepłe, mgliste, złote dni jesieni. Bujał myślami daleko, gdy zszedł w dolinę Siedmiu Sióstr. Ludzie z lasów wiedzą, że w chwilach zadumy dostrzegamy zwykle cuda w świecie ptaków i zwierząt. Przybywszy na skraj lasu sosnowego spojrzął Adam Gannaway w dół, na długą wstęgę rzeki i siedem lśniących jezior. Potem coś przemknęło między nim a krajobrazem — ogromny szary wilk o zwistej skórze, która za każdym krokiem trzęsła się wokół jego barków, pędził w rozpaczliwych susach; z krzaków wypadły za nim trzy potwory, znacznie straszniejsze dla oka od samego wilka. Wyglądały jak charty olbrzymich rozmiarów, o wielkich tułowiach pokrytych rozczochraną sierścią mysiego koloru, splątana w szkaradne kołtuny.

Widać wilk podążał do przetrzebionych lasów w nadziei, że pozbędzie się swych prześladowców, i dlatego, że wilki czują się lepiej na nierównym gruncie; te długonogie diabły doganiały go jednak z każdym susem. Wyczerpany wilk chciał zawrócić, a kiedy pognał w stronę Gannawaya — meteorolog mógł się przyjrzeć jego pełnym napięcia oczom, w których czaił się śmiertelny strach. Nie odczuwał jednak litości. Ze wszystkich istot sprytnych i okrutnych najwięcej nie cierpiał wilka.

Pod wysoką skałą, zapewniającą mu pewne bezpieczeństwo, zatrzymał się wreszcie. Gannaway umieścił się wygodnie, by móc obserwować walkę. Widział już wilki, które potrafiły opędzić się sześciu zajadłym psom. Widział wilki, które z największą łatwością dawały sobie radę z czterema i pięcioma psimi wojownikami. Nie widział jednak nigdy psów, które we dwóch umiały tak upokorzyć, a choć dziwne te stwory wyglądały dosyć groźnie — czuł, że dopiero trzech na jednego stworzy tutaj równowagę.

W ciągu pół sekundy wszystkie dawne pojęcia Adama Gannawaya się rozwiały. Psy niby to przypuściły atak z prawej i lewej strony do ukrytego w kącie wilka, zęby jego kłapnęły w powietrzu, kiedy cofały się przed nim skulone. W następnej jednak chwili podłużna szczeka trzeciego psa ścisnęła go za gardziel i cała trójka zakrzętała się wokół ofiary.

Nie szarpały, nie rwały ani nie warczały. Po kilku chwilach cofnęły się, oblizując wargi i zerkając na Adama Gannawaya swymi podejrzliwymi, małymi oczkami. Poczuł się wyraźnie nieswojo. Sposób, w jaki dokonane zostało to zabójstwo, miał w sobie coś zawodowego, osobliwego i nie chciał już oglądać tego widowiska po raz drugi. Wydawało mu się niesamowite i nienaturalne, jak gdyby mężna dusza wilka rozplynęła się przed rozpoczęciem walki.

Wtem rozległo się krótkie wołanie, dwóch ludzi wypadło spoza drzew i zdjęło skalp z nieżywego wilka, nie zauważywszy Adama Gannawaya. Najwięcej uderzył go w ludziach, a zdziwił w psach, ów niesłychany spokój, z jakim traktowali to polowanie na dorosłego wilka. Sprowadzili z sobą trzy psy: dwa z takich, jakie oglądał "przy robocie", jedno zaś dziwaczne zwierzę — jakby skrzyżowanie charta z wyzłem. Szli objuczeni ciężkimi tłumokami i bez względu na dystans, jaki mogło rozciągnąć polowanie, widać było, że się nie śpieszyli. Nie

przyszło im do głowy, że wilk może rozerwać na strzępy jednego z psów, albo uciec gdzieś daleko w tej urozmaiconej okolicy. I Gannaway z łatwością się domyślił, że w tym kryje się sedno całej wyprawy.

Nie zadali sobie nawet trudu, by ściągnąć skórę z ofiary. Zadowolili się skalpem. Jeden z ludzi właśnie oskrobywał go do czysta, gdy podszedł Gannaway.

— Powiedźcie mi — rzekł — czy pokonany wilk nie podrapał nawet żadnego z waszych psów?

Pytanie przypadło im widać do smaku. Polowanie na wilki było może dla nich starą jak świat bajką, ale duma z psów nigdy nie gasła.

— Owszem — odparł wyższy — Lefty ma małeńkie zadraśnięcie na przednim ramieniu, ale to wszystko. Zobacz pan sam!

— Wolałbym mieć do czynienia z samym diabłem niż z tymi psami — odrzekł Gannaway z uśmiechem. — Wierzę panu na słowo. Widziałem już nieraz psy prześcigające wilki, nie widziałem jednak nigdy takich specjalistów. Wyście tego nie widzieli, ale mogę was zapewnić.

— Nie ma nas czego zapewniać — uśmiechnął się starszy — bo i tak wiemy. Lefty stanęła pośrodku, Pete z prawej, a Tygrys z lewej strony. Tygrys i Pete zaatakowały go z obu stron, a kiedy wilk skierował na nie wzrok, Lefty skoczyła i złapała go za gardło, czy też obok gardła. Wtedy przysunęła się ta dwójka i dokończyła roboty: chwyciła za ucho i za przednią nogę, żeby go przewrócić, a tymczasem Lefty dobierała mu się do tchawicy.

— Wyszkoilił je pan w ten sposób?

— I to bardzo starannie.

Adam Gannaway wydobył "niezawodny środek" na ludzi z puszczy — dobrze wypchany kapciuch. Znany ten poczęstunek datował się co najmniej od czasów Indian i polegał na tym, że kto go przyjmował, musiał usiąść i wypalić przynajmniej jedną fajkę. Właściciele psów nie zdradzali wahania. Tytoń posiadał zachęcający, czarny kolor, przypadła im więc do gustu, a kiedy nabijali sobie fajki — Gannaway przyjrzał im się bacznie.

Podobni byli do siebie jak dwie krople wody, a różnica polegała na tym, że starszy był cokolwiek wyższego wzrostu. Obaj mieli szczupłe, ogorzałe twarze, krzaczaste brwi, małe głowy niezgrabnie osadzone na wystających szyjach, wysokie a wąskie ramiona oraz nieproporcjonalnie wielkie stopy i dłonie. Na równinach Nebraski ludzie tacy rodzą się jak rośliny.

Gdy tytoń zaczął działać — rozwiązały się języki. Prowadził rozmowę starszy, od czasu do czasu zwracając się do brata po potwierdzenie.

— Przeważnie są to irlandzkie wilczury, z wyjątkiem ot tego tam Grampusa. — Mówiąc to wskazywał stworzenie o ciele ociążałego charta z głową wyżła. — Przeważnie są to irlandzkie wilczury, z jednym tylko wyjątkiem. Tylko jednym.

Cóż to takiego? — zapytał Gannaway.

— Hm, nie pan pierwszy o to pyta — uśmiechnął się jego rozmówca z jakąś tajemniczą złośliwością i kiwnął sam do siebie głową. — Nie pan pierwszy ani ostatni. Ale w tym cały sekret, prawda, Tom?

— Uhm, Dan — odrzekł Tom Loftus z takim samym zadowoleniem. — W tym cały sekret.

— Tam, gdzieśmy się wychowali — podjął Dan Loftus — zawsze było dosyć wilków i kłopotu. Co sezon zagryzały moc cieląt i źrebiąt, a kiedyśmy urządzali polowanie, to wracaliśmy z niczym, chyba żeśmy zabierali z sobą psy. Umiały znaleźć je i chwycić, kosztowało nas to jednak około stu dolarów w psach, koniach i ludziach, a zdobywaliśmy wilka wartości dziesięciu dolarów. POstawiliśmy więc sobie za zadanie znaleźć rasę, co

potrafiłaby biegać tak prędko, by móc schwytać wilka, a walczyć tak szybko, aby go upolować i nie zostać rozerwanym na kawałki. Pracowaliśmy nad tym ładnych kilka lat, ale znaleźliśmy w końcu ten sposób, co Tom?

— Zdaje mi się, że znaleźliśmy ten sposób — powtórzył Tom, przymykając oczy z fizycznego i moralnego zadowolenia i zaciągając się głęboko fajką.

— Mam wrażenie — podjął Gannaway, tłumiąc wstręt do tych ludzi — żeście przybyli Bóg wie skąd, by prowadzić te wasze interesy.

— Łapiemy, co się nadarzy — odrzekł Dan Loftus — ale głównie chodzi nam o miejsce, gdzie kryje się Biały Wilk. Tego kęsa szukamy, i zdaje mi się, że wart jest tej podróży... Co, Tom?

— Prawie dwadzieścia pięć setek warta jest ta podróż — przytaknął Tom ze zwykłym swym uśmiechem tajemnego zadowolenia.

— Dwadzieścia pięć setek dolarów! — wykrzyknął Gannaway. — Czy znaczy to, że spodziewa się pan podobnej zapłaty za jednego wilka? Biały Wilk, powiadacie?

— Tak, Biały Wilk — odrzekli chórem.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Nigdy? Gdzież więc się pan podziewał przez cały rok?

— Przeważnie w wysokich lasach budulcowych — odparł Gannaway z uśmiechem, machając ręką w kierunku wierzchołków.

Spojrzeni nań ze źle maskowaną podejrzliwością, przekonał się już jednak dawno, że na próżno będzie starał się wyjaśnić swój zawód. Człowiek, który oświadczał, że celem jego jest badanie stanu pogody w wyżej położonych górach — uchodził ogólnie za zwyczajnego maniaka. Dał więc spokój i pozwolił im myśleć, co chcieli, zbierało mu się jednak na śmiech, widząc że przybrali sztywne miny i przysunęli się do siebie.

— Hm — odezwał się w końcu Dan Loftus — wszystko co wiem, to to, że od roku w dolnym biegu Winnemago żyje wilk o trzech nogach oraz biały wilk i że robią tyle piekła, aż piszą o nich w gazecie. Pozagryzanych owiec i bydła starczyłoby do zapelnienia ranczo. Czasem biorą sobie urlop, nawiedzają kurniki albo stawy z kaczkami, a kiedy się stamtąd oddalają — nie pozostaje nic prócz krwi i pierza. Szukali ich z psami gończymi, wypatrywali ich na koniach, szczuli, ale nie dostali. To jakaś lisia para. Nie sposób ich złapać. Ale kiedy my się tu zakrzątniemy — to będzie co innego! Ulubioną potrawą tych naszych bobasków są wilki, jakich nikt nie może schwytać. Prawda, Tom?

— Może pan polegać na nich — oświadczył Tom Loftus uroczyście.

— Halo! — zawołał nagle Gannaway. — Co to za dym? Ktoś rozbił widać namiot w dolinie Siedmiu Sióstr!

Spojrzeni po sobie i uśmiechnęli się tym swoim tajemniczym, podłym uśmiechem.

— Czy wiecie, kto to jest? — spytał Gannaway.

— Mamy pewne podejrzenia — odparł Dan Loftus stukając fajką, aby wydostać nie wypalony tytoń, i podnosząc się z miejsca. — Byliśmy już tam. To traper. Przed godziną pukaliśmy do jego drzwi, ale nie weszliśmy.

— Nie zastaliście go w domu? Nie znajdujecie się przecież na równinach, moi przyjaciele... Prawo tego kraju powiada, że możesz być jak u siebie, bez względu na to, czy gospodarz jest, czy go nie ma w domu!

— A czy my nie znamy tego prawa? — rzekł starszy brat. — I czyśmy z niego mało korzystali?

Przy tych słowach twarz jego szerniała.

— Co się stało? — spytał Gannaway.

— Idź i spróbuj sam — rzekł Dan Loftus. — Nie ma lepszego nauczyciela nad doświadczenie... Idź i spróbuj!

— Uczynię to z pewnością — odparł Gannaway spokojnie.

Oświadczenie to wywołało sardoniczny wybuch śmiechu, kiedy jednak, sądząc z jego miny, przekonali się, że mówi poważnie, Tom Loftus wtrącił nagle: — Jeśli go pan zobaczy, powiedz mu pan, że po schwytaniu Białego Wilka wrócimy tą samą drogą i wtedy będziemy mieli przy sobie nie zardzewiałe stare kołty, a strzelby!

Oświadczyli to z tak wymowną pewnością siebie, że Adam Gannaway zatrzymał się i patrzył, dopóki nie zniknęli mu z oczu na zachodniej stronie wraz ze swymi długonogimi psami, a choć nie był jasnowidzem — przewidywał poważne przykrości w razie powrotu tej dwójki z polowania na Białego Wilka.

XIV

Mimo ryzyka Gannawaya pożerała wprost ciekawość i chęć bliższego poznania owego trapera, co odważył się odmówić gościny podobnym typkom w asyście tych szatańskich bestii. Podobnie bowiem jak prawa rycerskości obowiązywały błędnych rycerzy czasu złotych dni romantyki, tak i prawa gościnności obowiązują dotąd w górach. Zastanawiał się, jaka odmiana wyrzutków społeczeństwa ośmieliła się złamać tę regułę?

Poszedł ostrożnym krokiem w kierunku słupa dymu pełzającego nisko nad ziemią wśród nagich lasów listopadowych, aż ku Jezioru Pekań. Przede wszystkim dostrzegł lśniąca powierzchnię jeziora, a potem na tle blasku wód zarys niskiej, przykucniętej chatki ze szczap drzewnych. Zatrzymał się na skraju polany. Zawód jego w dużej mierze zależał od zdolności spostrzegania drobnych zmian i wysnuwania z nich obszernych wniosków.

Obejrzał jak najdokładniej polanę i chatę. Ze śladów cięć toporem na pniach drzew, użytych do budowy chaty i na opał, domyślił się, że traper był człowiekiem o wielkiej sile fizycznej i wprawnej ręce. Tylko wiedza w połączeniu ze zręcznością mogły wbijać ostrze siekiery tak głęboko. Ściany miały równe kąty zewnętrzne — drugi wyraźny dowód, że człowiek ten wiedział, co robi, a "kanu" z kory brzoźowej, spoczywająca dnem do góry nad brzegiem jeziora, mogła delikatnym swym pięknem uradować najbardziej wybrednego Indianina — w dziedzinie której są naprawdę wybredni.

Za chatą mieściły się dwie obszerne szopy — te zaś znowu stanowiły dowód pracowitości i przemyślności właściciela. Więcej: szopy te nie były żadnymi klitkami, ale budowlami tak solidnymi jak główny budynek. Żaden przypadkowy niedźwiedź-myśliwy, znęcony zapachem boczku, nie był w stanie rozwalić tych ścian! Koronę jednak wszystkiego stanowiło wycięte wśród szczap wielkie okno z nasyczonego tłuszczem jedwabiu. Jedwab taki nie był sam przez się cudem, trzeba jednak zdolnego cieśli, by umieścić okno nie przepuszczające powietrza.

Adam Gannaway doszedł zatem do wniosku, iż miał do czynienia z silnym i mądrym człowiekiem, który całkowicie opanował sztukę budowania domów wśród pustkowia. Jeśli taki człowiek był łajdakiem — mógł okazać się doprawdy niebezpieczny. Należy więc wybaczyć Gannawayowi, że odpiął futerał swego kolta, zanim zbliżył się do chaty.

Królik skoczył mu spod nóg, dał ze dwa susy, a potem wdrapał się na szeroki kamień, usiadł i przyglądał się gościowi błyszczącymi, ufnymi oczyma, kręcąc noskiem z wielkim zaciekawieniem. Drobne to zdarzenie zdziwiło Adama Gannawaya, stanowiło bowiem dowód, że ten silny i zdolny traper, ten brutal, który odmówił gościny podróżnym z gór, jest śmiesznie czułym człowiekiem, co dla przyjemności oswaja króliki!

Dodało mu to odwagi. Zbliżył się do drzwi i zapukał. Były to masywne drzwi, tak ciężkie i tak mocno osadzone w zawiasach, że odgłos pukania odbił się w solidnej ścianie domu. Zdawało się Gannawayowi, że usłyszał wewnątrz lekki ruch i na tym się skończyło. Żaden głos nie zabrzmiał w odpowiedzi, miał więc zamiar zapukać powtórnie, gdy nagle z otworu w ścianie wysunęła się podłużna lśniąca lufa strzelby, z której padł strzał.

Odskoczył, zakławszy siarczyście. Ulegając pierwszemu impulsowi, uciekłyby na pewno do lasu, ale po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że posłano kulę na chybił trafił, ot tak, po prostu jako uprzedzenie, że właściciel domu niechętnie nawiązuje rozmowę i że w tym momencie nie ma humoru do przyjmowania gości.

W każdym razie wszelkie rozsądne rozważania skłaniały meteorologa do opuszczenia tej polany. Powstrzymał go jedynie widok małego króliczka na kamieniu. Człowiek, który tracił czas na osvajanie i tresowanie królików...

— Nie przyszedłem tutaj, by cię skrzywdzić — oświadczył spokojnie. — Nazywam się Gannaway i jestem tak zwanym trampem górskim. Nie skierowałem nigdy w życiu broni na człowieka i nie zamierzam skierować jej na pana. Jedno muszę panu powiedzieć, o czym pan zresztą wie: odegnanie człowieka od drzwi to ordynarny kawał! Słyszysz pan? Ordynarny kawał!

Przerwał. Strzelba znikła z otworu, ale trwała nieprzerwanie tajemnicza cisza, zakłócona jedynie świergotem ptaka w jesiennym milczeniu lasów.

— Żądam tylko daru w postaci małego bekonu — podjął Gannaway. — Jeśli ma pan pod dostatkiem. Jeśli nie — wystarczy mi byle jakie mięso wędzone. Patrząc na pańską posiadłość domyślam się, że gromadzi pan zimowe zapasy daleko wcześniej niż w listopadzie. A co się tyczy...

Tu przerwał, bo ciężkie drzwi chaty poruszyły się bez dźwięku odsuwanego rygła, rozwarły się szeroko, i na tle ciemności panującej w chacie stanęła jedenastoletnia dziewczynka z "mysim ogonkiem", odziana w niezdarnie uszyty strój ze skóry jeleniej, pięknie nakrapianej niby wzór utworzony przez wrześnie słońce, przeświecające przez listowie drzew. Gannaway ujrzał piegowatą twarzyczkę i parę wielkich, błyszczących oczu.

— Mój tato pragnie wiedzieć, czy wędzone mięso ci wystarczy?

— Naturalnie — odparł Gannaway.

Drzwi zamknęły się wolno — niemy dowód ich ciężaru. Po chwili otworzyły się i do stóp jego potoczyła się dziesięciofuntowa paczka przewiązana mocnym brzoźowym łykiem.

— Tyle chyba zechcesz taszczyć z sobą — rzekła dziewczynka. — Bywaj zatem.

— Słuchaj — zaprotestował Gannaway — jeśli twój tato nie chce, żeby widziano jego twarz, to powiedz mu, że na jedno oko jestem ślepy, na drugie zaś widzę tylko przyjaciół.

Błysk uśmiechu uczynił ją niemal ładną.

— Pan wygląda zupełnie przyzwoicie — rzekła — ale tato wyjątkowo nie lubi obcych.

Wtem Gannaway doznał objawienia.

— Moja droga — rzekł — twego ojca nie ma tu w pobliżu. Jesteś sama w chacie.

Usłyszał westchnienie strachu, potem drzwi się zamknęły i znów otworzyły. Gannaway nie ruszył się z miejsca.

— Ma pan odwagę sterczeć tutaj po tej kulce wyżej głowy? — rzekło dziecko z uśmiechem. — Po co panu tu zostawać? Jeśli tatuś pana złapie, połamie panu wszystkie kości. Niech pan się lepiej stąd zabiera.

— Boisz się mnie?

— Ja? Ani trochę! Nie boję się takich dwóch.

— W takim razie wejdę do środka.

— Jeśli pan wejdzie i tatuś znajdzie pana tutaj...

— Zaryzykuje.

— Dobrze — odrzekła urągliwie — wejdź pan.

Szarpnęła drzwi na oścież i Gannaway wkroczył do chaty. Nigdy jeszcze w życiu nic podobnego nie widział. Strona wewnętrzna wielkich szczap wyheblowana była do gładkości

lustra, wykonano zaś tak świetnie tę robotę, że nie znać prawie było śladów hebla. Starannie dopasowane okno wydawało się teraz mniejszym cudem. Stał tam stół, toczony, zdawałoby się, na tokarce, a obok piec ustawiony z kwadratowych kamieni. Na podłodze leżała wielka skóra niedźwiedzia i skóra pięknej owcy górskiej, na ścianach widniało trochę nieśmiałych prób ozdoby wnętrza, kilka barwnych kalendarzy, uśmiechnięta głowa wilka przybita do szczap, a na wprost niej oprawiona w ramkę fotografia bullteriera.

— Aha — rzekł Gannaway — twoja matka urządziła tutaj to wszystko.

— Mama? — roześmiała się dziewczynka. — Nie. Nie zniosłaby tutejszej zimy, dostaje okropnych pęcherzy z odmrożenia. Ale skoro pan już obejrzał wszystko, to niech pan się lepiej stąd zabiera. Mój tato...

— Zaryzykuję — odparł Gannaway z uśmiechem. — To bardzo odpowiednie miejsce wypoczynku. — To mówiąc, osunął się na domowego wyrobu fotel na biegunach.

Wtem maleńkie jakieś stworzonko przemknęło po podłodze z piskiem przerażenia i wdrapało się po chudych nożynach dziewczynki. Duża, puszysta, szara wiewiórka siadła na ramieniu dziecka, wygięła swój przepiękny ogon i zaszczekała wyzywająco na nieznanego, ucichła jednak, kiedy pani jej podniosła opaloną rączkę.

— Dobrze — rzekła dziewczynka — uprzedziłam cię... Ja sama marzę o rozmowie! Cały rok nie widziałam nikogo prócz tatusia.

— Rok! — odezwał się echem gannaway. — Cały rok? Gdybyś zechciała mi powiedzieć, co go zmusza do...

Na twarzy jej jak w zwierciadle ujrzał, że nadchodzi pan domu. Zbladła ze strachu, zanim jednak zdołała przemówić, cień jakiś wynurzył się zza drzwi i wielka dłoń chwyciła Gannaway'a za kark.

— Szczurze przekłety! — zahuczał gruby, donośny głos. — Po to tu przyszedłeś, żeby wyciągać zeznania z dzieciaka? Powiem sam za siebie!

Gannaway poczuł, że unosi go i wywija nim ramię niby dźwigar parowy; ujrzał nad sobą postać odzianą — podobnie jak dziecko — w skórę jelenia, i twarz zamaskowaną gęstą brodą. Po twarzy poznał ni mniej, ni więcej a zeszloroczny olbrzym Tuckera Crosdena. Ten rozjaśnił się, roztajała w nim wściekłość i zahuczał:

— Gannaway! Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie Gannaway! Człowieku, człowieku, o włos nie skręciłem ci karku. Czemuś nie powiedział swego nazwiska? Molly, chodź tu i podaj rękę Europejczykowi. Uściśnij jego dłoń obiema rękami, nie ma bowiem tak wielu Europejczyków na tym świecie!

— Nigdy jeszcze — pomyślał Gannaway — skrócenie papierosa Bull Durham nie wydało po roku podobnego plonu!

Nie miał potrzeby zadawać pytań, bo po skończonym obiedzie, gdy Molly usnęła na swej pryczy, olbrzym stał się bardzo rozmowny i wyznał mu swą tajemnicę z drobiazgowością suplikanta wobec ojca spowiednika. Ku niesłychanemu zdziwieniu Gannaway'a otworzył przed nim serce, a część tych wyznań wryła się płomiennymi zgłoskami w jego pamięć, by nigdy już nie popaść w zapomnienie.

— Gdy zobaczyłem pierwsze szczenię, nie zależało mi na pozostałych. Wyglądało jak to jedno stworzenie na świecie. Wyglądało jak Król!

Odwrócił głowę ku fotografii na ścianie.

— Nie taki jak tutaj, ale jaki był, gdy przyszedł na świat. Większy od Króla! Silniejszy od Króla! Większa głowa i więcej wszystkiego! Reszta szceniąt przedstawiała się dobrze, a Nelly dała im wszelkie możliwości. Była doskonałą matką. Ale gdzie im było do niego! Siedziałem nieraz i śmiałem się, widząc, jak duch Króla przejawia się w tym szczeniaku. Podczas karmienia spędzał rodzinę z drogi. To był lew! Kiedy się urodził, mówię panu, miał

niebieski nosek, który, szybciej niż noski innych bullterierów nabrał solidnej czarność. Ujrawszy go od razu wiedziałem, że jest rasowy, a upewniłem się w tym, kiedy otworzył oczka. Wyglądał wtedy na miesięczne szczenię, a ulubionym miejscem spania była głowa jego mamusi! Owego ostatniego dnia zastałem je nieżywe. Ale Króla między nimi nie było... Widzi pan? Ten wilk nie był głupi. Wszystkie pozabijał, ale Króla zjadł. Stałem oszołomiony jak od uderzenia pałką. Nie wiedząc co czynić, ruszyłem do domu, ale tam narobiłem tylko kłopotu... Żona bała się mnie, posłała po pomoc, a sąsiedzi nie chcieli mnie wpuścić do własnego domu. Kilku z nich zepchnąłem z drogi, a choć, przysięgam na Boga, że nie użyłem całej siły, to zanim dotarliśmy do stóp gór, dzieciak i ja — osiągnęła nas wieść, że jeden z nich umarł. Od tej chwili czekam, by przyszli po mnie. Kryję się przed ludźmi. Znam pewnego Indianina na dole w Dunkeld. Mieszaniec. Z końcem zimy zanoszę mu skóry zwierzęce, daje mi za nie połowę ich wartości i przywozi mi tu na górę cały kram, jakiego potrzebuję do domu. W ten sposób przeżyliśmy rok czy więcej... Siedzimy tu i czekamy, rozumie pan?

Później, znacznie później, wieczorem, olbrzym pochylił się ku przodowi i położył wielką swoją łapę na ramieniu Gannawaya.

— O, Gannaway, gdyby Król wiedział, co wycierpiałem przez te kobiety! Gdyby Król to wiedział — powstałby z grobu, gdzie złożyłem go na wieczny spoczynek. Kto wygnał mnie z domu? Kobiety. Kto uczynił mnie mordercą? Kobiety! Wszystko z powodu Króla. Żona nie mogła mi wybaczyć. Kiedy Król był jeszcze szczenięciem, przychodziła i przyglądała się nam obojgu. — Tuckerze Crosdenie — mawiała nieraz — kochasz więcej psa niż ślubną żonę! — Nie mogła mi tego darować. Pragnęła jego śmierci, powiadam panu, modliła się o nią! To złe stworzenia, Gannaway. Wszystkie one są złe. Nie ma kobiet, które miałyby w sobie choć trochę przyzwoitości i dobroci. A ten brzdąc, jak urośnie, będzie taki sam, jak wszystkie!

Wstał i bezgłośnie, skradającym się krokiem podszedł do pryczy. Uchylił brzegu kołdry i wpatrywał się w twarz dziecka; spało spokojnie. Tucker Crosden wrócił do gościa.

— Zdawałoby się, że to anioł — podjął na nowo. — Czy patrząc na nią pooysłałoby się, że należy do tych, co pewnego pięknego dnia wyrzucają męża z jego domu i splamią jego ręce morderstwem? A przecież jest kobietą i płynie w niej krew matki! Postąpi tak samo.

Chłód owiał serce Gannawaya, to serce, przepelnione litością dla olbrzyma, którego prosty umysł nie potrafił wytłumaczyć swego wielkiego bólu.

— Chciałbym zasięgnąć pańskiej rady w pewnej sprawie — rzekł Crosden.

Przysunął krzesło bliżej. Gannawaya przeszło mrowie na widok rozpaczliwej malującej się na jego twarzy i dzikiego błysku oczu.

— Gdyby Król dowiedział się, w jaki sposób cierpiałem dla niego, gdyby się dowiedział, a cóż go od tego wstrzymuje? Gdyby się, powiadam, dowiedział, jaki psi żywot pędzę tutaj, czy byłby do mnie powrócił?

Pochwycił dłonie Gannawaya.

— Powiedz mi pan jasno i wyraźnie — mówił Crosden dysząc — czy on, tak wierny i kochający, nie wróciłby, żeby mnie pocieszyć?

Adam Gannaway chciał przemówić, ale słowa zamarły mu na ustach. Zamknął oczy i modlił się o siły, czuł bowiem, że ogarnia go słabość.

— Prawda — usłyszał drżący głos olbrzyma — to trudne pytanie. Nad pytaniem tym zawahałaby się większość ludzi. Ale powaga, z jaką pan je traktuje i możliwość, jaką w nim widzi, przynoszą mi ogromną pociechę. Niektórzy powiedzieliby, że śmierć nas rozłączyła. Pan rozumie, co mam na myśli? Niektórzy głupcy powiedzieliby, że skoro zdechł, nigdy go już nie zobaczę. Ale to nieprawda, Gannaway! Opowiedziałem panu całą tę historię i pan wie tak jak i ja, że raz już wrócił!

— Raz już wrócił? — odezwał się jak echo Gannaway.

— No naturalnie! W chwili, kiedy ujrzałem pierworodnego syna Nelly, zrozumiałem, co się stało! — Zniżył głos do szeptu, a szept ten jak miecz przeszywał serce jego towarzysza. — Niektórzy mogliby twierdzić, że to było tylko podobieństwo, ja jednak od razu domyśliłem się prawdy. Z każdym dniem przypatrując mu się przekonywałem się o tym, aż w końcu uzyskałem pewność. To nie było podobieństwo... To był Król we własnej osobie, który wrócił tu na ziemię, do mnie!

Gannaway zaczerpnął głęboko tchu. Choć starał się ze wszystkich sił — nie mógł jednak wytrzymać błyszczącego, szaleńczego wzroku Tuckera Crosdena.

— Posłuchaj pan, jakie to proste i logiczne — prawil dalej Crosden. — Czyż Król nie postarałby się o to wiedząc, jak go kochałem i jak mi bez niego było źle? Jego dusza postarałaby się o to... Postarała się i wróciła do mnie w szczenięciu pożartym przez wilka! Chcę tylko usłyszeć pańskie uczciwe zdanie, przedtem jednak muszę podać wszystkie fakty. Jeśli powrócił raz, czemu nie miałby powrócić znowu?

Spoglądał z miną winowajcy jakby w obawie, że powietrze słucha tajemnicy, szept jego zabrzmiał jeszcze ciszej, a chłód owiał znowu serce Gannawaya.

— Był to wilk o śladach wielkości ludzkiej dłoni, wilk mający ze sto trzydzieści lub czterdzieści funtów wagi. Z rozplatanym palcem u przedniej nogi, drugi palec od wewnątrz, na lewej, przedniej nodze. Nieraz oglądałem jego ślady. I samego wilka! Czarny olbrzym. Czarny diabeł! Widziałem go, ale ręce mi drżały, kiedy do niego celowałem. Och, nie darmo wróciłem w tę dolinę! Wróciłem, bo znajduje się tu czarny wilk! Czy gdybym go zabił, nie uważa pan, że Królowi byłoby znacznie łatwiej powrócić do mnie po raz drugi? Pytam pana otwarcie, jak mężczyzna mężczyznę, tak czy nie?

Na to miał Adam Gannaway tylko jedną odpowiedź, toteż zebrawszy całą odwagę i siłę woli, odrzekł poważnie:

— Bardzo słusznie. Skoro wrócił raz — postara się prawdopodobnie wrócić znowu. A usunięcie czarnego wilka może mu w tym znacznie dopomóc!

Tucker Crosden podniósł swe ogromne ręce.

— Niech pana Bóg błogosławi! — zawołał.

Jednym susem przemierzył pokój. Chwycił dziecko w ramiona.

— Molly, Molly, zbudź się i posłuchaj! Gannaway jest tutaj. To uczony, który wie wszystko. Zgadza się ze mną. Zgadza się z nami obojgiem. Powiada, że istnieją wszelkie możliwości, a nawet pewność, że Król wróci do mnie!

Wielkie, smutne oczy dziecka wpatrywały się w Gannawaya ze zrozumieniem i sympatią. I po błądoci rozlanej na twarzy domyślił się, że sen jej był tylko udany.

Przeszedł go dreszcz zgrozy.

Ileż to razy w długie zimjowe wieczory siedziała sam na sam z ojcem olbrzymem i patrzyła na ogarniające go szaleństwo. Ileż razy musiała hamować rozszalałą jego wyobraźnię?

Przed oczyma Gannawaya jawiła się rączka dziecięca u steru, kierująca okrętem wśród niebezpieczeństw i burz. Ujrzał własny swój obowiązek. Stał przed nim, choć byłby się chętnie cofnął. Ale Adam Gannaway był uczciwym człowiekiem i wiedział, że sumienie jego nie zazna spokoju, jeśli zostawi tę smukłą dziewczynkę we władzy szaleńca... że będzie musiał zabrać ją stąd prośbą czy groźbą.

Tymczasem Tucker Crosden chodził tam i na powrót po chacie, trzymając Molly w ramionach. Śmiał się i wykrzykiwał nieprzytomnie, nie zwracając uwagi na łzy, co strumieniem spływały jej po twarzy.

XV

Słońce skryło się na długo przed zachodem, a kiedy znalazło się wśród gęstej mgły listopadowej, świat zatonął w szarości. La Sombra otworzyła oczy i ziewnęła. W jaskini panowała tak głęboka ciemność, że widziała tylko błądzący krąg światła u wejścia; słyszała jednak oddech mlecznego syna i dotknęła go końcem zimnego nosa. Warcząc, skoczył na nogi.

Pusty żołądek wywołuje przykre sny — rzekła La Sombra. — Co ci się stało, synu?

Przyczołgał się bliżej, jak gdyby łaknął ciepła jej ciała.

Śniło mi się, żeśmy wrócili do jaskini, że sto psów wypadło na nas i że udusiłem się zapachem człowieka.

Ach, ach — szepnęła wilczyca — czyżbym doprawdy nauczyła cię nienawidzić tego zapachu? Czas jednak ruszać. Nie jedliśmy już dwa dni, a o tej porze ludzie nie pilnują tak starannie brzegów rzeki.

Wypelzli w mrok późnego popołudnia. Kryjówka ich przedstawiała się pozornie jak wielka, naga skała wznosząca się z wód rzeki Winnemago i otoczona stałym, burzliwym, spienionym nurtem. Pewnego dnia, otoczeni ze wszystkich stron przez psy, skoczyli do wody, zwykły przypadek wskazał im wówczas jedyny łąd na skale oraz powiódł ich do wąskiej szczeliny, rozszerzającej się następnie w wygodne miejsce do spania. Wilczyca rozumiała, jaki znalazła skarb. Uczyniła skałę swoim domem i przez cały prawie rok ranczerowie, wściekli ze złości, i nawet ich wyszkoleni łowcy, znęceni stale wzrastającymi nagrodami, wiedzieli tyle tylko, że ślady wilczej pary urywały się na brzegu rzeki. Przeszukano od góry do dołu rozległe, zalesione wyspy wzdłuż rzeki, ale nikomu, nawet obdarzonemu najbujniejszą wyobraźnią nie śniło się, że warto zbadać ten niewielki czubek skalny.

Tego wieczoru La Sombra, obserwując bacznie zarośnięte brzegi Winnemago, nie dostrzegła nic niebezpiecznego, kiedy jednak Biały Wilk oznajmił: Wszystko w porządku! Płynmy teraz, matko! — warknęła: — Wszystko w porządku, jak okiem sięgnąć, co ci jednak powiada to oko, które "widzi", co w trawie piszczy?

Biały Wilk usiadł posłusznie i zaczął węszyć wiatr wiejący od przeciwnego brzegu. Węszył wysoko, nisko i ze wszystkich stron.

Wydra poluje nad rzeką, i daleko, daleko czuję tchórza.

Wydra i tchórz! — warknęła La Sombra. — A może pytałam, czy góry stoją na swoim miejscu? Wołałabym nie nazywać głupcem mego najukochańszego syna, ale czułam wyraźnie wydrę i tchórza, zanim wyszliśmy z jaskini, ty zaś robisz tutaj mądre miny i oznajmiasz mi takie wieści... Cicho! Zawsze to samo... Ślepy nos! Oby nie sprowadził na ciebie niebezpieczeństwa!

Biały Wilk ziewnął i położył się. Czuł się ogromnie dotknięty, tępota w nozdrzach stanowiła jego najślabszą stronę i dlatego udawał senną obojętność na wszystko, co go otacza.

Ty, matko, czytasz w powietrzu. A mnie się spać chce. Zresztą nie pozostaje nam nic innego, jak przepłynąć na drugi brzeg i rozpocząć polowanie.

Zobaczmy — rzekła La Sombra.

Przymknęła oczy jak rasowy wilk, kiedy wsłuchuje się w ciche głosy w powietrzu, które ślą niezliczone wieści drapieżnikom.

Co to? — rzekła nagle. — Czy mnie nos myli, czy też naprawdę szop poluje o tej porze roku? Już dawno powinien zapaść w zimowy sen. Pewnie nie zapaści się dzisiaj zbyt daleko, gdyż lew górski znajduje się w pobliżu. Myślę, że to będzie owo kulawe zwierzę z Table Mountain. Schwyte zostało w potrzask i od tej chwili nie może wyżywić się w górach, schodzi więc na dół, do osiedli ludzkich. Ale kiedy ten dureń, ścigany przez psy, skoczy na drzewo, człowiek zrobi z nim koniec. Nie ma dziś zresztą o czym mówić z wyjątkiem tej trawki, na której wspomnienie ślinka mi do ust idzie. Z tamtej strony zaś, mój synu, nawet z tej odległości czuję zapach owiec w przegrodach. Chodźmy. Na wybrzeżu nie ma ludzi, nikt nie obserwuje nas z ukrycia. Brrrr! Jaka zimna dziś woda i jak szybko bieży!

Zatrzymała się na skraju strumienia, wsadziła łapę i patrzyła, jak woda kłębi się wokół nogi. Jej przyrodni syn wstał również. Nie było to już owo szczenię, które przed rokiem zeszło z gór w nawiedzoną przez człowieka krainę. Po roku łowów, walk i obfitego pożywienia stało się samym sobą i to takim "sobą", jakiego nie spotykano dotąd wśród bullterierów. La Sombra w swym puszystym okryciu wyglądała na dwa razy większą, waga jej jednak nie różniła się ani o uncję. Jędrny, gładki (same kości i mięśnie), o kocich nogach i żelaznej sile szczęk młody ten olbrzym, pokryty jedwabistą sierścią najczystszej białości ważył osiemdziesiąt funtów. Dotknięcie wody przejęło go również zimnym dreszczem, bo zimą i latem zaznaczała się niewielka różnica temperatury w żywionych śniegiem wodach Winnemago.

Zanurzył się ze zwinnością wydry i popłynął, bryzgając pianą, wprost ku pobliskiemu wybrzeżu. Prąd gnał go jednak ze dwieście jardów, zanim dotarł do płytkiego miejsca i wyszedł brodem na ląd. Jednym konwulsyjnym ruchem strząsnął ze swej lśniącej sierści wilgoć i pogalopował na brzeg, by przyjrzeć się, jak La Sombra walczy z prądem strumienia. Brakująca noga wytwarzała przykrą przeszkodę w podobnym wyczynie, wilczyca przywykła jednak do tej pracy. Przepłynęła jeszcze stając do miejsca lądowania Białego Wilka, potem wyszła brodem na brzeg, strząsnęła z siebie bryzgi wody i dotknęła nosem swego towarzysza.

Wszystko w porządku — rzekła — ta dwukrotna codzienna kąpiel utrzymuje naszą sierść w czystości, nie ma zaś większego błogosławieństwa... Czysta skóra zapewnia czystość w pieczarze, o czym wie każdy prawdziwy wilk. Pójdź, ziąb przejął mnie do szpiku kości!

I pomknęła w las, a Biały Wilk za nią. Uszedłszy z milę, rozgrzali się, po dwóch wyschli i wkrótce wyszli spomiędzy drzew na obszerne pastwiska w dolinie. Wąskie smugi światła lamp rozpraszały ciemności i ze sześć domów ukazało im się w rozmaitych odległościach.

Przeskoczyli przez płot na równiutkie pole, kierując się ku ciału jałówki zabitej przed trzema dniami, nim jednak dali ze dwadzieścia susów — La Sombra zatrzymała się i podniosła nos.

Żelazo, Biały Wilku! — rzekła. — Ponasadzali zębów wokół martwego ciała. Musimy polować gdzie indziej.

Uhm — zgodził się Biały Wilk — nawet ja odróżniam ten zapach. To jacyś partacze założyli potrzaski, bo ich zapach miesza się z żelazem.

Patrzcie państwo, mój syn nauczył się, choć nieco mglisto, odróżniać prawdę! Tak, czuje się człowieka na zakopanym żelazie.

Wiatr przynosi świeżą wieść o martwym wole. Chodźmy go zobaczyć.

Zwietrzyłam go już dawno, jest w nim jednak coś niemilego. Zobaczymy, ale ostrożnie, ostrożnie. Czyż nie wiemy, że człowiek czatuje na nas opodal martwych ciał?

Ubiegli pół mili i w krzakach, w rogu pola, znaleźli ciało martwego cielęcia. Biały Wilk skierował się w tamtą stronę, lecz La Sombra, która znajdowała się na wprost wiatru, zatrzymała go westchnieniem strachu i wstrętu.

Trucizna, mój synu! Ani kroku dalej!

Zdaje się, że to nic złego — mnie przynajmniej tak się zdaje.

Znam ten zapach. Już nieraz ci mówiłam. Ludzie wkładają do mięsa niewidzialnego wroga. Widziałam raz, pamiętam, młodego wilczka podczas głodu zimowego, kiedy wilki muszą polować razem, albo zginąć. Zjadł taką padlinę i skończył w straszliwych bólach, gryząc swoje własne ciało. Okropna rzecz! I padlinę i oddech konającego wilka czuć było takim samym dziwnym odorem. Idźmy dalej!

Mimo pewnych wątpliwości Biały Wilk wiedział, że inteligencja jego w tych sprawach nie da się porównać z mądrością La Sombry. Powędrowali dalej, i przechodząc obok rancho stroną przeciwną od wiatru, La Sombra przywarła dyszącą piersią do ziemi, by móc lepiej węszyć i obserwować.

Jakie ohydne powietrze rozchodzi się z jaskini, gdzie mieszka ten czart człowiek! — rzekła La Sombra.

Czuję człowieka, żelazo, dym drzewny i jedzenie.

A nie czujesz świeżego mięsa?

Nie.

Nie jada mięsa, nie zmarnował go wpróż zapachem ognia. Niegdyś, za młodu, widziałam raz, leżąc w gąszczu, jak ludzie popełniali ten nonsens. Coś niesłychanego, prawda, Biały Wilku?

Trudno mi się już dziwić — odparł terier — albo to nie mieszkaliśmy im pod nosem niezliczony szereg księżyców?

Cicho, dziecinko. Mówisz tak, boś nie widział z bliska jego twarzy ani oczu.

Ma swoich niewolników. Ma żelazo i donośny głos, co zabija z wielkiej odległości, ma truciznę i psy. Czy nie ma psów w tym domu? Ja, Biały Wilk, pomówię z nimi.

O, mój synu — jęknęła La Sombra — te zabawy spowodują twoją śmierć.

Pokażę im tylko zęby — rzekł Biały Wilk płacząco. — Chcę pomówić — albo popatrzeć.

I znikł w cieniu nocy.

XVI

Ukryty w żywopłocie okalającym dziedziniec Biały Wilk ujrzał zgraję psów. Większość ranczo miała tego rodzaju zbieraninę: ze dwa — trzy nieokreślone mieszańce, wielkie zwierzę z gatunku brytanów i dwa wyżły. Biały Wilk znał te typy. W ciągu minionego roku wyzyskiwał każdą sposobność zaznajomienia się z systemem walki różnych psów i doskonalenia swego własnego stylu. Albowiem w puszczy napisano: "Będziecie żyli dzięki swoim zębom!" Prócz tego Biały Wilk lubował się walką dla samej walki. Na próżno zapewniała go wilczyca, że wszelkie bójkę z wyjątkiem koniecznych są nieopisanie głupie. Instynkt płonął w terierze jak ogień, co nigdy nie gaśnie.

Toteż z bijącym sercem leżał po stronie przeciwnej od wiatru i obserwował całą grupę zastanawiając się, czy miała zbyt wielką nad nim przewagę. Zasadniczo żywił pogardę dla psów. Umiał poradzić sobie z nimi dwojakim sposobem: jeśli było ich dużo, mógł zastosować taktykę La Sombry i Miękkoucha — dwóch ekspertów w sztuce gryzienia ze szkoły Szarego Wilka, który uczy, że powinno się nacierać ramieniem, a ciąć kłami jak nożem. Biały Wilk przewyższał innych w tej pracy, był bowiem znacznie zwinniejszy w nogach, jędrniejszy i umiał czołgać się po ziemi. Niższość jego polegała na tym, że nie potrafił ciąć ani rwać z takim skutkiem jak prawdziwy wilk.

Drugiego systemu, wymagającego tylko wprawy, używał jedynie wobec pojedynczego wroga. Instynkt podpowiadał mu, by sięgnąć do głowy nieprzyjaciela, chwycić — o ile możliwości — za szczękę, następnie za gardło, albo przynajmniej za przednią nogę, potem zatopić zęby aż do kości lub do źródła życia. Dwojako przysposobiony do walki, nie znał uczucia tak niskiego jak strach. Patrzył i czekał.

Drzwi do kuchni się otworzyły, w mrok wystrzelił snop migocącego światła i warczącej sforze wyrzucono wielką kość. Skupiła się nad nią, a głośnie ujadanie przeszło w piekielną wrzawę, aż póki z kąta podwórza nie podniósł się olbrzymi brytan. Przecisnął się przez kłębowisko psów, złapał kość i jednym warknięciem rozproszył gromadę. Stały z daleka, śliniąc się z bezsilnej wściekłości, lecz nie mając odwagi postąpić ani kroku bliżej.

Biały Wilk powstał z miejsca i przyjrzał się baczniej zwycięzcy. Płowy jak lew górski, ciężki i masywny, powolny w nogach, miał szczękę ogromną i potężną jak żelazne imadło, w tym kryła się niewątpliwie przyczyna lękliwego dygotu i bezradności psów stojących z daleka. A może szczęka ta zawarła się nad niektórymi z nich i nie mogły zapomnieć ani lekcji, ani bólu?

W tym czasie zjawiała się nowa kość zasobna w spore skrawki mięsa i żółty szpik w środku. Bullterier znosił męki. Wreszcie nie mógł dłużej czekać. Przewaga była po tamtej stronie: tuż obok dom człowieka, a główna postać — godna szacunku w zapasach. Ale nagroda warta była walki, a bójka stanowiła wartość sama przed się.

Rzucił się niby orzeł spadający ze szczytów skalnych, mignął raz i drugi przed oczyma zaskoczonego brytana, zęby jego chwyciły kość i wyrwały mu ją z pyska.

Mógł być odejść spokojnie ze swym łupem, lecz — choć smak gotowanego mięsa przenikał go nieznaną słodyczą — nie miał chęci na samo jedzenie. Pragnął walki, a oto nastęczała mu się sposobność. Znajdował się ciągle jeszcze obok grupy psów po stronie przeciwnej od wiatru, psy zaś, wpatrzone weń, nie sposobiły się wcale do ataku. Białemu Wilkowi wydawało się to dziwne. Wietrząc go, rzucały się ku niemu z okrzykiem: Wilk! Wilk!, a teraz — kiedy znajdował się przeciw wiatrowi — spoglądały na niego jak na jednego ze swoich. Nie mógł rozwiązać tej zagadki.

Wilk czy nie wilk — brytan w każdym razie nie zdradzał ochoty oddania tego smakowitego kąska bez walki. Zakołysał się na nogach i ruszył do ataku. Biały Wilk uskokzył w bok jak zawodowy bokser i jednym kłapinięciem zębów rozciął biodro potwora.

Wilk! — sapnął brytan zwietrywszy teriera. Zawirował jak szalony i zaatakował go znowu. Uderzył ponownie w próżnię, ponownie otrzymał karzący cios. Potem stracił poczucie rzeczywistości. Ze wzniesioną głową rzucił się znowu naprzód. Na tę chwilę czekał terier. Dał nura w górę i w dół jak foka i podłużna jego szczęka zamknęła się na gardzieli większego od siebie psa.

Wilk! — westchnął brytan, szamocąc się na grzbiecie w bezcelowej walce. — Na pomoc!

Wilk? — warknął jeden z wyźłów, wyzyskując chwilę, by porwać porzuconą kość. — Wilk? Nie, pies, tak jak my, a teraz twój pan, ty gruboboki morderco!

Wilk! — dławił się brytan. — Umrę, jeśli mi nie pomożecie. Wilk! Nie czujecie jego zapachu?

Oczy wyszły mu na wierzch, język wywalił się daleko z pyska, gdy bullterier chwycił go głębiej za gardło i zatopił w nim zęby. Lecz w tej chwili mieszaniec, który z niespokojnym ujadaniem podskakiwał w stronę wiatru od walczącej pary, zatrzymał się z nosem zadartym do góry.

Wilk! Wilk! — wołał. — To prawda!

I zęby jego znalazły się natychmiast w jednej z tylnych nóg teriera. Na ten przykład reszta przy wtórze okrzyków przerażenia rzuciła się kupą na Białego Wilka.

Odwrócił się od wyczerpanego brytana. Jednym ciosem rozdarł mieszkańcowi skórę od oka do ucha. Wyjął puścił jego nogę. Drugim rozłupał ucho i policzek wyżyła. W chwili kiedy podnosił się jak biały lecz zły duch spośród potykających się psów — drzwi kuchenne otworzyły się i głos kobiety zawołał:

— Jerry, Mack, cicho tam, wariaci. Wielkie nieba, to Biały Wilk!

Była to osóbką wrażliwą i przy lepszym oświetleniu widziałaby więcej. Zapadał jednak zmierzch, dostrzegła tylko białą sylwetkę wyłaniającą się spośród sfory psów, które cofnęły się jak przed złym duchem. Upiór zatrzymał się, by podnieść kość wołową, potem uciekł przez żywopłot. Wszystko to odbyło się w mgnieniu oka.

— Tato! — wrzasnęła dziewczynka we drzwiach. — Biały Wilk, słyszysz? Zabił Champa, położył jeszcze dwóch... i... szukajcie go, chłopcy! Za nim Jerry! Hej, Mack, bierzcie go! O, wy głupcy! Wy tchórze!

Poturbowane psy leżały skomląc i liżąc skaleczenia, a te co wyszły cało, oglądały dokładnie zniszczenia. Kręciły się bezmyślnie po podwórzu, wyjął przeraźliwie i prosząc swego pana, aby powiódł je do walki, a okazały się mężne jak lwy.

Sid Harter chwycił niezwłocznie za strzelbę. Kiedy usłyszał słowo "Biały Wilk" — oczom jego wyobraźni jawiła się złota wizja dwudziestu pięciu setek dolarów. Jednym susem dopadł drzwi z rewolwerem w dłoni. Za późno było jednak nawet na strzał "chybił trafił". Dojrzał tylko tyle co inni: szary cień sławetnego pogromcy w mroku zapadającego wieczoru.

— Gdybym był widział! — jęczał. — Za późno. Ten diabeł ubije nam do rana parę wołów, jeśli go nie odpędzimy. A nie możemy go odegnąć z tak poturbowanymi psami!

Mary, idź do telefonu. Idź prędko i zadzwoń do domu Chicka Parkera. Znajdują się tam bracia Loftusowie z psami, którzy tak dużo rozprawiają o tym, co zrobią. Mają teraz sposobność obejrzenia świeżuteńkich śladów! Zobaczmy, co są warci oni i ich psy!

W cieniu jodeł Biały Wilk wyciągnął się dysząc u boku wilczycy. Choć leżała przed nią wielka kość, obwąchała przedtem rany w nodze syna.

To nic — szepnęła z westchnieniem — zadraśnięcia skóry. Podszedł z tyłu, kiedy kładłem trupem drugiego. A mimo wszystko jestem zbyt zgrzany i niezdolny do dalszego wysiłku. Rozłup tę kość, mamó.

Aha — uśmiechnęła się La Sombra. — To takie buty? Przy tych wszystkich bójkach i wybrykach potrzebujesz mnie jednak do niektórych rzeczy? Nie umiesz rozłupać takiej dużej kości?

Nonsens — sapnął jej mleczny syn. — Chcę oszczędzić siły w szczękach na wypadek nowej roboty. Rozłup mi kość i nie mów dużo.

Ja nic nie mówię — odparła La Sombra bardzo rada. — Nie oszukasz mnie jednak, biały synu! Nie oszukasz! Wszystko idzie tak, jak iść powinno: młodzi muszą uczyć się od starych. No, a teraz uważaj, o tak!

Przytrzymała łapami koniec kości tak, że drugi odstawał od ziemi. Potem chwyciła gwałtownym ruchem głowy i całą siłą swych potężnych szczęk. Ku zdumieniu Białego Wilka gruba powłoka kości skruszyła się pod tym chwytem. Mimo prób i starań, mimo chęci do nauki nie mógł nabyć ani takiej siły szczęk, ani zręczności w zastosowaniu tej siły.

La Sombra wydobyła szpik. Zjedli go leżąc zgodnie obok siebie. Nie słyszała dotąd, aby wilki dzieliły się taką zdobyczą.

XVII

Polowali bardziej na zachód, w stronę pustyni. Nie ciągnęło jej do samej pustyni, czuła bowiem, że teraz, kiedy okulała, wielkie przestrzenie stały się dla niej niebezpieczne, podeszli jednak aż na sam skraj, wietrząc witające ich zapachy.

Na tym wzgórzu pasie się bydło, mój synu.

Nie jestem nastrojony do polowania na byka.

Na prawo, po stawie pływają gęsi.

Niech sobie pływają. Babrzą się w błocie i śmierdzą gnojem.

Obok tej stodoły, z której wydziela się słodki zapach siana, znajdują się świnię.

Ach, to już coś lepszego.

Idziemy zatem?

Mądra La Sombro, wskazujesz mi drogę jak słońce. Idź pierwsza, a ja podążę za tobą.

Gdy przyszli do pełnego świń chlewu, La Sombra zatrzymała się.

Co to? — spytała.

Nie słyszę nic.

Oderwij się od tego mocnego zapachu i wsłuchaj się w coś, co cichsze jest od wiatru.

Zaczął nasłuchiwać znowu i z horyzontu chwycił uchem ledwo dosłyszalne naszczekiwanie psa.

To pies przy pracy — rzekł.

Przeciw jakiemu nieprzyjacielowi?

Skądże mogę wiedzieć? Może to ten sam szop, którego zwietrzyłaś, nim oddaliliśmy się od rzeki?

Żaden pies nie szczeka takim głosem na szopa. To poważniejszy zwierz. Posłuchaj, mój synu!

Słyszę wyraźniej, to pojedynczy głos.

Słyszysz wyraźniej, bo idzie w naszym kierunku.

Jedźmy, matko. Boisz się jednego psa?

Pies, co poluje o tej porze, może się znajdować w towarzystwie człowieka. Zaczekajmy, nie bierzmy się do jedzenia. Mamy dużo czasu, a jak ci wiadomo — niełatwo biec z pełnym brzuchem.

Ha! — warknął Biały Wilk — całe życie schodzi ci na podejrzeniach! Ciągłe zwątpienie — to wieczna udreka. Serce mi się wyrzywa do tej świni!

Niech się wyrzywa. Oho! Słyszysz teraz? Coraz bliżej. A co powiesz, jeśli ci oznajmię coś, co powinienes już wiedzieć? Że psy szczekają w takiej tonacji wtedy, kiedy biegną śladem wilka!

Terier nastawił uszu i słuchał, przywarłszy głową do ziemi.

To prawda — rzekł. — Biegną śladem wilka.

I jesteśmy daleko od rzeki. Chodź, mój synu. Musimy ruszać z powrotem. Przede wszystkim skoczmy do przegrody dla świń. Zapach ich przytłumi nasz własny.

I nim przerażeni świniarkowie mieli czas otworzyć senne oczy, wpadli i wypadli z przegrody.

Jak łatwo, jak łatwo byłoby — westchnął Biały Wilk, kiedy mijali chwew, ramię przy ramieniu. — Ten biały wieprz, co spał na boku wystawiwszy gardło dla twoich kłów, mamusiu... Jak łatwo, jak łatwo byłoby.

Przy pustym żołądku lżejsze nogi i ostrzejszy ząb, mój synu. A lepiej żyć głodno, niż syto umrzeć. Przejdźmy przez tę rzeczikę, rzućmy okiem na pozostawione przez nas ślady i rozejrzyjmy się. Jak szybko przybywa to psisko!

Szczekanie psa biegło istotnie w ślad za nimi.

I konie — rzekła La Sombra. — To oznacza ludzi.

Teraz mogli już rozróżnić trzask drobnych gałązek pod kopytami galopujących koni.

Schronili się w zaroślach, skąd rozpościerał się widok na jasną, otwartą przestrzeń, przebytą przez nich po drodze z pól uprawnych na pustynię. Ledwie zdążyli się ukryć, gdy głośnie ujadanie psa dobiegło ich uszu i na polanę wpadło chuderlawe stworzenie o ciele charta i groteskowej głowie wyżła, osadzonej na długiej szyi. Biegło żwawo, chwilami tylko obwąchując ziemię, a za nim jak pięć rzuconych włóczni mknęło pięć dużych, ciemnych psów, większych od wilków, o podłużnych, posepnych głowach. Cisza towarzysząca biegowi czyniła je jeszcze straszniejszymi, a długie susy przenosiły je lekko po ziemi.

Znikły natychmiast wśród dalej położonych drzew. Potem ukazało się i znikło dwóch jeźdźców. La Sombra wstała z miejsca i wyszła w zmierzch wieczoru. Wstrząsnął nią dreszcz.

Dobrze, że nie jesteśmy najedzeni?

Dobrze, matko. Nic nie powstrzymałoby ich od schwytania nas, gdyby nie te sprytne ślady, jakie umiesz zostawiać za sobą. Tylko twój rozum może ich zwyciężyć, jeśli jednak nas dogonią, okażą się na pewno czym innym niż te podobne do królików zgraje, z jakimi mieliśmy dotychczas do czynienia.

Nie udali się wprost nad rzekę dzielącą ich od jaskini na skale, krążyli obok farm rozsianych wzdłuż lekko wijącej się drogi. W każdej farmie zapach ich słabnął na chwilę, w przerwach zaś La Sombra biegła co tchu na swych trzech nogach.

Głos psa zamarł na wietrze, ale wkrótce odezwał się znowu. Sześć psów podbiegło do ostatnich śladów, okrążyło je i pomknęło z nadnaturalną szybkością. Sama szybkość, jak słusznie zaznaczył terier, nie ocaliłaby prześladowanych. Czas jednak i nowy odgłos pościgu płynęły chyżo z wiatrem, potem czas i psy zatrzymały się znowu i spoczęły, a tymczasem sprytny badacz śladów odcyfrowywał znaki.

W ten sposób para biegnąca przodem dotarła do ostatniego ranczo, gdzie otrząsnęła się po długiej wędrówce po polach i lasach. La Sombra czuła się jednak wyczerpana. Zanim znaleźli się w połowie drogi do skraju lasu, usłyszeli szczekanie psa na otwartej przestrzeni. La Sombra westchnęła.

Zbliżają się szybko, ach, mój synu. Jeśli przydał ci się kiedyś mój rozum, jeśli rozwiązał kiedyś nos mój jakąś zagadkę, jeśli strzegła cię moja siła, a karmiło mleko — bądź mi wierny i nie opuszczaj mnie!

Jej mleczny syn biegł o pół kroku z tyłu.

Nie myśl o tym — odparł dysząc. — Zbierz siły do biegu i pamiętaj, że jestem tu, aby cię bronić, jeśli potrafię cię obronić. Biegnij wytrwale, biegnij śmiało. Nie opuszczę cię nigdy, matko.

Słowa te dodawały jej otuchy, a otucha — to siła. Ramię, które nie mogło podołać ani podtrzymać ciężaru jej nierównych kroków bolało jak gdyby wrywano z niego żyły, nie ustawała jednak w pracy, choć krwawa mgła wyczerpania rozpościerała się przed jej oczyma.

Dotarli do lasów i pomknęli najprostszą drogą do wody, tam gdzie Winnemago skręca w stronę pustyni. Lecz, ach, jakże szybko zbliżało się niebezpieczeństwo. Zdawałoby się, że nogi prześladowców nie znają zmęczenia, La Sombra natomiast potykała się coraz częściej na swych niepewnych nogach, a puszysty jej ogon włókł się po ziemi pełen błota, wilgoci i splątanych liści.

Nie mogę dalej — wzdychała. — Zatrzymajmy się i umrzyjmy razem.

Naprzód, naprzód! — wołał Biały Wilk. — Rzeka już blisko. Czy to, co lśni przed nami, to nie woda?

Ujrzeni pierwszy blask wody, ale jednocześnie rozległo się dzikie ujadanie wszystkich sześciu olbrzymów, które po raz pierwszy dostrzegły nieprzyjaciół.

Jak prędko się zbliżały! Biały Wilk spoglądając przez ramię ujrzał pięć ciemnych potworów, jak przesunęły się obok pierwszego psa i bez wysiłku zrównały się z nim. Mknęły niby rzucone włócznie, a do wody było jeszcze daleko.

Naprzód! — szepnął Biały Wilk zdyszany. — Naprzód, naprzód, matko! Zatrzymam je, a ty tymczasem śpiesz do wody. Prędeż!

Nogi mi się uginają... To śmierć, Biały Wilku!

Nie, to życie! Prędeż, La Sombro!

Wyjął słowa te w śmiertelnym strachu, czuł bowiem już na sobie cienie prześladowców i zadyszany oddech ich dowódcy.

Żaden długonogi wilk ani pies gończy nie potrafiłby wykonać podobnego manewru. Wymagał żelaznych nerwów i jędrnego ciała. Biały Wilk zawirował w kółko i rozpląszczył się na ziemi. Ujrzał nad sobą paszczę o długich zębach, skulił się jednak za bardzo, by zęby te mogły wbić się w jego ciało. Musnęły go po grzbiecie, a tymczasem chwyt teriera niby żelazna dłoń uwięził przednią nogę psiska.

Ktoś musiał ulec. Żywe ciało i nerwy nie mogły podołać nagłemu, szarpiącemu wysiłkowi. Gdy wilczur skoczył w górę i upadł ciężko na grzbiet — pękła w poprzek kość w przedniej nodze psa.

Tak padł Tygrys, najszybszy i najstarszy ze sfory. Leżał skowycząc na ziemi, w męce konania gryząc mech i kamienie, gdy tymczasem terier pozostał tylko pośród pięciu wrogów.

Szczekanie dowódcy i manewr białego nieprzyjaciela odwrócił uwagę psów od kulawej wilczycy, która biegła tymczasem ku rzece. Cisnęły się jeden przy drugim, w dzikim zamieszaniu i pragnieniu zatopienia zębów w bullterierze.

XVIII

Biały Wilk powalony na ziemię koziolkiem Tygrysa, stracił na wpół przytomność, zachował jednak instynkt, który uczył go zawsze walczyć jak najbliżej ziemi. W ten sposób podniósł się pod długimi nogami ogromnego Lizusa i ciął go w brzuch zębami iście po wilczemu. Lizus zwinął się w kłębek, lecz straszliwa rana nie pozbawiła go sił do walki, a kiedy wyprostował się — oszalały z bólu sprawiał wrażenie dotkniętego wściekłą zwierzęciem.

Cztery potwory rzuciły się na Białego Wilka. Istny atak na trzepocącego mola. Ruchliwe jego nogi odbijały się od ziemi jak na sprężynach, nim jeden ząb go zadrasnął — znajdował się to u góry, to u dołu, to blisko, to daleko. Usłyszał jednak drgający plusk wody, kiedy La Sombra rzuciła się w nurty rzeki.

Wiedział dobrze, że jednym, gwałtownym ruchem nie zdoła dotrzeć do wody. Opedał wybrzeża znajdowała się grupa wysokich skał, więc skoczył w bok, a potem na szczyt zwałów.

Nie zapewniło mu to trwałego bezpieczeństwa, zyskał jednak możliwość walki w pojedynkę, toteż kiedy Doc skoczył w jego stronę, Biały Wilk zadał mu potężny cios przez pysk, oślepiając go na jedno oko, a Grampus, który sprytnie napadł na niego z tyłu, otrzymał cięcie przez ucho i kark, aż runął ze skowytami na ziemię.

W Białym Wilku serce rosło. Wiodło mu się i wszystko szło dobrze, gdy wtem dwóch jeźdźców wypadło zza drzew. Dźwięczne ich głosy zabrzmiały jak dzwon żałobny w uszach teriera.

— O, tu leży Tygrys ze złamaną nogą! — zawołali. — Gdzie te dwa diabły, na Boga!

— Widzę tylko jednego. Myślę, że o, tam, na skale, jest coś białego. To Biały Wilk, Tom! Bierzcie go, dzieci! Pete, Lefty, Lizus, Doc, Grampus! Bierzcie go wszyscy razem! Tom, gdzie twoja strzelba? Dwadzieścia pięć setek do nas należy!

Zdawałoby się, że dźwięk głosu człowieka odmienił wszystkie psy. Zaczęły się wdrapywać na stromą ścianę skalną i zaatakowały Białego Wilka z szaleńczą nierozważnością, która wzbudziła jego podziw. Z Tygrysem sprawa już się skończyła, Lizus po raz ostatni skoczył na skałę i leżał u jej stóp brocząc krwią i dysząc, a wraz z krwią szybko uchodziło z niego życie. Pozostawały jednak cztery oszalałe diabły nie znające strachu. Kiedy napadały od tyłu — przepędzał je warknięciem i błyskiem zębów, lecz gdy się odwrócił — podłużne szczęki Lefty chwyciły go za gardło. Nawet wilk mógłby pozazdrościć siły tego chwytu, którego skutki znał terier doskonale. Taki sam cel przyświecał wszystkim walkom, a daremna szarpanina i wysiłki nie uwolnią z uścisku. Pozostało mu tylko jedno. Druga para szczęk cięła go w bok, chybiwszy jednak o ćwierć cala, ocaliła go od śmiertelnego uścisku, inaczej bowiem cała czwórka zatopiłaby w nim zęby.

Biały Wilk rzucił się ze skały na kamienie, o trzydzieści stóp poniżej. Padając, ujrzał nad sobą migocące gwiazdy, następnie spostrzegł, że zagasty, miał natomiast pod sobą czarne płaszczyzny kamieni. Potem uderzyli o skały. Siła tego uderzenia wystarczyłaby, żeby zgasić w Białym Wilku ostatnią iskierkę życia, stoczyłby się bezsilnie ze zbocza w bystre nurty

Winnemago. Wtem rozluźnił się uścisk zębów Lefty, by nigdy już nie zamknąć się na gardle wroga. Ciężar dwóch spadających ciał przygniótł grzbiet Lefty i złamał kręgosłup jak kruchą krede. Skonała w mgnieniu oka, a Pete, Doc i Grampus staczając się ze wzgórza na brzeg wody, ujrzeli białego spa, unoszonego prądem niby niewidzialną, silną dłońią.

— Boże, miej nas w swej opiece, straciliśmy trzy psy! — wrzasnął Dan Loftus. — Zwołaj resztę, zanim te przekłete wilki zamordują je w wodzie. Daj mi strzelbę! Kto by pomyślał, że to się może stać? Strzelaj, Tom. Ja straciłem rezon.

— Nic nie widzę! — westchnął Tom stojąc nad brzegiem wody ze strzelbą w ręce. — Nic, tylko szereg sieci dla ryb, ot, tam gdzie woda pieni się wokół skał. Dan, przegraliśmy całą sprawę. Pomóż mi zajrzeć do psów. O, mój Boże, co za noc! Jeden Wilk przekroił nasze stado jak nóż masło. I to nawet nieduży! Widziałem już wiele takich niedorostków, w których siedzą wszyscy diabli!

Biały Wilk, osłabły z wysiłku i utraty krwi, na wpół uduszony wodą, która dostała mu się do gardła, kiedy stoczył się w nurty Winnemago, dotarł z trudem do miejsca lądowania na skale, nie miałby jednak sił wdrapać się do jaskini, gdyby nie przybrana matka, która oczekiwała go stojąc po kolana w wodzie, chwyciła za kark i wciągnęła na górę.

Powlókł się na swych zmęczonych nogach do pieczary i legł u wejścia z zamkniętymi oczyma, wyciągnięty bezsilnie na boku, podczas gdy wilczyca lizała jego rany, szepcząc: Istnieje tylko jeden syn, a jest nim Biały Wilk. Inne matki też wydały na świat synów, ale nie takiego jak ja... Leż cicho. Oddychaj głęboko. Nie umrzesz. Omdlałeś nie od ran, a z wyczerpania. O, mój synu, jeśli zawdzięczasz mi życie, zapłać mi za nie w dwójnasób: pokonaniem byka i zwycięstwem nad psami. Dlaczego nie rozdarły cię na strzępy? Czy masz ciało z żelaza? Czy niepodobna zadać ci ran? Cicho, nie mów nic, wszystko będzie dobrze, musisz spać, a gdy się zbudzisz — rany się zagoją.

Nie zagoiły się co prawda, ale rankiem stan ich znacznie się poprawił. Mimo osłabienia La Sombra odważyła się wyjść na brzeg i wróciła o świcie, niosąc upolowanego królika. Nie tknęła ni kawałeczka, choć brzuch jej przypominał pusty balon. Siedziała tylko, patrząc ognistym wzrokiem, jak zajadał i jak zaraz zapadł w sen. Cały dzień czuwała przy nim i lizała jego rany, dopiero nocą opuściła go, by upolować dla niego i dla siebie, a kiedy wróciła — wyszedł jej na spotkanie, na brzeg wody.

XVIII (c.d.)

Był, zaiste, z żelaza: rana, która powaliłaby psa wyhodowanego przez człowieka na przeciąg dwóch tygodni — po trzech dniach okazała się u Białego Wilka powierzchownym zadrażnieniem.

Czwartego dnia wyszli. Ujrzeli łódź płynącą wolno w dół strumienia i zatrzymującą się przy każdej małej wysepce. Ludzie wychodzili na brzeg i czynili gorliwe poszukiwania. Wiadomo, czego szukali i wiadomo również, że występ skalny nie uszedłby uwagi pary zawołanych myśliwych. Toteż z zapadnięciem zmroku Biały Wilk i La Sombra zanurzyli się w wodzie i przepłynęli na drugi brzeg.

Szli naprzód z biegiem strumienia trzymając się skał nadbrzeżnych, gdzie w ciągu pół godziny rozbryzgujące się wody zmywają i zapach, i ślady. Biegli ze cztery — pięć mil po oślizłej ścieżce, nim odważyli się opuścić brzeg Winnemago i pomknąć w głąb. Potem skierowali się wprost ku wyższym pasmom gór.

Posuwali się wolno, zbaczając często na północ i południe na codzienne łowy, na ogół jednak droga ich wiodła na wschód, ku górze Spencera, która rosła i rosła, aż zarysowała się potężnie na tle nieba, przerastając górę Lomas na południu i płaski szczyt Table na północy. Nie zamieniwszy z sobą ni słowa, dążyli do znanej im doliny Siedmiu Sióstr, każde zaś czuło, że zbliża się ku niebezpieczeństwu, przed którym uciekło rok temu. Biały Wilk nie miał jednak pojęcia o szczególnego rodzaju niebezpieczeństwie, jakie zimy tej zawisło nad górami.

Pewnego dnia cudem uniknęli katastrofy: podczas straszliwej wichury, która odwiewała wszelkie zapachy, spotkali się dosłownie nos w nos ze sparszywiałym, rudym lisem podążającym na zachód. Odskoczył i stał niezdecydowany, gotów do ucieczki, ale jak każdy lis niechętny do zbytecznego wysiłku.

Czy mam wziąć to zwierzątko za kark i rzucić głową na dół ze ściany kanionu? — zapytał Biały Wilk. — Znajduje się tak blisko, że mogę schwytać je od razu, nim się oddali. Powiedz mi, La Sombro!

Spójrz jeszcze raz — odpowiedziała wilczyca. — To stworzenie jest nieczyste. Nawet umierając z głodu — nie dotknęłabym zębami jego skóry. No i co, ty mały, rudy szczurku? Dokąd zmierzasz i czemu masz takie zapadnięte boki?

Lis uśmiechnął się złośliwie i nienawistnie, a spróchniałe kły czyniły jego uśmiech szczególnie złowróżbny i szkaradny.

Wracam stamtąd, dokąd idziecie — rzekł. — Nie radzę wam, byście zawrócili, bo wilki to uparte durnie. Skoro jednak przekroczycie góry, drodzy przyjaciele, kiszki zagrają wam marsza. Nawet myszy pozdychały z braku ziarna, a króliki od epidemii; bez królików i myszy cóż pozostaje nam, którzy musimy mieć mięso? Adios, przyjaciele. O tobie, Biały Wilku, słyszałem nawet tutaj, w górach. Ostrzegam cię jednak: kiedy znajdziesz się wśród prawdziwych wilków, to poznają, że jesteś tylko psem i zjedzą cię na obiad, przyjacielu. Szczęśliwej podróży!

Skoczył na wysoki złom skalny, potem jeszcze wyżej, a potem lekko pomknął drogą.

XIX

Przekonali się wkrótce, że słowa chorego lisa tchnęły szczerą prawdą. Przybywszy na szczyt kanionów bukszpanowych i znalazłszy się na dobrze znanym wysokogórkim gruncie, gdzie gałęzie wiecznie zielonych drzew ugięły się pod ciężarem śniegu spiętrzonego na ziemi — stwierdzili, że nie ma tam nic żywego, oprócz szerokoskrzydłych jastrzębi żeglujących niestrudzenie to tu, to tam w poszukiwaniu żeru.

La Sombra kłapnęła niecierpliwie zębami.

Jeśli jastrzębie cierpią głód, to czekają nas ciężkie czasy, mój synu. Ale starczy nam chyba sprytu, by nie dopuścić do śmierci. A może chcesz zawrócić w doliny? Jest tam jeszcze mnóstwo owiec i bydła.

Biały Wilk przeziął srodze, wiatr cesał krótką jego sierść i przenikał niby ostrze miecza aż do szpiku kości. Słowa wilczycy owionęły go jeszcze większym zimnem. Przymknąwszy oczy, ujrzał sforę długonogich psów mknących przez równinę, ogromnych jak dorosłe wilki, ale szybszych i wyszkolonych w zespołowej walce jak rodzice w obronie swych młodych.

Biały Wilk rozmyślał. Odniesione dzięki szczęśliwemu przypadkowi zwycięstwo nad trzema potworami w jednej, niezapomnianej utarczce, nie zmieniało faktu, iż pierwsze lepsze dwa psy, mając odpowiednie warunki i odrobinę szczęścia, byłyby go z łatwością położyły trupem. Nie odczuwał zupełnie chęci powrotu w niziny i spotkania owych długonogich bestii, nie przyszło mu nawet do głowy, że narobił tyle spustoszenia w tym wyjątkowym stadzie i że pognął ducha pozostałych.

Nie, spróbujmy szczęścia wśród śniegów, głodu i ludzi w dolinie Siedmiu Sióstr — rzekł do La Sombry. — Lepsze to niż spotkanie z psami w dolinie Winnemago.

La Sombra pochyliła głowę i liznęła nieco puszystego śniegu, skryła przed synem błysk swych oczu, nie mogła jednak ukryć zadowolenia w głosie.

A więc nie tylko przeze mnie, biały synu?

Ze względu na nas oboje — odparł Biały Wilk. Miał naturę uczciwszą niż zwyczajny wilk, na myśl o wielkich psach, ledwie zagojone rany w jego gardle zaczynały płonąć gorączką.

Zamieszkali w dawnej jaskini na szczycie kanionu Dunkeld. Pod koniec trzeciego dnia natrafili na jednego, jedyne, na wpół zagłodzonego królika, zbyt osłabłego, by mógł uciekać. Biały Wilk zaczął zdradzać objawy złego samopoczucia. Potrzebował jedzenia, aby żyć i pracować. Można zagłodzić wilka, aż stanie się luźno powiązanym szkieletem złożonym ze ścięgien i kości pokrytych obwisłymi fałdami skóry, będzie mimo to biegał jak zwykle i zachowa zdolność tę aż do śmierci. Pies nie ma podobnych zasobów żywotności. Brak mu cierpliwości. Nie może patrzeć w oczy naturze, będąc w kiepskim humorze. Zaczyna gryźć.

Wiedziała o tym La Sombra dzięki swej intuicji, ta zaś powiadała jej wyraźnie, że syn jest kapryśnikiem, co potrzebuje wiele dobrego jedzenia. Wracać na równiny nie chciała i nie mogła, a jeśli miała zostać w górach — musiała dbać, aby jej opiekun i żywiciel był syty.

Odczuwała to tak żywo, że potrafiła zwalczać najstraszniejsze męki głodu, byle tylko dostarczyć lepszego pożywienia mlecznemu synowi.

Pod koniec trzeciego dnia opuścili dawną jaskinię i zszedłszy w dolinę rzeki Tomahawk, natknęli się na matkę łosia i jej dorastającego syna. Biały Wilk chciał od razu przystąpić do ataku, lecz powstrzymała go od tego przezorna, stara weteranka.

To nie wyhodowane przez człowieka bydło na pastwisku — rzekła. — Nie myśl, mój synu, że ślepną i głupieją wśród walki. Oczy ich, podobnie do naszych, otwierają się najszerzej w obliczu niebezpieczeństwa! Trzeba by więcej niż dwóch wilków, aby powalić jedno z nich. Jeśli napadniemy na młode — rzuci się na nas matka, a jedno uderzenie jej nogi pogruchoce nam żebra. Wierzaj mi, widziałam, jak przytrafiło się to najmądrzejszemu wodzowi największego stada, jakie zdarzyło mi się spotkać zimą. Możemy jednak iść w ślad za tą parą; zobaczymy, jakie stworzą się możliwości. Jeśli jest to młoda, niedoświadczona matka, może... Aj, aj, cóż za surowa zima, mój synu! Teraz dopiero szanujące się wilki powinny trzymać się razem. Idąc stadem, już chrupalibyśmy kości tych dwojga.

Mówiąc to, oblizywała cienkie wargi, a nabiegłe krwią od głodu oczy przeniosły się jak błędny ognik ku nagim drzewom i spadzistym wzgórzom.

Dwa dni podążali w ślad za łoszą, która szła wprost ku miejscu zebrań łosiów w górnym biegu rzeki Tomahawk. Czujność jej nie słabła dniem i nocą. Raz, kiedy La Sombre się zdawało, że jest już sposobność zbliżenia do łoszka i chwycenia go za udo, przerażony krzyk młodego zwierzęcia wywołał wściekły atak samicy, rzuciła się na La Sombre, omal nie zbiła jej z nóg i nie wysłała na tamten świat — ten najpiękniejszy teren myśliwski wszystkich szanujących się wilków.

Źle wiodłoby się La Sombre i jej przybranemu dziecięciu, gdyby jednego dnia nie znaleźli w śniegu zmarzłego królika, a nazajutrz — dwóch kuropatw na niskiej gałęzi, pod maleńkimi daszkami z lodu. Ale rankiem trzeciego dnia nastąpiła zmiana. La Sombra usłyszała pierwsza i trąciła swego towarzysza, ten zaś podniósł głowę i chwycił uchem głęboki, gardłowy, melancholijny chór głosów dochodzący spoza skraju północnych wzgórz.

Cóż za licho? — zapytał Biały Wilk, zwiłając się w kłębek.

Wilki, mój synu, jak ty i ja. Na prochy mojej matki, która mnie urodziła i zmarła na moich oczach — biegną tą samą drogą. Ach, jeśli wódz tego stada wie, jak się poluje, to nim noc zapadnie, będziemy mieli pełne brzuchy! Zatrzymajmy łoszę, mój synu. Pokażmy stadu, że gotowiśmy wziąć udział w pracy. Ach, ach, gdybym tak miała teraz moje cztery nogi. Potrzebne mi jak wtedy, gdy psy ściagały mnie do brzegów Winnemago. Pobaraszkuj sobie trochę z łoszą, synu, ale nie za blisko. Pobaw się lepiej z łoszakiem, a nie z matką. To je zatrzyma!

I natychmiast wykonała, co rzekła. Sądząc z jej pieniającej się wściekłości i głośnego wycia — można by przypuszczać, że La Sombra zamierza zaatakować łoszę. Samica stanęła w miejscu. Nieśmiałoymi ruchami starała się odpędzić La Sombre, mając mocny grunt pod nogami mogłaby — dzięki swej szybkości — dogonić kalekę, La Sombra jednak z łatwością dawała sobie radę w miękkim śniegu. Łoszak oparł się zadem o matkę i nadstawiał rogów, tymczasem terier szczekał ostrym, przeraźliwym głosem, zabawnie cienkim i słabym wobec swych rozmiarów i odwagi. Matka i dziecko dreptali w kółko, nadstawiając łby w stronę nieprzyjaciół.

Ujadanie na drodze wzmagало się z każdą chwilą. Nieszczęsna matka przeczuwała, co ją czeka; donośnym beknięciem wezwała syna do czynu i, odwróciwszy się od napastników, pomknęła galopem w dolinę. Ale La Sombra dognęła młode, chwyciła je za goleń, zmuszając tym matkę do powrotu i rozpaczliwego, bezcelowego ataku. Zaraz potem na szczytach wzgórz północnych ukazało się stado wilków, pędzące niby fala morska przy wtórze złowróznej muzyki, jakiej Biały Wilk przedtem nie słyszał.

Ujrzał tuzin wilków o zapadniętych bokach. Na czele tej gromady biegnącej pełnym galopem z pochyłości wzgórza, pędził brunatny olbrzym, ujadając głębokim jak podziemny grzmot głosem, co górował nad szczekaniem stada.

Ujrzawszy nieprzyjaciela w obronnej postawie, wódz zwolnił biegu i mruknął do La Sombry głębokim basem: Udało ci się, La Sombro. Zatrzymaliście ich sprytnie — ty i ten drugi. Cofnijcie się teraz i niech mężczyźni wezmą się do dzieła.

Jak uważasz, El Trueno — odparła La Sombra służalczo i cofnęła się. Biały Wilk podążył za nią.

Odwagi, synu — szepnęła mu do ucha. — Nie patrz na nich jak na lwy górskie. To nasi, nasi, Biały Wilku, słyszysz?

Wszystko buntuje się we mnie — odparł Biały Wilk. — Czy zaliczą mnie kiedyś do swoich? — dodał smutnie.

Dlaczego nie? Ho, ho, ho, będą nawet z tego dumni! Czyż nie jesteś moim synem? Zwróć uwagę na wodza, moje dziecko. Spójrz, jak wiedzie zastępy wilków, jak tworzy szyki. Ma rozum i siłę. Nazywają go El Trueno, z powodu grzmiącego głosu. Słyszałeś go zresztą. A tamten szary wilk z białą pręgą na piersi, to znany wojownik. Teraz jest już za stary, inaczej nawet El Trueno nie przejąłby dowództwa w jego obecności. Nazywa się Marco Blanco. Sama widziałam, jak jednym uderzeniem kłów przeciął łosiewi wielkie ścięgno. Znam tu inne jeszcze wilki, lecz nigdy nie witałam ich radośniej jak dziś. Schudły, a chudość takiego stada jest dostatecznym dowodem, że samotne wilki muszą umrzeć z głodu! Ha, to głupiec! Młody, a ze wszystkich głupców te są najgorsze!

Stado rozpierzchło się, szybko tworząc krąg wokół pary łosiwów, usadowiło się na śniegu, nabrało tchu i zastanawiało się nad oczekującą je pracą. Szarpane najstraszliwszym bólem — głodem — od czasu do czasu rzucało na Białego Wilka dzikie a żadne spojrzenia, które przenikały go do szpiku kości. Taki głód nie znał miłosierdzia. Mimo to wilki zdradzały niesłychaną cierpliwość, oczekując rozkazu wodza i jego przejawów mądrości.

Wśród stada znajdował się jednak pewien młody zuch, którego odwaga przewyższała zdrowy rozsądek. Wyskoczył naprzód, podrygując na zeszywniałych nogach i zaczął wyć w kółko:

To moja kolej! Ta kolej jest moja! To moja kolej!

I rzucił się wprost na samicę, obnażywszy kły i sięgając do ścięgna pod kolanem. Bullterierowi podobał się ten skok — daleko lepszy i szybszy niż skoki La Sombry — kaleki. A przecież umiała zwalić z nóg jelenia i łanię! Rozumiała się na tych sprawach i słusznie twierdziła, że łosza jest przeciwnikiem wyjątkowego pokroju. Łosza odwróciła się i kopnęła napastnika tylną nogą, ostre kopyta uderzyły młokosa między zebra, zdawałoby się, że przebiły go na wylot. Skonał, zanim padł na ziemię i towarzysze zakrzętnęli się nad nim. Pełen przerażenia i wstrętu ujrzał Biały Wilk ciało śmiałka rozdarte na strzępy i pożarte z niewiarygodnym pośpiechem.

Ach — jęknął — co za lichy w nich siedzi?

Nie usłyszał jednak odpowiedzi La Sombry. Odwrócił się i zauważył ją w środku kłębowiska, zajądającą swoją porcję.

XX

Gdy owo niespodziane wydarzenie odwróciło uwagę nieprzyjaciela, łosza i syn rzucili się do ucieczki. Po upływie dwóch minut z padłego wilka pozostały tylko oczyszczone, porzucone kości i stado z ogłuszającym szczekaniem pognało poprzednią drogą.

Biały Wilk podążał najszybszym galopem, okazywał się jednak wolniejszy od najmłodszych wilków, z wyjątkiem trzynogiej La Sombry, która z dawnym zapałem, choć niezdarnie, biegła u jego boku. Nie patrzył na nią. Nie mógł zmusić się do tego. Kątem oka dostrzegł jednak krew na pysku i całą duszą wzdrygnął się przed tym widokiem.

La Sombra nie zdradzała wyrzutów sumienia po dokonanym wilkożerstwie. Czerwony blask zagaśł w jej oku. Nasyciła pierwszy głód i biegnąc, śmiała się w milczeniu na myśl o stadzie i oczekującej ją robocie.

Nareszcie dzień mięsa i najedzenia się do syta — rzekła z westchnieniem do swego mlecznego dziecięcia.

Łosza z synem zajęli obronną postawę. I znów utworzyło się koło, rozzuchwalone teraz smakiem mięsa.

Czy naszym wodzem jest El Trueno? Niech więc zaczyna! Mamy przed sobą mięso, a żołądki nasze są puste! — zawołał jakiś krzykacz.

El Trueno nie należał do tych, co nie zwracają uwagi na podobne wezwania. Stał w całym blasku swego majestatu i chwały, strząsnął śnieg z boków i nachylił się, by wydostać zlepek lodu spomiędzy palców.

Dwóch lub trzech z was zabawi się jej nogami — rzekł krótko — El Trueno przegryzie jej gardło, jeśli zrobicie, co do was należy!

Nie dwóch, ale pięciu rzuciło się natychmiast, niby to chwytając duże zwierzę za nogi, a kiedy się zatoczyło, El Trueno wyskoczył naprzód i dał susa w górę. Skakał pewnie i szybko jak kamień rzucony z procy, ale łosza nie należała do powolnych. Zaprzestała swych wirowych ruchów i poderwała do góry przednią nogę. Jeszcze chwila, a zęby El Trueno chwyciłyby ją za gardło, jeszcze chwila, a przednie kopyto wbiłoby się aż po brzegi w ciało "latającego wodza". Łosza uderzyła go tylko kolaniem, aż wywrócił kilka kozłów.

Nie stracił jednak swej królewskiej godności. Spadłszy jak kot na cztery łapy, cofnął się nieco, kaszląc i mrugając, a zgłodniałe stado wyszczerzyło połyskujące kły i zahuczało posępnym chórem: Nie powiodło się El Truenowi. Kto będzie jego następcą? Jesteśmy dziećmi, czy dorosłymi wilkami?

Wilki, podobnie jak Indianie, cenią przede wszystkim ostrożność, a potem odwagę. Choć walka rozgrywała się w pewnym oddaleniu — przyglądały się, z jaką zręcznością łosza broniła swego życia i życia swego dziecięcia; na wszelki więc wypadek stanęły z daleka; nie mogła ich dosięgnąć ani nie mogły rzucić się na nią.

Biały Wilk przyglądał się również tej scenie. Trudniejsza to była gra niż ta, w którą on i La Sombra grywali tyle razy z tuczonym bydłem na pastwiskach. Wymagała szybszych nóg i bystrzejszego oka, przegrywający zaś zyskiwał wszelkie szanse śmierci. Według Białego

Wilka zwinni ci mordercy popełniali jeden zasadniczy błąd: chwyтали za nogi, boki lub gardziel, jego zaś instynkt podpowiadał, by sięgać do głowy, wyłącznie do głowy, jak najdalej od ruchliwych nóg łani.

Wstał więc i po raz pierwszy przemówił do stada.

Wilki El Turena — rzekł — widziałem, że sprawujecie się dobrze i dzielnie. Dla waszego jednak dobra, dla dobra La Sombry, no i dla mnie samego spróbuję swych sił w tej grze. Zajmijcie się znów nogami łoszy, odwróćcie jej uwagę i pozwólcie mi sięgnąć do głowy!

Przestały na chwilę szczeakać.

Czy to wilk-pies, czy pies-wilk? — drwił El Trueno. — Ten szczeniak chce trafić tam, gdzie chybił El Trueno? Pozwólcie jednak temu młodemu głupcowi zakosztować ostrych kopyt łoszy. Zabawcie się z nim, bracia. Myślę jednak, że to tchórz i fanfaron. Drży cały.

Biały Wilk drżał istotnie całym ciałem z zimna, a przede wszystkim z podniecenia. Nagle zabrzmiał dźwięczny głos La Sombry:

Zwróć nań uwagę, El Trueno. Zwróć na niego uwagę. Na cienie mojej matki, która mnie urodziła, teraz dopiero ujrzysz polowanie! No, synku, dla mego i twego honoru: uderzaj!

Zakłębiły się ruchliwe postacie u nóg ściganej łoszy i znowu krążyła w kółko, chcąc odegnąć niebezpieczeństwo. Nie sięgało jednak po jej udo, gardło czy nogę. Jak biała, lśniąca strzała pomknęło wprost ku głowie. Zęby teriera wbiły się w delikatne, unerwione mięśnie szerokiego jej nosa. Osiemdziesiąt funtów żywej wagi szarpało jej głowę i szyję niczym rzemienie lejc, aż zatoczyła się o kilka kroków w bok.

Straciła równowagę tylko na chwilę, chwili tej jednak starczyło zgłodniałemu stadu. Dość długo już czekało na tę ucztę, dwanaście silnych ciał skoczyło jakby na niewidzialnych sprężynach. Łędźwia, uda, gardło padły ofiarą szarpiących kłów.

Uciekaj! — beknęła łosza do syna. — Oddaję moje życie za twoje! Uciekaj, kochanie.

I osunęła się, konając na śnieg. Ale i dla łoszaka nie było ratunku. Wymknął się śmiało na wolność, lecz czyhała na niego pewna stara, sprytna bojowniczką — La Sombra. Jednym uderzeniem zębów przecięła zwierzątku ścięgno, które pękło jak naderwana struna skrzypiec pod dotknięciem smyczka. Łoszak upadł i żaden dźwięk nie mącił ciszy, oprócz zadyszanego charczenia wilków i skrobania potężnych zębów o kości martwej łoszy.

Czy to wilk, czy pies, El Trueno? — wołała uszczęśliwiona matka. — Niech przemówi wódz, a dowiemy się prawdy!

Biały Wilk podniósł głowę, czerwony aż po szyję, ale szczęśliwy.

Wódz tymczasem udawał zajętego jedzeniem, by puścić mimo uszu urągławy okrzyk La Sombry, a terier czuł, że albo dojdzie do awantury z barczystym przywódcą stada, albo cichy, nieśmiały głosik w jego sercu nie okaże się proroczy.

Na razie jednak zjawilo się pożywienie dla wszystkich, ba, nawet więcej niż dla wszystkich. Najedli się więc do syta, a potem jeden oddalił się od drugiego o jakie ćwierć mili, lub więcej — naturalny instynkt obronny zwierząt, gdy czują, że morzy je sen — i skuliły się w śniegu. Burzliwy wicher unosił tumany śnieżnego pyłu i otulił je nim do snu. Biały Wilk usnął wraz z innymi przy boku przybranej matki.

Stado zatrzymało się na trzy dni, poszcząc. Żaden człowiek nie uwierzyłby, ile mięsa przeszło przez żołądki tych wilków.

Czwartego dnia obgryzały kości.

Piątego zaś ruszyły dalej, ale jak zmienione! Zapadnięte boki zaokrągliły się, zwieszono łby podniosły się wysoko, ogony wyprostowały się dumnie. Zdawałoby się, że każda uncja spożytego mięsa przeobraziła się w najistotniejszą substancję. Biały Wilk przyglądał się z podziwem swoim towarzyszom. On sam czuł się doskonale, nie posiadał jednak ani dziesiątej części niezwykłej siły trawiennej "korsarzy gór".

Piątego dnia głos El Truena zabrzmiał wśród śniegów.

Nadszedł czas, bracia! Nadszedł znowu czas łowów, a któż was powiedzie, jeśli nie El Trueno?

Śpiące wilki zbudziły się i usiadły, ale ani jeden nie wstał, by podążyć za El Trueno, który słał swój pełny grzmiący głos w dolinę, aż odzywał się cichym, melancholijnym echem od strony południowych wzgórz Dunkeld. Odwróciły nieco głowy i patrzyły nieufnie na teriera. Ten zwrócił się do matki.

Co to, La Sombro? Czy mnie nienawidzą? Czy nie chcą udać się w drogę, ponieważ ja znajduję się w ich gronie? Czego uśmiechają się, szczerzą zęby i patrzą na mnie tak krzywo?

Usłyszał sapnięcie La Sombry, pełne zdumienia i wstrętu.

O, synu — rzekła — nie masz wilczego serca? Pytasz, czemu nie chcą iść za El Trueno, i dlaczego patrzą na ciebie? Boś ty, synu mego łona, ciało mego ciała, krwi mojej krwi, ułatwił im łowy tam, gdzie zawiódł El Trueno. Rozumiesz?

Nic podobnego — rzekł Biały Wilk. — Trzymałem co prawda łoszę za głowę, kiedy one starały się powalić ją na ziemię, ale cóż z tego?

Skromność — rzekła matka sucho — dobra jest dla szczeniąt. Nie jesteś już jednak szczenięciem, a dorosłym wilkiem. Przemów do tego wysokiego pyszałka. Powiedz mu, że prowadził ich po raz ostatni i że od tej chwili ty, mój chłopcze, będziesz królem stada.

Ja? — zawołał Biały Wilk dysząc ciężko. — Ja mam ich prowadzić, ja, który prawie nie umiem odróżnić śladów łosia od śladu byka? Kim ja jestem?

Jesteś moim synem. To wystarczy — rzekła La Sombra oziębło. — Powiedz mi jednak: czy boisz się stanąć do otwartej walki, pierś w pierś, o dowództwo nad stadem?

Tak — odrzekł Biały Wilk, przyglądając się badawczo wysokiej, studziesięcio— czy też piętnastofuntowej postaci byłego wodza. — Boję się, La Sombro. Mam słabe stawy i zdrewniałe zawiasy szczęk. Pozwólcie mu zostać wodzem, ja zaś chętnie pójdę za nim.

Oczy La Sombry zamigotały zielonym błyskiem wżgardy bliskiej nienawiści.

Wolę ujrzeć cię martwym i pomagać zbierać twoje kości, niż doczekać takiej hańby! Słyszysz? Nie przyniesiesz mi takiego wstydu!

XXI

Kuszykając na trzech nogach, stanęła przed towarzyszami z grzywą zjeżoną wzruszeniem, zdawałoby się — dawna królowa wśród wilków.

Wilki ze Wzgórz Dunkeld — rzekła — posłuchajcie mnie! To, że mój syn nie przemówił do was od razu, nie znaczy, że jest słabego serca. Mielicie tego dowody podczas łowów i będziecie je mieli w przyszłości. Nie posiada jednak daru słowa. Pozostawia to temu brunatnemu złoczyńcy — El Trueno. I prosi mnie, abym oświadczyła w jego imieniu co następuje:

Nie znam życia gór, ani dróg górskich, o bracia! Żyłem bowiem na równinach, gdzie ludzie uganiaли się za mną niby kojoty za lwem górskim. Jeśli jednak szukacie wodza o nieustraszonemu sercu — przyjmijcie mnie. Co do mądrości, to daję posłuch radzie i chętnym uchem słucham starszych od siebie. Stado, którym dowodzę, nie będzie podlegało rządóm gorącej krwi!

Wilki z Dunkeld, czy słyszycie?

Zaszczekały wszystkie naraz, z wyjątkiem zjeżonego i milczącego El Trueno.

Słyszymy, La Sombro. Dobrze mówisz swoimi ustami.

Co się zaś tyczy El Truena — podjęła La Sombra — syn mój prosi, abym oświadczyła, że ten niezdatny tchórz niegodzien jest być królem. Biały Wilk będzie królem zamiast niego, siłą zębów i pazurów, jak głosi prawo tych gór.

Tak głosi prawo, które jest potężne! — wrzasnęły wilki. Powstały z miejsc i zaintonowały: Co powiesz, El Trueno?

A choć El Truenowi nie udało się łowy, choć widział, jak Biały Wilk dokonał wyjątkowej brawury — w piersi jego biło jednak też nie słabsze serce. Podszedł do przybranego dziecięcia La Sombry.

Słuchałem tych bredni podobnych do głupiej paplaniny wiewiórki — rzekł swym głębokim głosem. — Słuchałem i uśmiechałem się, pochodzą bowiem, jak mi się zdaje, z ust matki białego psa o zapachu wilczej sierści. A teraz posłuchaj mnie, młodzieńcze. Użyczam ci łaski: udasz się stąd aż do strzaskanej sosny na skraju tamtego wzgórza, potem puścimy się w pogoń za tobą. Chociaż masz odwagę — będziesz spał dzisiejszej nocy w brzuchach mego stada. Bacz — daję ci pierwszą możliwość.

Pochylił potężny łeb i udawał, że pilnie liże śnieg u swych stóp.

Biały Wilk (wyznajmy to ku wstydomu) zerkał nieufnie na rozwaloną sosnę, a serce La Sombry owiało grobowe zimno. Wiedziała, jaki los ją czeka, jeśli syn jej okaże się tchórzem, albo jeśli zginie w walce. Powiedziała dużo, za dużo. Wystarczy, by podczas dni głodu szepnął wódz: Po co nam okulały wilk w naszym gronie? — a kły stada z Dunkeld wgrzą się w jej kości! Patrzyła, jak mleczny syn stulił uszy, jak stchórzył i zadrzał. Z bólem serca starała się tchnąć nieco swego nieposkromionego ducha w duszę teriera. Po raz pierwszy stawał Biały Wilk do walki z dorosłym wilkiem i warunki sprzysięgały się przeciwko niemu. Gdyby El Trueno zaatakował go w chwili wahania — położyłby niewątpliwie pewny i szybki

kres walce, spryt wodza zagłuszył jednak instynkt, zwlekał więc, aż Biały Wilk otrząsnął się i wyprostował w całej okazałości.

Jestem gotów — oznajmił głosem, co brzmiał jak jęk. — El Trueno, zaczynaj.

Mam uczynić pierwszy krok przeciwko szczeniakowi, temu gołowąsowi — zadrwił El Trueno. — O, nie!

Wypowiedział te słowa jednak tylko dla pozorów. W następnej chwili rzucił się na bullteriera. El Trueno był starym, doświadczonym wojownikiem, słynnym ze skoków w górach San Jacinto. Cios jednak jego kłów trafił w próżnię, a Biały Wilk uskoczył w bok, zawirował i z kolei rzucił się na wodza.

Manewr ten zadziwił El Truena. We wszystkich odbytych przezeń walkach rycerski wilk siecze kłami, lecz nie gryzie, dopóki nieprzyjaciół nie daje mu po temu daleko idących możliwości, sięga wówczas do gardła lub uda, a Biały Wilk skierował się wprost ku głowie.

Rozległo się głośnie kłapanie zębów, obaj zapaśnicy cofnęli się zwinnie, a stado zawyło z radości.

Czy to system wilków z nizin? — zadrwił El Trueno. — Okaze się zatem dobrym systemem umierania w górach. Gotuj się, Biały Wilku, nacieram!

Nacierał istotnie jak brunatna smuga w śniegu. I znów terier uskoczył w bok, jednak o ułamek sekundy za późno, by uniknąć ostrych jak nóż kłów. Rozcięty delikatną skórę na ramieniu, skąd buchnął strumień krwi.

Koniec! — szczeknęły wilki z Dunkeld. — Znowu zwycięża El Trueno!

Cicho! — warknął stary Marco Blanco. — Pierwsza krew nie zawsze jest ostatnią. Biały Wilk trzyma się jak wieża żelazna. Patrzcie, bracia!

El Trueno atakując znowu, by wyzyskać pierwszy sukces, uderzył ramieniem ramie Białego Wilka, odrzucając go tym ruchem o jakie dwanaście stóp, następny jednak cios wodza napotkał na opór.

I po raz pierwszy usłyszało stado pobudkę wojenną — głos Białego Wilka. Jakże różnił się od charczenia wilka walczącego! Przerażliwe, żalosne ujadanie brzmiało jak skarga szczenięcia. Pomruk podziwu i zadowolenia rozległ się wśród koła widzów. To jednak, co ujrzeni, nie przypominało sposobu walki szczenięcia. Zdawałoby się, że Białemu Wilkowi wyrosły skrzydła. Tanecznymi ruchami cofał się przed skokami El Truena, dał nura pod ruchliwy łeb wysokiego wodza, wyrwał mu stamtąd brązowy kłaczek futra, a potem, rzuciwszy się znów na El Truena, dokonał takiego chwytu, jakiego wilki z Dunkeld jeszcze nigdy nie widziały. Wpakował pysk w rozwartą paszczę wodza i z całej siły ciągnął za dolną szczękę.

Cud. Ale cud, jaki widział już niejeden człowiek (na przykład w potrzasku, gdzie bullteriery walczą o śmierć i życie). Żaden spryt nie podszeptał mu o skutkach tego chwytu. Żaden trening nie nauczył błyskawicznej zręczności, potrzebnej do tego śmiertelnego chwytu. Mógł to uczynić jedynie instynkt, instynkt długiego szeregu walecznych przodków Białego Wilka.

Pozorny tedy początek walki był w istocie jej zakończeniem. Z tą klamrą, wpiętą w jego dolną szczękę, El Trueno nie mógł gryźć, nie podnosząc też osiemdziesięcioletniego, szarpiącego i miotającego się bullteriera. Mięśniami szczęk zdrewniały mu z wysiłku, a kiedy dysząc rzucał się rozpaczliwie na wszystkie strony, wilki z Dunkeld stały sztywno, nieruchomo, w milczącym podziwie; uprzytomniały sobie, że nowa siła zjawiała się w ich szeregach. La Sombre ogarnął zachwyty. Widziała już raz chwyt swego mlecznego syna i знаła dobre skutki tego chwytu.

El Trueno walczył według zasad wilczej taktyki, teraz załamała się jego odwaga jak duch roslęgo, silnego człowieka, kiedy wiedza drobnego i słabego przeciwnika zapanuje nad jego

siłą. Uszy wodza opadły. Podkulił ogon. Walczył ze zwykłą gorliwością, ale tylko po to, aby wydostać się i wycofać z walki, gdy pies zwolni go z uścisku. Zwolnił go, lecz wtedy, gdy El Truenowi oszołomionemu i osłabionemu z wysiłku wystąpiła na usta krwawa piana wyczerpania i kapała na śnieg. Zwolnił się uścisk i przeniósł — szybszy niż ruch ręki — na gardziel nieszczęsnego wilka. Głęboko i pewnie długa, potężna szczęką zatapiała się poprzez miękkie futro i drgające ciało, aż dotarła do tchawicy — źródła życia.

Potem, przez purpurową mgłę, usłyszał Biały Wilk radosny głos La Sombry.

Wyprostuj się, mój synu. Niech stado zobaczy, że El Trueno nie powiedzie już nigdy wilków z Dunkeld na łowy!

Biały Wilk podniósł się i stał cały drżący. Oczy El Truena szklily się martwo, długi, czerwony język zwisał bezsilnie. Wystarczyło jedno spojrzenie i stado zakrzętało się nad trupem.

Chodź! — zawołała La Sombra.

Pfuj! — odparł Biały Wilk. — Jeśli jesteś naprawdę moją matką, to nie bierz udziału w tej ohydnej uczcie. Chociaż to wróg i nie żyje — pochodził przecież z naszego rodu. Czy i my, kiedy zestarzejemy się i osłabniemy, znajdziemy podobną śmierć? Mdło mi się robi, La Sombro!

Wpatrywała się w niego chwilę zdumiona, a w oczach jej migotało dziwne, zielone, dobrze mu znane światelko. Potem udała się na bankiet wraz z innymi.

Tymczasem biały Wilk wycofał się z kręgu warczących wilków. Pragnął w ciszy i spokoju oblizać swe nieliczne ale głębokie rany. Ostre zęby El Truena przecięły mu skórę i mięśnie, ból pulsował, przenikał aż do samego mózgu.

Chciał się zresztą zastanowić.

Stanąc na czele tych silnych i nieustraszonych wojowników-szybkobiegaczy było niewątpliwie szczęściem. Panowanie nad królami okrywało go chwałą. Co jednak będzie, kiedy pewnego dnia i on załamie się i zginie jak El Trueno.

Dreszcz wstrząsnął Białym Wilkiem. Przymknął małe, trójkątne, czarne oczka.

Czuł jednak, że jest młody, że ma niespożyte siły. Tego dnia nauczył się sposobów walki, które przydadzą mu się w przyszłości. Słodko mu smakowała krew nieprzyjaciela.

Opodał białe kości tego, co był niegdyś władcą stada. Wilki z Dunkeld usiadły i z wywieszonymi jęzorami, czułymi oczyma, pełnymi uwielbienia i głębokiego respektu wpatrywały się w Białego Wilka.

Wstał i strząsnął śnieg, który przywarł mu do ciała. Słońce — mały, czerwony dysk — wypłynęło w kierunku zachodu spoza ciemnowych chmur i czuło się już w powietrzu zimny podmuch wieczoru. Zwrócił się nosem ku słońcu i z głębin dygocącego ciała zaniósł się wyciem, nie różniącym się ani jednym tonem od krzyku polującego wilka.

Czy słyszycie, bracia z Dunkeld?

Odpowiedziały głębokim, zgodnym, dźwięcznym chórem. Słyszemy głos naszego pana. Mów do nas, o Biały Wilku, w naszym bowiem mniemaniu każda droga zwycięzcy jest drogą mądrości. Przemów do nas i poradź, co czynić!

Uwaga! — zawołał Biały Wilk. — Uwaga! Niech ani jeden Wilk, oprócz La Sombry nie zbliża się do mnie. — I przybierając poważną minę, dodał: — Nie najszybsze nogi, ale największy spryt zapewniają wilkom utrzymanie w zimie. Nie zaznacie głodu, bracia, czy słyszycie?

Słyszemy, Biały Wilku! — zaintonowały chórem.

Powlókł się więc na zachód, gdzie rzeka Tomahawk połyskuje jak obnażona szabla za cienką zasłoną nagich drzew. La Sombra kusztykała żwawo u jego boku, jakby nie ta sama,

mówiąc: Czyż nie przepowiadałam tego, dziecię mego łona, ciało mego ciała? Czyż nie przemawiałam za ciebie? Powiedz, czy serce matki okazało się kiedy kłamcą?

XXII

— Co tam się święci na południu? Co tam się dzieje na wzgórzach Dunkeld? — pytał Tucker FCrosden córkę, która stała przy tylnych drzwiach chaty zapatrzona uparcie w stronę południa. — Czy to pas czarnych chmur, Molly?

— Nie — odrzekła Molly Crosden. — Nie ma tam żadnego pasma chmur. Tylko...

— Tylko co?

— E, nic.

Skończył kawę i huknął cynową filiżanką o stół.

— Chodź tutaj! — ryknął.

Przeszła przez pokój i stanęła przed ojcem, na wpół wylekła, a na wpół znużona. Oparł się szerokim łokciem o stół i skierował na nią wskazujący palec jak lufę rewolweru.

— Nie patrz na mnie takim głupim spojrzeniem — rzekł Crosden.

— Nie wiem, o jakim spojrzeniu mówisz, tato.

— Naprawdę? A ja powiadam, że wiesz! I nie patrz tak na mnie. Twoja mama zwykle tak na mnie patrzyła, kiedy myślała, że chce ją uderzyć. Znosiłem taki wzrok u żony, nie zniosę jednak u dziecka. Słyszysz, co mówię?

— Słyszę — zapewniała Molly, jak mogła najpewniejszym tonem.

— Cóż z tego, że popełniłem morderstwo? — mruknął. — Czy za każdym razem, jak patrzysz na mnie, mam przeżywać to od samego początku? Mam odnajdywać w twoich oczach? A jeśli jestem przeklęty, czy powinnaś tak patrzeć na mnie, jakbyś oglądała mnie w ogniu piekielnym?

Doprowadził sam siebie do pasji i walił pięścią w stół, aż ciężkie nogi uderzały o podłogę.

— Kto pchnął mnie do zabójstwa, jeśli nie wy, kobiety? Co mnie do tego pchnęło, jeśli nie wy, hę?

— Ja? — krzyknęła Molly.

— Tak, ty, czy twoja mama, co na jedno wychodzi. Ty skalalaś moje ręce morderstwem. Ty i twoja matka wrzeszcząc do sąsiadów "na pomoc"! i mówiąc, że was morduję.

— Tatuśku, przysięgam, że nigdy...

Wielka jego prawica opadła na jej ramię i przyciągnęła do siebie.

— Nie kłam, Molly. Chcę tylko twego dobra. Jesteś wierną córką, dbasz o mnie i kocham cię, ale wolałbym widzieć cię martwą, niż słyszeć, że kłamiesz!

Uderzyła w dłonie z rozpaczą.

— Nie będę kłamać, tato! — zawołała. — Postaram się powiedzieć ci całą prawdę, jeśli dasz mi tylko sposobność.

— Daję ci teraz.

— Tamtej nocy, kiedy usłyszałam, że mama i ciotka Abbey krzyczą, wstałam, ubrałam się, weszłam do kuchni i zobaczyłam...

— Nie mów o tym. Krew mnie zalewa. Nie chcę nic więcej słyszeć o tym. Ale powiedz, czemu patrzyłaś na Dunkeld jak zdychające ciele?

— Bo pan Gannaway tam poszedł.

Po tych słowach olbrzym rzucił się w tył na krzesło.

— Nie tęsknisz za mamą, ale za Gannawayem?

— Nie powiedziałam, że tęsknię.

Gniew opuścił Crosdena, pozostał tylko smutek.

— Nie powiedziałaś, ale zauważyłem to. Nie jestem całkiem ślepy, Molly. Co widzę, to widzę i wiem, że ci wcale nie jest tutaj ze mną dobrze. Ani trochę!

— Jest mi dobrze — odrzekła dziewczynka. — Chwilami jestem tutaj bardzo szczęśliwa.

— Wiesz, kiedy jesteś szczęśliwa? Wtedy, kiedy nie ma mnie w domu.

— Nie, o nie!

— Nie jestem z tych, co potrafią uszczęśliwić córkę.

— Jesteś, tatuśku. Ja ciebie kocham!

— Za co mnie kochasz? Bawię się z tobą? Umiem rozmawiać z tobą o tym, co lubisz?

— Bo jesteś moim ojcem. Nie trzeba żadnego innego powodu.

Zaśmiał się, a śmiech jego zabrzmiał jak jęk.

— Obiecałaś, że powiesz mi prawdę. A więc wal prosto z mostu. Gannaway jest dżentelmenem. Czyż nie opowiadał ci historii o górach, burzach i innych różnościach? Ja ci nigdy nic nie opowiadam! Czy to nie Gannaway wpadł na pomysł, żeby zmajstrować ci lalkę? Zrobił ją fatalnie, ale niech mnie diabli porwą, jeśli mnie wpadłoby kiedyś na myśl zmajstrować ci lalkę, Molly. Nie, panie szanowny, nie pomyślałem nawet o tym! Nie należę do tych ludzi co Gannaway, nie jestem ani dobry, ani szczodry, ani miły. Tak, tak Molly, rozumiem, dlaczego życie jest tutaj piekłem dla ciebie i dlaczego spoglądasz na wzgórza w nadziei, że może Gannaway wróci.

Nie mogła słuchać dłużej jego mowy. Wybuchnęła gwałtownym płaczem i rzuciła się na pryczę. Przysłonił ją cień ojca, a głos zabrzmiał smutnie jak echo dalekiego grzmotu.

— Nie mam do ciebie żalu, Molly. Nie zaliczam się do tych, za którymi przepadają dzieci.

Na oślep wyciągnęła rękę i chwyciła go za kurtkę.

— Tato, uwierz mi, że cię kocham.

— Jedno tylko stworzenie naprawdę mnie kochało, Król! — rzekł Tucker Crosden. — Powiadam ci, Molly, kiedy trzymałem go w objęciach umierającego, a był okrutnie, okrutnie zmasakrowany, szczeka mu opadła i oczy szklily mu się już śmiercią. Zebrał jednak wszystkie siły, by nie skowytać z bólu. A kiedy usłyszał mój głos i poczuł moją rękę, to powiadam ci, polizał moją dłoń, potem głowa opadła mu na moją pierś i tak skonał. On mnie kochał. Kiedy go sobie przypominam, to widzę, że na świecie nie ma podobnej miłości. Dlatego nie powinnaś kłamać, a mówić tylko prawdę. Warto było bodaj znać takiego psa jak Król! Zresztą, może wróci do mnie?

Lzy Molly przestały płynąć. Lodowaty ból ścisnął jej serce. Zwykle dopiero pod koniec dnia ogarniała go ta mania, teraz poddawał jej się szybciej.

Pewnie! — zahuczał nad nią. — Któż wstrzymuje go od tego, jeśli nie ty, Molly? Podobnie jak twoja matka! Boże, przebacz mi! Co ja wygaduję?

Zdawałoby się, że promień jasności dziennej rozświetlił mrok jego umysłu. Wybiegł przez otwarte drzwi na zaśnieżone równiny i powłókł się w stronę swych potrzasków.

Wszystko, co rzekł i czynił, kryło się jak mglisty miraż w głębi jego świadomości, spowijając w dobroczynny całun brutalną prawdę rzeczywistości.

Na razie naprzętnął jego uwagę szereg zastawionych sideł. Ciągnęły się krętą linią od Pekanu, obok Srebrnego Jeziora aż po jezioro Gun — około dwunastu mil, licząc zakręty od pagórków do rzeki i jeziora i na powrót przez łąkę, bagno i środek lasu po drodze. Crosden zastawił dużo potrzasków dla najrozmaitszych gatunków zwierzyny. Norki, kuny, rybołowy, wydry, tchórze, wilki i lisy były dlań miłymi gośćmi, choć każde wymagało innej taktyki i przynęty.

Wzdłuż górnego wybrzeża Jeziora Pekanów zastawił kilka potrzasków dla norek, tuż nad wodą, tam gdzie lubi polować to krwiożercze, małe stworzonko, śledząc oczkami biegnącego piżmoszczura albo drobniejszą zdobycz pokrytą pierzem lub sierścią. Sidła były puste. Crosden zatrzymał się jednak, aby odświeżyć woń przynęty. Potem poszedł dalej.

Dwanaście mil po lasach, w głębokim, czasem oślizłym śniegu, stanowiło samo w sobie dzień pracy zwykłego człowieka, nie znaczyło jednak nic dla zamaszystego chodu olbrzyma. Potrafił odbyć taką przestrzeń, obejrzeć potrzaski, obedrzeć znalezione ofiary ze skóry i wrócić zaraz po wczesnym zmierzchu zimowym. Ale te dalekie wędrówki ze względu na teren wystarczyłyby, by zmęczyć nawet Tuckera Crosdena. Rad był jednak ze swego znużenia, bo zdejmowało z niego straszliwe brzemie myśli i rozważań i oddalało w snach nawiedzającego ducha, Króla... Praca aż do ostatecznego wyczerpania i sen bez snów stały się jedyną jego ucieczką od życia. Co dzień przemierzał dwanaście mil lasem, wzgórzami, brzegiem rzeki i jezior, aż przybywał do jeziora Gun, potem zawracał i kroczył na powrót drogą bardziej na południe, wśród wyższych wzgórz, gdzie śnieg nie leżał tak głęboko i nie utrudniał kroków. Ostatnia tedy część wędrówki mijała zwykle najszybciej. Linia potrzasków w kraju wolnym od wszelkiej rywalizacji przynosiła mu wcale pokaźny dochód nawet podczas surowej zimy.

Nie mógł sobie mimo to darować straty, jaką poniósł w pobliżu Srebrzystego Jeziora. Potrzask zamknął się, ale uwięził tylko jedną małą nóżkę z odgryzioną piszczelą, ziemia wkoło zroszona była obficie krwią i pokryta strzępkami ciemnego, bogatego, puszystego futra mieniącego się mroźnymi igiełkami szronu. Srebrny lis — tajne marzenie trapera — wpadł w potrzask, a ogromny, lekki ślad rysia, znaczący się tu i ówdzie, stwierdzał identyczność mordercy.

Tucker Crosden otworzył potrzask i klnąc poszedł dalej. Nie uszedł jednak nawet mili, gdy nadarzyła mu się sposobność odwetu. Puszyste ślady rysia pojawiły się znów na drodze. Czemu ten głupiec nie śpi, mając całego lisa w żołądku? Otrzymał za to zasłużoną nagrodę. W niewielkiej szczelinie, pokrytej skruszałym lodem, znalazł Crosden skulonego rabusia o złowrogich, żółtych oczach, płonących w zimowym mroku. Zastrzelił zwierzę i śpiesznie odarł ze skóry. Niepospolita jego siła pozwalała mu zdzierać prawie w całości skóry z martwych zwierząt. Cisnął rysia na szczyt zarośli.

Ryś, rudy lis i kuna złożyły się na zdobycz w drodze powrotnej. Obliczywszy za rysia osiem dolarów, dwanaście za kunę i siedem za lisa, zyskał bardzo ładne wynagrodzenie za pół dnia pracy. A pieniądze miały dla Tuckera Crosdena ogromne znaczenie. Dotychczas tylko jedno nie pozwalało mu — mimo pracowitości i cierpliwości — na zebranie sporego mająteczku: fatalna niezdolność do powstrzymania się od wydawania każdego zbytecznego grosza na bullteriery. Przez kilka lat był "ubogi w psy", ale ciągle jeszcze lubił pieniądze i wszystko, co pieniądze przynieść mogły jemu i jego rodzinie. Kończył więc swój obchód w podniosłym nastroju ducha.

Był już gotów zawrócić do domu, gdy w połowie drogi usłyszał jakby daleki huk strzelby, a raczej ucho jego chwyciło wstrząs i odgłos wibrującej stali. Zatrzymał się i zaczął

bacznie nasłuchiwać. Dla wielu powodów nie życzył sobie spotkania z wędrownymi myśliwymi albo traperami w tej dolinie.

Wkrótce pochwyił znów podobny odgłos powtarzający się rytmicznie. Zrozumiał, co oznaczają te złowróżbne dźwięki: obecność drwala przy pracy w dolinie Siedmiu Sióstr.

Ruszył siedmiomilowym krokiem, aż ujrzał dwie rzeczy naraz: lśniąca wody Jeziora Rooney i wielkiego psa mysiego koloru, pokrytego kędzierzawą sierścią. Widział już kiedyś to zwierzę.

Szedł nieco ostrożniej, wsłuchany uważnie w duet muzyczny dwóch siekier dźwięczących w mroźnym powietrzu. Wkrótce upewnił się w domysłach. Polankę wzięto za punkt startu, dzięki bliskości strumyka wijącego się u stóp pierścienia niskich wzgórz zamykających dostęp silniejszym wiatrom górskim. Pośrodku tej polany Dan i Tom Loftusowie założyli fundamenty pod małą chatkę i ścinali teraz drzewa pod budowę. Wokół piętrzyły się stosy zeschniętych liści, zwalonych pni i poobcinanych gałęzi. Choć serce olbrzyma wezbrało gniewem i zazdrością, przyznał, że uwijają się tu sprytni drwale i dzielni robotnicy.

Mordercy nie mogą spoglądać przyjaznym okiem na sąsiada, pomyślał.

Wyszedł spoza drzew i stanął przed przybyszami, którzy przyjęli go z jawną niechęcią. Tom Loftus podniósł strzelbę, którą miał pod ręką, Dan natomiast zadowolił się wydobytym rewolwerem i gwizdnięciem. Dwa wilczury i Grampus o dziwacznej głowie przybiegły żywo na wezwanie.

— Jak się macie, przyjaciele? — rzekł olbrzym opierając się na własnej strzelbie i wpatrując się w braci upartym spojrzeniem.

— O tyle, o ile — oświadczył Dan Loftus. — Dan, pogadaj z nim.

— Nie mam dużo do gadania — oświadczył Dan Loftus. — Wszystko, co wiem, to to, że upatryliśmy to miejsce na budowę naszej chałupy i że zamierzamy tu pozostać. Mamy założyć szeregę potrzasków. Nie chcemy się do nikogo wtrącać i nie chcemy, żeby się do nas wtrącano! Słyszysz, wielkoludzie?

— Prawdziwie po sąsiedzku — przytaknął olbrzym. — Mieliście około pięciuset tysięcy mil kwadratowych, gdzie mogliście postawić waszą budę i założyć potrzaski. Upatryliście sobie jednak tę oto dolinę?

— Odpowiedz mu, Dan — rzekł Tom Loftus.

— Powiem panu tyle — oświadczył Dan ściskając mocniej strzelbę. — Mnie i memu bratu widzi się, że jesteś pan tchórzem, a może złodziejem! Ale nie chcemy mieć z panem do czynienia i nie mamy zamiaru wtrącać się do pana... Poprosimy tylko: ręce przy sobie. Nie przyszliśmy tutaj po to, żeby zepsuć ci interes, albo że nas to co obchodzi, ale dlatego, że przeszliśmy dwieście pięćdziesiąt mil śladem kulawego wilka i białego wilka, chodzi nam o jego skórę. Zakładamy potrzaski na wilki. To wszystko!

Posepny wzrok olbrzyma złagodniał nieco. Ludzie, którzy przeszli dwieście czy też trzysta mil w poszukiwaniu zdobyczy w postaci wilka, nie będą odgrywali roli wywiadowców. Zresztą, bogiem a prawdą, zasłużył na gorsze przyjęcie. Rzekł więc:

— Siedźcie na miejscu, a nie będę wam sprawiał kłopotu. Jeśli jednak wasze psy będą nachodziły moje potrzaski, pozabijam je. I jeśli wy dwaj będziecie mnie nachodzić na linii moich potrzasków, albo w mojej chałupie — zjawię się u was. Zważcie: nie mówię po to, żebyście słuchali dźwięku mego głosu. Myślę poważnie. Zastanówcie się nad tym.

I zawrócił, żeby zakończyć obchód potrzasków.

XXIII

Następne dni upływały pod znakiem wojny, każdy dzień miał własną historię. Trzeba więc, oczywiście, wybierać, co ciekawsze, inaczej kronika sławetnego okresu dowództwa Białego Wilka nad stadem z Dunkeld zapełniłaby grube tomy, nie zostawiwszy miejsca na późniejsze, ważniejsze czasy...

Należy się przede wszystkim dowiedzieć, w jaki sposób polowało stado. Widzieliście je w drodze, biegnące zwartą grupą, po znalezieniu zwierzyny. Znalezienie zwierzyny należało do najtrudniejszych rzeczy, pokonanie jej natomiast wydaje się już stosunkowo proste.

Musicie również zważyć, że góry tego roku były bardzo ubogie w zwierzynę. Niepodobna wytłumaczyć, dlaczego zdarzają się takie chude lata. Jednego roku pewien okręg może dostarczyć tysiąca pięciuset skór, następnego zaś stu lub mniej. Niektórzy twierdzą, że po wielkim dobrobycie samice tyją i przestają rodzić, tym sposobem natura wyrównuje własną szczodrość, i całe roje zastępuje kilku rozproszonymi jednostkami. Inni znowu uważają, że zmiany te zachodzą wskutek wędrówek zwierza.

Faktem jest, że od czasu do czasu plagi dziesiątkują szeregi królików i myszy, które są dla mięsożernych tym czym trawa dla bydła. Kiedy wysycha główne źródło pożywienia — słabsze po jaskiniach umierają z głodu, a śmielsze udają się na długą i ryzykowną wędrówkę w nieznaną połąkę kraju, szukając bardziej sprzyjających warunków.

W górach San Jacinto nastąpił jeden z podobnie krytycznych sezonów i żeby znaleźć żywe stworzenie wilki zmuszone były zarzucić tzw. sieci, sięgające aż poza granice gór i pokrywające olbrzymie terytorium.

Oto w jaki sposób zarzucano owe "sieci".

Kiedy główna trasa została zaznaczona, La Sombra, Biały Wilk i Marco Blanco — wódz i dwoje najmędrszych ze stada — pobiegli umiarkowanym krokiem wzdłuż trasy. Za nimi, z obu stron, rozpierzchli się pozostali członkowie stada.

Biegli w wymierzonych odstępach z tysiąc jardów albo milę, a biegnąc, zbaczali nieco to w jedną, to w drugą stronę, zajmując w taki sposób cały oznaczony teren i szukali za pomocą oczu, nosa i znajomości terenu najlepszego miejsca łowu wszelkiej zwierzyny.

Zarzucona w ten sposób "sieć" ciągnęła się — jeśli stado liczyło piętnastu lub szesnastu członków — na przestrzeni dziewięciu — dwunastu mil. W ciągu jednego zatem dnia, jeśli stado było bardzo zgłodniałe i brało się poważnie do dzieła, wilki przebiegały czterysta albo pięćset mil kwadratowych.

Kiedy szczęśliwy wilk dojrzał albo zwietrzył ofiarę — dawał o tym znać najbliższym sąsiadom, którzy podchwytywali i powtarzali tę wieść dalej. W ciągu kilku sekund sygnał przebiegał całą linię i stado zaczynało podążać do jednego punktu. Nie bezpośrednio w jedną, albo drugą stronę, ale na ukos, wzdłuż linii, którą, zgodnie ze wskazówkami pierwszego sygnalisty, biegło upatrzone zwierzę. Jeśli pogoń przeciągała się, cała grupa wilków miała przynajmniej pewność, że prędzej czy później zdobędzie łup, albo że zbiegną się wszystkie i dadzą sobie radę nawet z burym niedźwiedziem.

Łatwo tedy zrozumieć, że wielkie stado ma co jeść, a małe umiera z głodu. Stadu Białego Wilka wiodło się znakomicie. Wódz jego nie dopuszczał do żadnych sporów. Jak długo los mu sprzyjał, nie wolno było nawet kła wyszczerzyć. W sprawach wyboru terenów młody przywódca zasięgał rady dwóch doświadczonych wilków.

Bieg dośrodkowy wynagradzał do pewnego stopnia powolność kaleki — La Sombry i krótkonogiego teriera; zwykle zbliżali się do ofiary przedtem, zanim przybyli członkowie z najdalszych skrzydeł "sieci".

Mimo jednak sprytnie obmyślonych i starannie wykonanych planów, przeżywali niejeden suchy dzień. Raz post ich zakończył się w niezwykły sposób. Biegnąc doliną rzeki Tomahawk, Marco Blanco spostrzegł na tamie kolonii bobrów rosomaka rozkopującego ziemię swymi potężnymi pazurami.

Marco Blanco wydał głośny okrzyk, powtórzony potem cichym echem wzdłuż szeregu, który zaczął podążać szybko w stronę, skąd doszedł go sygnał. W zdumiewająco krótkim czasie piętnaście wychudłych wilków legło w ogołoconych krzakach jesiennych i przyglądało się niezwyklej scenie.

Biały Wilk miał chęć skoczyć, rozerwać rosomaka na strzępy i podjąć na nowo rozkopywanie tamy, lecz powstrzymała go od tego La Sombra. Zwróciła mu uwagę, że tama bobrów przemarzła całkowicie i stała się twarda jak drzewo. Cóż potrafiłyby tu zdziałać słabe szpony wilka? Natura przygotowała rosomaka do walki jak żadne prawie zwierzę na świecie, nie wyłączając wszechwładnego rybołowa. Jego pazury, podobne do pazurów niedźwiedzi, mogą ryć wszędzie i wszystko prócz skał, a garbate ciało i krótkie nogi kryją w sobie potężną siłę. Ale nawet i ten rosomak miał przed sobą niełatwe zadanie. Pazury się zmęczyły, połamały, nogi krwawiły, chciwość jednak pchała go dalej do czynu. Szatański bowiem demon głodu nigdy nie opuszcza tego zwierza, wiedziało, że pod twardą skorupą błota kryje się nadzieja napełnienia żołądka.

Kopało tedy dalej, a zapach krwi broczącej z poranionych jego nóg napędzał ślinkę do ust wilków wpatrzonych w tę scenę, bowiem wiatr wiał od strony tamy.

Czekały, aż rosomak dostanie się do nie zamarzłej ziemi, a gdy tylko dotarł do wody i błoto zaczęło rozbrzgiwać się we wszystkie strony — rzuciły się na niego z podstępny pośpiechem.

Rozegrała się walka, której Biały Wilk nigdy nie zapomniał. Rosomak był cztery razy mniejszy od najmniejszego z wilków, w tajemniczy jednak sposób skoncentrował w swoim ciele siłę aż dwóch wilków. Walczył z pasją straceńca, lecz potężne szczęki więziły go ze wszystkich stron. Skonał nieomal w powietrzu.

Tylko głód może uczynić jadalne mięso rosomaka, stado z Dunkeld nie miało jednak wyboru. Pożarło więc cuchnące ciało pasibrzucha. Potem dostało się na dół, do wody, do bobrów o miękkich ciałkach. Dzielne zwierzątka chciały użyć ostrych ząbków we własnej obronie, cóż mogły jednak począć, gdy wilk zatopił im swe mocne zęby w grzbietach?

Stado ucztowało do syta i spało tej nocy snem szczęśliwców.

I znowu zdarzyła im się niezwykła przygoda. W bagnach górnej Winnemago zwierzono dziwne zwierzę. Stado podążyło za nim przez wzgórza Winnemago, aż w dolinie Siedmiu Sióstr ujrzało olbrzyma siedmiu stóp długości, o wielkiej głowie osadzonej nad długimi, cienkimi nogami. Był to łos, który przywędrował tak daleko na południe ze swej siedziby.

Dopędziły go na brzegu jeziora, okazał się bardziej zajadłym przeciwnikiem niż wszelkie inne łosie. Położył trupem dwa młode wilczki, zanim Biały Wilk wykonał swoje "coup" i chwycił go za nos swymi ognistymi szczękami. Jednym uderzeniem nóg łos byłby rozłupał go na dwoje, w pierwszym jednak odruchu cofnął się przed dokuczliwą pijawką, co widząc stado otoczyło wroga kołem.

Patrząc, jak zakrzętało się nad pokonanym olbrzymem i opychało się jego mięsem, Biały Wilk poczuł nagły przypływ wstrętu, obrzydzenia, którego nie mógł wytłumaczyć. Uprzytomniał sobie tylko, że wilki i wilcze obyczaje wzbudzały w nim zdecydowaną odrazę, zawrócił tedy i pokłusował przez lasy obok Jeziora Muncie, aż ze szczytu niskiego pagórka ujrzał przed sobą wąskie, stalowe oblicze Jeziora Pekańów, opodal zaś mniejszego zbiorowiska wody słup dymu wijącego się ku południowi. Widok ten wstrząsnął Białym Wilkiem, przykuł go do miejsca i przejął pokusą, jakiej nigdy dotąd nie doznawał.

Nie mógł zrozumieć tego stanu. Wszak ujrzał tylko wstęgę dymu unoszącego się nad domem człowieka — człowieka, którego potrzask ze stali pewnego fatalnego wieczoru uwięził La Sombkę. Pomyślał o cichych nizinach w letni dzień, o wielu takich dymach snujących się na tle krajobrazu, o ryku bydła, zapachu pól i zbóż, i słodkiej woni siana rozchodzącej się w powietrzu.

Miły to był obraz, lecz Biały Wilk upodobał sobie najbardziej — może z powodu pewnego niebezpieczeństwa — myśl o domu człowieka, o ucztach i zabawach psów i głupkowato ostrym ujadaniu. Myślał jeszcze o głosie człowieka i wyglądzie tego potwora z oddali. Najlepiej pamiętał tych dwóch, co tam, na skraju Winnemago, szli śladem sześciu psów gończych, i jednym okrzykiem wzniecali w nich szaleńczą odwagę.

Tu, w górach, wiodło mu się doskonale. Piastowanie godności króla wilczego stada można było w jego wieku zaliczyć do triumfów i zaszczytów, a jednak z całego serca pragnął na jedną bodaj chwilę znaleźć się znów w dolinie z dala od stada z Dunkeld. — Zagłębił się w tych myślach — nie w rozważaniach, a w obrazach i wzruszeniach — gdy wtem usłyszał drwiący głos lisa za sobą. Uważaj Wilku! To znak nadciągającej niewoli. Uważaj, Biały Wilku!

Odwrócił się i ujrzał tego samego starego, parszywego lisa, którego spotkał w dolinie Winnemago, uciekając wraz z La Sombką przed zgrają psów. Tego samego lisa, ukazującego w uśmiechu spróchniałe i połamane zęby. Biały Wilk zadrżał z pogardy i wstrętu.

XXIV

Ogarnął go także strach, nie ma bowiem dzikiego zwierzęcia, które lubiłoby lisa i nie odczuwało przed nim przesądnego lęku. Mądrość niedźwiedzia daje się zrozumieć, zapobiegliwość wilka ma też pewne granice — lis jednak żyje poza sferą mądrości i zapobiegliwości, żyje na pograniczu dwóch światów, o których można mieć jedynie mgliste pojęcie. Biały Wilk odczuwał tedy lęk połączony z nienawiścią i wstrętem. Ten lis nie był zwykłym sobie lisem, ale nieczystym stworzeniem przytłoczonym wiekiem i chorobą. Miał czerwone oczy i — duma każdego szanującego się lisa — puszysty ogon wyglądał jak obszarpany wiecheć pełen zeschniętego błota i drobnych gałązek.

Szyderstwo, z jakim lis patrzył na Białego Wilka, raniło go jak miecz obosieczny, istota bowiem tak bliska grobu powinna była myśleć jedynie o własnej nicości.

Nie znajdujesz się zatem na równinach?

Przecież widzisz — zadrwił lis. — Nie jestem już tym, czym byłem niegdyś i kiedy niedawno ścigały mnie psy, rozumiałem, że następny taki pościg skończy się moją śmiercią. Niewiele mi już pozostało. Tyle tylko, żeby móc się naigrawać z wilków grubasów. Czy jesteś wilkiem, młody przyjacielu?

Nie słyszę, co mówisz — rzekł Biały Wilk, przekrzywiając głowę. — Wiatr dmie w twoją stronę. Może podszedłbyś nieco bliżej?

Lis uśmiechnął się, ukazując swe spróchniałe zęby.

Już jako młody szczeniak nie byłem głupi, by dać się schwytać w tak niezdarny potrzask — rzekł. — Zostań sobie tam, gdzie jesteś, Biały Wilku, ja zaś będę siedział tutaj. Wiem, jak prędko umiesz przebiec sto jardów. Odległość ta jest mi bardzo dogodna. W sam raz! Pytam więc powtórnie: czy jesteś wilkiem?

Ty stary łajdaku! Zapytaj swego nosa! Co ci powiada?

Powiada, że to coś ohydneho — wilk! Może być jednak zapożyczony zapach. Muszę przyznać, że jeszcze nie oglądałem podobnego wilka!

Słyszałem to już nieraz — odparł bullterier i machnął ogonem z zadowolenia. — Nawet taki stary lis jak ty może się przekonać, czym potrafi okazać się wilk!

Nie prawie ci komplementów — rzekł tamten oziębłe. — Nie widziałem dotąd wilka z tak szkaradną głową i tak złośliwymi, małymi oczkami. Nie widziałem też ogona, co nie zna chwili spokoju.

Biały Wilk spojrział za siebie.

Każdy ma taki, jaki mu się podoba! — odparł. — Uważam, że z moim jest mi bardzo do twarzy.

Tak uważasz? — zdziwił się lis. — Według mnie jednak powinien byś nauczyć swój ogon dostojnych manier, jeśli nie ma dostojnego wyglądu.

Biały Wilk oblizwał wargi i ruszył o kilka kroków, ale lis odsunął się natychmiast, zachowując poprzednią odległość.

Widziałem wilka — ciągnął dalej — notabene twego znajomego, o ogonie godnym nawet lisiej zazdrości, chociaż lisy, jak ci wiadomo, mają najpiękniejsze ogony pod słońcem.

Właśnie zwróciłem uwagę na twój — rzekł Biały Wilk, akcentując te słowa.

Lis uśmiechnął się, cieszył się bowiem niezachwianym samouwielbieniem.

Minęły pękne dni — rzekł. — Bywały jednak takie czasy, że pięćdziesiąt psów i prawie tyleż ludzi nadrywało sobie serce, żeby zdobyć ten mój ogon.

Absurd — odpowiedział Biały Wilk.

Tak sądzisz? Nawet jak na szczeniaka jesteś za mało wykształcony. Dawno już jednak zrezygnowałem ze znalezienia kulturalnego wilka. Nie bacząc na to, żywię dla ciebie niemądrą jakąś słabość.

Nie mam zamiaru dziękować ci za nią.

Nie proszę cię też o to.

Rad bym jednak wiedzieć, co cię skłoniło do przypuszczeń, że jestem wyjątkiem.

Przede wszystkim — odparł weteran przekrzywiając głowę — przede wszystkim to, że jesteś karykaturą wilka!

Ha! — krzyknął Biały Wilk zjeżywszy się z niecierpliwości i gniewu. — Czyż nie mam obojga oczu, czterech nóg i rzędu mocnych zębów, ty stary nikczemniku?

Masz, naturalnie — zgodził się lis ze swym podłym uśmieszkiem. — I lis to ma, i ryś, a nawet pies, mój drogi przyjacielu.

Wypowiedział to z takim akcentem na ostatnich słowach, z takim uśmiechem zadowolenia, że Biały Wilk warknął.

Wygadujesz tu najgorszego rodzaju nonsensy. Pozwól sobie powiedzieć w jednym słowie, że wiem wszystko o psach — tej obrzydliwej zgrai. Poznałem je i okiem, i uchem, i zębem. Nie ma nic w ich obronie. Jeśli więc w dalszym ciągu będziesz mnie do nich porównywał, nie będę cię dłużej słuchał.

Trudna sprawa — szydził parszywy lis. — Muszę więc biec za tobą i obwieszczać głośno te wszystkie prawdy! Siedź więc lepiej cicho i słuchaj. Nie poruszyłem jednak dotychczas tematu, o jaki mi najbardziej chodzi.

Zatrzymaj go dla siebie — warknął Biały Wilk. — Nie ma dla mnie najmniejszej wartości.

To dlatego, że jesteś teraz nie w humorze. Wyzyskaj jednak krótki czas, jaki ci jeszcze pozostał, by się nad tym zastanowić.

Jak mam to rozumieć?

Ów krótki okres, jaki ci pozostał, zanim samotny wilk zajmie się tobą i przyrządzi z ciebie potrawę. Mam oczywiście na myśli Czarnego Wilka! Zdaje mi się, że cię tym dotknąłem.

Istotnie trącił czułą strunę Białego Wilka. Teraz, kiedy osiągnął pełny wzrost i siłę — nie lękał się niczego w lesie; jednak Czarny Wilk pozostał dla niego upiornym widziadłem, jakby on sam był jeszcze niedojrzałym szczeniakiem, a tamten nadprzyrodzoną wielkością i potęgą.

Nie miałem do czynienia z Czarnym Wilkiem — oświadczył z powagą. — Dawno przyrzekłem, że wezmę go za gardło i wytrząsnę z niego życie. Jeśli go zobaczysz, przypomnij mu, że jestem wilkiem honoru i że dotrzymam raz danego słowa.

Już mi powiedziałem — rzekł intrygant z uśmiechem. — Dał sobie słowo, że rozerwie cię na strzępy, gdy spotka cię z daleka od stada. Pogardza samym sobą, że ma zboczyć z drogi dla wilka tak słabego, który poluje przy pomocy stada. On poluje samotnie. Nie ma jemu podobnego ani pod względem siły, ani piękności wśród wilków z gór San Jacinto.

Ciesz się jego sławą — rzekł terier. — Tym cenniejsze będzie dla mnie zwycięstwo. Walczyłem z trzema wilkami i wszystkie trzy nie żyją. Niech Czarny Wilk będzie czwartym.

Cokolwiek się stanie — muszę omówić jeszcze sprawę tego dymu.

Biały Wilk drgnął.

Co za licho przywiodło ci na myśl dym? — zapytał.

Ach, gdy przyglądałeś mi się właśnie, dziwne myśli przyszły mi do głowy.

Czy zechcesz mi powiedzieć, co to za myśli?

Przyszło mi na myśl, że jeśli pokonasz Czarnego Wilka — co wydaje mi się mocno nieprawdopodobne — będziesz miał jeszcze do czynienia z człowiekiem.

Biały Wilk dygotał z podniecenia.

Również i o tym myślałem — odparł. — Niech osiągnę tylko jego gardła, a umrze.

Tak twierdzisz — sztychł stary lis. — Pozwól sobie jednak rzec, młody przyjacielu, że jeśli nawet staniesz z nim do walki, to nie zdołasz znieść siły jego wzroku. I nie wiem, co jest gorsze: czy znaleźć grób w brzuchu Czarnego Wilka, czy żyć jako niewolnik w domu człowieka.

Krzywdzisz mnie! — zawołał Biały Wilk. — Nigdy nie mógłbym zostać sługą. Czyż nie jestem wolnym wilkiem i głową klanu? Tak, przysięgam na matkę, co mnie urodziła!

Aha — rzekł Rudy Lis. — A co to za matka ciebie urodziła, jeśli wolno zapytać?

Stary durniu! — zawołał terier. — Każdy wilk i kojot, i lis w górach wiedzą o tym. Jestem synem La Sombry, nawet wiewiórki powiedzą ci to samo.

Wiewiórki i inni krzykliwi idioci się nie liczą. Mimo to nie mogę się powstrzymać od pytania: czyś nie zastanawiał się nigdy, jak La Sombra może być twoją matką?

Brednie — rzekł Biały Wilk. — Odchodzę. Irytujesz mnie tylko i widać sprawia ci to przyjemność.

Zostań — nalegał lis drepcząc za nim i wołając głośno: — Uczyni to dla mnie, zatrzymaj się nad brzegiem jeziora i przyjrzyj się bacznie swemu odbiciu.

Widziałem już je nieraz — zapewnił Biały Wilk. — Myślisz, że nie mam oczu?

Nie oczu, ale rozumu. Spójrz jeszcze raz, Biały Wilku i przyjrzyj się uważnie temu, co zobaczysz, potem, gdy wrócisz do stada, porównaj siebie z La Sombłą i zapytaj, jakim sposobem mogła być kiedykolwiek twoją matką.

Wyślę za tobą stado, stary łotrze! — krzyknął Biały Wilk. — Bądź pewien, że nie skończyliśmy jeszcze naszych porachunków!

Ale stary lis roześmiał się w milczeniu, pokazał raz jeszcze swe spróchniałe zęby, a kiedy Biały Wilk obejrzał się za siebie — ujrzał go na tym samym miejscu. Śmiał się głęboko zadowolony z plonu, jaki mu przyniósł dzień.

XXV

Ziarno podobnej rozmowy nie może paść na głębię młodego umysłu, by nie wydać owocu. Zbliżywszy się do Jeziora Pekańów, Biały Wilk wskoczył na kamień o dwanaście stóp od brzegu i ze skupioną uwagą przyglądał się skrupulatnie sobie w lustrzanych wodach.

Jak wspominał, widział już swe odbicie niejednokrotnie przepływając wody jeziora, nie zwracał jednak na nie najmniejszej uwagi. Jakaż przepastna różnica dzieli szybki rzut oka od szczegółowego badania...

Okazało się, że między nim a członkami wilczego stada istnieje ogromna różnica. Nawet stary, sparszywiały lis miał więcej podobieństwa do bohaterów stada z Dunkeld. Któż na przykład mógł dojrzeć mięsień pod długim włosiem wilczej sierści? U Białego Wilka zaś widać było sprężyste mięśnie pokrywające siecią całe jego ciało. Ogon nie miał nic, ale to nic wspólnego z ogonem wilka, a długi, klinowaty łeb o małych trójkątnych oczkach niczym nie przypominał szlachetnej głowy wilka.

Pfuj! — wstrząsnął się Biały Wilk z obrzydzeniem. — Jestem tak podobny do wilka jak do węża. Nic dziwnego, że stado mnie nie lubi. A nawet La Sombra czyż nie kocha mnie tylko dlatego, że jej bronię i że od czasu do czasu przynoszę coś do zjedzenia? Kto wie? Tak, jestem najbrzydszym zwierzęciem w górach San Jacinto! Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości!

I odezwała się znów dawna bolączka. Po polowaniu, uraczywszy się mięsem, wilki oddalały się zwykle, by spocząć w samotności. Jeśli zdarzyło się, że Biały Wilk — nie bacząc na swoje stanowisko — podchodził za blisko, śpiący budził się natychmiast z groźnym warczeniem. Wódz przepadał za towarzystwem, za wszelką rozmową, mądrą, i głupią, i do tego stopnia rozkoszował się zabawą, że La Sombra mawiała do niego często z powagą: Ach, mój synu, więcej w tobie szczenięcia niż wilka! Czyżby wódz stada z Dunkeld miał tak mało godności?

Ale to nie było jeszcze wszystko. Młode wilczki go podziwiały, a stare — szanowały; nigdy jednak nie otworzyły przed nim serca, a kiedy wykrzykiwały z podziwem podczas słynnego chwytu "za głowę" osaczonego łosia — czuł, że cieszą się raczej nadzieją zaspokojenia apetytów niż jego triumfem i sławą. Ani jedno spojrzenie nie rozjaśniło się na jego widok. Pozostali wyniośli, a w sercu młodego psa trwała nieukożona tęsknota.

Wiatr ustał. Zbliżywszy się do następnej polany, Biały Wilk ujrzał słup dymu wznoszący się prosto jak szczupłe ramię daremnie wyciągnięte do nieba. Udał się w tamtym kierunku, rozmyślając nad słowami rudego lisa.

Nauka La Sombry nie poszła w las. Zbliżając się ku straszliwemu celowi wędrówki, szedł ostrożnie przeciw wiatrowi, notując liczne a złowróźbne zapachy: jadlo, żelazo, woń donośnego głosu, co zabija z daleka i związany z nim zapach człowieka.

Nie zamierzał jednak zawrócić. Mimo że włos jeżył mu się strachem, że zatrzymywał się usłyszawszy po raz pierwszy ludzkie głosy — szedł ciągle, aż przybył na sam skraj polanki i przycupnął za pnem drzewa.

Zjawił się przed nim królik i uciekł w przerażonych podskokach aż na środek otwartej przestrzeni, gdzie na zwalonym pniu siedzieli Gannaway i Molly Crosden. Królik schronił się między nimi, a Biały Wilk poczuł, że coś chwyta go za gardło.

Pierwszą bowiem i najstarszą prawdą, jakiej dowiedział się o człowieku było, że dzikie zwierzęta boją się go i wszystko, co żyje w lasach, do niego należy. Nawet uzbrojony jeżozwierz stanowił dla człowieka łatwą zdobycz, a skunks konał na sam jego widok. Jak więc się to stało, że pod wpływem strachu królik odważył się szukać schronienia wśród tych dwojga?

Szczupła ręka dziewczynki opadła i Biały Wilk zamarł widząc, że małe, wylękle zwierzątko podniosło uszy, że oczy roziskrzyły mu się radością, jak gdyby cieszyło się dotknięciem tej dłoni.

Pies namknął mocno oczy i otworzył je znowu, lecz obrazek nie rozplynął się we mgle.

Spójrz, królik, ta codzienna stawa wszelkiego dzikiego zwierza, to najdelikatniejsze i najgłupsze stworzenie, którego rozum mieści się jedynie w tylnych nogach, wydawał się tak spokojny u pozeracza człowieka! Mało tego! Szukał u niego opieki, tulił mu się do nóg!

I nie tylko to jedno wydawało się bullterierowi dziwne. Przysiągł sobie, że opowie La Sombrze o dużej, szarej wiewiórce, co skakała bez trwogi po polanie, wdrapywała się na ramię dziewczynki, lub siadała na kolana, kradła trochę obierzyn kartofli, które Molly wkładała na patelnię stojącą na jej kolanach.

Ciało dziecka odziewała skóra jelonka, sierść wypożyczona dla ciepła, a królik i wiewiórka — nie bacząc na tę kradzież — czuły się bezpieczne u jej nóg! Biały Wilk musi zapisać głęboko w sercu wszystkie te dziwy. Będą wymagały wielu wyjaśnień wilczycy.

Rozmawiali z sobą.

Słyszał już nieraz głosy ludzkie, zawsze jednak w szorstkości, pospolitym tonie: nawoływania myśliwych, szczucie psów — dźwięki straszne dla uszu uciekających wilków. W życiu Białego Wilka głos człowieka był głosem niebezpieczeństwa. Kiedy krążył z La Sombrą w pobliżu domów na równinach, słyszał nieraz odległe, dźwięczne urywki rozmowy. A chociaż ta muzyka wzbudzała zawsze w jego sercu radość i ból — nie łączył jej prawie nigdy z osobą człowieka.

Teraz usłyszał po raz pierwszy ciche pytanie i łagodną odpowiedź. Dziw godzin dłuższego zastanowienia, dziwniejszy niż odwaga królika i ufność wiewiórki wobec tych duchów niszczycieli.

— Trzeba nad tym pomyśleć, Molly — rzekł Gannaway. — Nie czujesz się tu szczęśliwa. Wyznałaś to sama!

— Och, tak — westchnęła Molly, a serce bullteriera roztajało pod wpływem smutku w jej głosie. — Nie jestem tutaj tak bardzo szczęśliwa. Zresztą większość ludzi nie jest, zdaje się, nigdzie szczęśliwa. Wszędzie i zawsze ma kłopoty.

— Tak, dorośli mężczyźni i kobiety. Ale nie dzieci... Mam nadzieję, że nie dzieci! Nie, nie, Molly, bądźmy z sobą szczerzy i mówmy otwarcie. Dobrze?

Podniosła swą małą, mądrą główkę i uśmiechnęła się szelmowsko.

— Nie wiem, proszę pana. Chciałabym z panem pogadać, ale nie wiem, czy to będzie dobrze. Niech się pan lepiej domyśla niektórych rzeczy, ale niech pan o nich nie wie!

Uśmiechnął się bardzo smutno.

— Rozumiem. Gdybyś powiedziała mi wszystko o swoim nieszczęśliwym życiu jako człowiekowi honoru, nie pozostawałoby mi nic innego, jak zabrać cię stąd, z gór i odwieźć na powrót do matki.

— Dlaczego miałoby to pana tak obchodzić? Dlaczego moja niedola miałaby dla pana tak wielkie znaczenie? — pytała Molly. — Dlaczego miałoby to być pańskim obowiązkiem? Nie jest pan czasem moim krewnym?

— Jestem mężczyzną, Molly, a ty jesteś dzieckiem. Każdy mężczyzna ma obowiązki wobec dzieci. Bóg świadkiem! Winni ci jesteśmy szczęście, moja droga.

Wsluchiwała się w jego mowę, rozchyliwszy lekko usta.

— To piękne słowa — rzekła. — Przypuśćmy jednak, że porzucę tatę... Hm, gdybym mieszkała tam, na równinach, z matką, nie zaznałabym też prawdziwego szczęścia. Myślałabym wciąż, jak strasznie smutno musi być w tej chacie. Samotność, proszę pana, to jakby drugi człowiek w domu, panoszący się po kątach, gdy odwrócisz głowę.

Gannaway przeszedł raz i drugi przez polanę. Gdy wstał i ruszył z miejsca, terier skulił się jeszcze bardziej. Oto był człowiek jak inni, rosły i silny, zionący mocnym, straszliwym zapachem śrutu i żelaza, z siekierą w ręku. (Rąbał drewno, kiedy Molly przysiadła do niego). Ale głos jego pieścił jak muzyka uszy Białego Wilka każdym drgnieniem i sływał po nieznanym, delikatnych strunach aż do głębi jego serca, otwierał tajemne do nich drzwiczki i zawisał tam przez długą, słodką a smutną chwilę niby echo w głębokim wąwozie.

— Niedługo ruszam w dalszą drogę. Nie chce mi się iść. Bałem się mówić z tobą o tym, ponieważ jesteś dzieckiem. Muszę jednak. Troski uczyniły z ciebie kobietę. I to muszę ci powiedzieć: ojcu twemu nie jest lepiej niż przed kilku tygodniami, kiedy wracałem z Winnemago z poprzedniej podróży.

— Aha — przytaknęła Molly. — Nie jest mu lepiej.

— Zdaje mi się, że coraz więcej myśli o Królu.

— Aha, co wieczór myśli o Królu.

— A w dzień, kiedy obchodzi potrzaski?

— Nie wiem — odrzekła Molly. — Nie lubię myśleć o tym.

— Czy wiesz — zawołał Gannaway z nagłym, wielkim wysiłkiem — czy wiesz, że się go boję, kiedy wpada w ten nastrój?

Wyprostowała się i wpatrywała w niego z pobladłą twarzą.

— Co pan chciał powiedzieć, panie Gannaway?

— Och, Molly, kochanie, ty wiesz, co chcę powiedzieć... Twój ojciec jest na punkcie Króla maniakiem, niebezpiecznym nawet dla mnie, choć jestem jego przyjacielem, nawet dla ciebie, choć jesteś jego ukochaną córką!

Molly nie odpowiadała, przebierała na chybił trafił palcami obu rąk.

— Dlatego chcę cię stąd zabrać, moje kochanie. Pójdiesz ze mną. Wrócisz teraz do domu, weźmiesz, co ci trzeba i wyruszymy razem. Śpiesz się, każda chwila droga!

Dziecko uśmiechnęło się, ale po chwili potrząsnęło głową.

— Dogoni nas — rzekło. — A jeśli nas dogoni...

Gannaway rozluźnił sobie nieco kołnierzyk.

— Jest to jedyna moja sposobność — rzekł ochryplym głosem — i jedyna twoja sposobność... Pośpiesz się.

Molly tymczasem powzięła decyzję. Z uśmiechem potrząsnęła przecząco głową.

— Przesada, proszę pana — rzekła. — Wiem, co tato miał na myśli mówiąc, że pan jest Europejczykiem. Jest nim pan wtedy, w ogromnym stopniu... Może kryje się tu ździebko niebezpieczeństwa... Kiedy zaczyna mówić o Królu, myśli, że wszyscy są przeciwko niemu, nawet ja, nawet pan! A jednak gdybyśmy odeszli, co by się stało, gdyby wrócił do chaty i nie zastał nikogo? Och, nie jestem dla niego odpowiednim towarzyszem, ale przynajmniej

jestem. Pomagam mu trochę, trochę się nim opiekuję. Gdybym odeszła — byłby stracony na wieki. Proszę mi powiedzieć — tak między nami — czy nie mam racji?

Gannaway pobladły i wstrząśnięty chciał coś zełgać, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Cień jakiś poruszył się i przysunął do Białego Wilka. Usłyszał złowróżbny szept La Sombry.

— Widzisz, lęk mój miał słuszne podstawy, nie opierał się na żadnych urojeniach... Znalazłam cię tutaj... Och, mój synu, czyż nie wiesz, że człowiek zastawia różnego rodzaju sidła, że chwyta nie tylko zębami z żelaza? Pójdź za mną! Szybko!

Terier zwiesiwszy głowę powłókł się za nią krokiem tak nieostrożnym, że odgłos ich zwrócił na siebie wzrok dziewczyny. Zerwała się z okrzykiem.

— Co to, Molly?

— Wilk, a za nim coś białego, proszę pana, czy to czasem nie Biały Wilk.

XXVI

Następnego dnia wilki zostawiły kości łośia i z rozkazu Marco Blanco skierowały się przez wzgórze w niższą dolinę Dunkeld, przepłynęły rzekę Siedmiu Sióstr po drodze.

Szły wąskim przejściem między wzgórzami Dunkeld, gdy wtem ostry, żaloszny głos zabrzmiał ze skały na brzegu kanionu. Spojrzawszy w górę, Biały Wilk ujrzał lisa, siedział na szczycie skalnym, tuż nad przepaścią, ale zdawał sobie nic nie robić z zagrażającego mu niebezpieczeństwa.

Czy to są wilki ze stada Dunkeld? — zawołał lis.

Tak jest — zawył Marco Blanco. — Czego chcesz od nas, ty diable parszywy?

Czy to są wilki, których wódz biegnie na szarym końcu?

Zejdź na dół, kochasiu — odpowiedziała La Sombra warknąwszy gniewnie — i zajrzyj w paszczę temu powolnemu dowódcy. Siła jego dowództwa leży nie gdzie indziej, a w pysku.

To kulawa wilczyca ze swym synem bękartem — rzekł lis, przyglądając im się bacznie, a starcze jego ciało zdawało się zwisać nad zwałem skalnym. — Powiedz mi, przemądra matko, czy nie spotkałaś go wczoraj, przesiąkniętego świeżym zapachem człowieka?

Oby myszołów pozbiarał twoje kości jeszcze przed nastaniem nocy! — ryknęła La Sombra. — Idźmy dalej, bracia, nie zwracajmy na niego uwagi.

Stado zatrzymało się, usiadło, uniosło nosy, utkwivszy błyszczące oczy w rudym wścibskim.

Siedzicie tu jak szczenięta gotowe do wysłuchania bury od ojca. Posłuchajcie zatem, maleństwa! Czy wodzem waszym jest wilk-pies, czy też pies-wilk? Jeśli matką jego jest La Sombra — spójrzcie na nią i na niego. Czy, kiedy siada, ogon zabezpiecza go od zimna i śniegu? Czy ogrzewa mu nos podczas snu? Przemówcie do mnie, maleństwa, i powiedzcie, czy jesteście wilkami, czy jesteście ślepe?

Odpowiedziały pomrukiem oburzenia, a kilku młodszych śmiałków usiłowało wdrapać się na gładką ścianę skalną. Lis zaśmiał się.

Dobrze. Ziarno, które zasiałem — wszędzie. Spójrzcie na niego i powiedzcie prawdę. Ale, ale... chcę dać wam dowód, że jestem waszym przyjacielem, i że zjadam kości pozostawione przez was po polowaniu. Głupiec, kłamca i pyszałek — Czarny Wilk, w mówivszy sobie, że ma skrzydła u nóg, gonił mnie dziś rankiem; nawet moja wypęzła skóra wydawała mu się godnym pożywieniem. Gonił mnie — oby zdechł i zgnił za to. Ściagał mnie, ale ja jestem tutaj, on zaś spoczywa w małej jaskini, gdzie można by napaść na niego we troje... Słyszycie, bracia?

Słyszemy! — zawołały ogarnięte zachwytem. Czarny Wilk, ten samotny olbrzym, wyraził się tak ujemnie o stadzie, że wywołał drwiny drapieżników, myśliwych z gór San Jacinto. — Słyszemy i idziemy!

A co się tyczy informacji o waszym wodzu, bracia z Dunkeld, udzielam wam ich z łaski. Przyjdźcie do mnie, jeśli zapagniecie dowiedzieć się czegoś więcej, opowiem wam wszystko, co warto wiedzieć. Żegnajcie!

Biały Wilk, dygocąc z oburzenia, spojrzął na stado posuwające się ku gardzieli kanionu. Na górze mignął mu przed oczyma uśmiechnięty lis i jego spróchniałe kły.

Czyście słyszeli? — spytała La Sombra gorzko, kuszykając obok swego mlecznego syna. — Ach, że też taki kundel śmie wypowiadać podobne słowa o moim synu, synu mego łona, mojej krwi! Że też stado słucha czegoś podobnego, jakby dawało temu wiarę. Jakaż istnieje między nami różnica, której miłość moja dopatrzeć się nie może? Powiedz mi, o Biały Wilku!

Ogarnięty czułością przysunął się do niej nieco bliżej.

Lis niech sobie gada, a stado niech słucha. Potrzebuje mnie do łowów i zatrzyma mnie tak długo, jak długo stary Marco Blanco nie wysadzi mnie z siodła. Czy zauważyłaś, jak rozmawiał z młodymi wilczkami?

Nie jestem ślepa — westchnęła La Sombra biegnąc z trudem. — Widziałam i słyszałam, z jakim patosem wspominał minione dni, łowy, którym przewodził, dowództwo stadem większym niż stado z Dunkeld! Ten zdrajca żywi do nas złość, mój synu. Zaufaj mi jednak, a wszystko będzie dobrze. A teraz pędźmy co tchu. Celem naszym jest dziś Czarny Wilk!

I pognali w ślad za stadem przez lasy sosnowe i cedrowe, przeskakując rowy i szczeliny. Księżyc szedł wysoko ponad czernią gór, zdobiąc pokryte śniegiem wiecznie zielone gałęzie baśniowym srebrem z krainy czarów.

Dotarli do rozległych przestrzeni doliny, minęli ją obok Dunkeld, skierowali się ku rzece, biegnąc cicho, bezgłośnie, przeciwko wiatrowi.

Mimo wyteżonego biegu, Biały Wilk pozostawał daleko w tyle, a zbliżywszy się do celu wyprawy, usłyszał już chóralne ujadanie i warczenie, nad którym górowało głośnie, dalekie, żalosalne wycie.

Przybywszy na miejsce, ujrzał jednego z członków stada konającego u wejścia jaskini, gdzie według zapowiedzi lisa, miał znajdować się olbrzym. Ślad jego prowadził aż na drugi wyniosły brzeg rzeki. Stał tam Czarny Wilk ozłocony blaskiem księżyca, a najeżona wojowniczo grzywa czyniła go większym od lwa górskiego.

Wilki z Dunkeld oczekiwały swego białego wodza na tej ponurej przełęczy i sposobiły się do ataku na pochyłości wzgórza, pokrytej żwirem i oślizłym piaskiem. Z impetem rzuciły się ku szczytowej krawędzi, lecz spotkały się tam z istnym orkanem zniszczenia.

Od chwili swego przyjścia na świat Biały Wilk przyglądał się przeróżnym walkom, nie widział jednak nigdy nic podobnego. Czarny, wielki wilk, dwa razy większy od zwykłego, miał — zdawałoby się — trzykrotną jego siłę. Rozerwał gardziel pierwszego śmiałka, który dotarł do występu skalnego, i zrzucił go konającego do stóp wyniosłości. Przegryzł arterię gardła drugiego, na widok czego stado cofnęło się skulone. Jeden tylko Biały Wilk wdrapywał się dalej z trudem na usuwające się spod nóg ściany wzgórza i wykrzykiwał swym szaleńczym, cienkim głosem: Z drogi! Biały Wilk przybywa! Czarny diable, nadszedł dzień twojej śmierci.

Nadszedł dzień śmierci jednego z nas! — warknął olbrzym. — Czy masz odwagę stanąć ze mną sam do walki?

Biały Wilk gramoląc się na szczyt wzgórza, ujrzał przed sobą widmo zagłady. Nie mógł już uniknąć ostrych zębów potwora, które rozcięły mu szyję i elastyczne mięśnie ramienia.

Nigdy jeszcze nie otrzymał terier podobnego uderzenia. Nie śniło mu się nawet, że wilk potrafi zadać taki cios! Stoczył się haniebnie głową w dół.

Jakież wrzask rozpaczy i gniewu podniosło na ten widok stado z Dunkeld! Białego Wilka wdrapującego się na oślep znów na górę zatrzymała La Sombra. Rzuciła się w poprzek i przeszkodziła mu w jego zamiarach.

Oszalałeś? — pytała dysząc. — Zamierzasz wydać się na pastwę jego zębów? Pokonał już trzech. Nie wybiła widać jeszcze jego godzina. Chcesz być czwarty?

Biały Wilk, choć na wpół oślepy z gniewu, nie był jednak całkiem ślepy i widział, że słowa matki zawierają prawdę. Biegał tylko tam i na powrót, nie bacząc na krew, która płynęła strumieniem i krzepła na ramieniu.

Pójdź do mnie, Czarny Wilku! — wołał. — Pozwól mi tylko wdrapać się na górę i spotkać się z tobą na równym gruncie.

Co za sposób mówienia? — warknął olbrzym. — Pozwolę ci tylko jedno: umrzeć. Dziś nadeszła widać twoja kolej, słyszysz, Biały Wilku? Widzę, że twoje młode wilczki wdrapują się z tamtej strony, aby mnie okrążyć, podczas gdy reszta atakować będzie z przodu. Odchodzę. Pamiętajcie o mnie, wilki z Dunkeld. Zostawiam wam trzech zabitych. Zbliżcie się tylko, a pomnożę ich liczbę. Co? Wy jesteście wilkami? Nie, jesteście kojotami! Pogardzam wami. Nie mam nawet zdraśnięcia. A teraz odwróćcie się, spójrzcie na poległych i na swego białego wodza. Gdzie się podziała jego białość? Zmieniła się w kolor krwi i błota. Żegnajcie! Odszedł, a La Sombra oblizując do czysta ramię swego syna, szeptała mu na ucho: Będziesz teraz miał przykości. Nie udało ci się. Bądź gotów. Widzę w ich oczach żądzę zniszczenia. Przed świtaniem może dojść do nowej walki.

Rzucił okiem po stadzie. Osiem wilków zostało przy życiu, siedziały zbite w gromadę na wprost niego, stary Marco Blanco wysunął się, położył się, lizał sobie łapy, a mówiąc ciskał okrutne spojrzenia z ukosa.

Ilu mamy zabitych? — spytał.

Tamci wpatrzeni uporczywie w twarz Białego Wilka, odpowiedzieli uroczystym chórem: Mamy dziś trzech zabitych, Marco Blanco.

Ach — szepnął stary wilk — aż trzech silnych wilków. Poległych! Pierwszych od długiego czasu. Dawno już, dawno nie poległ żaden z naszych braci!

Wpatrywały się z powagą w Białego Wilka.

Marco Blanco — odparły — dwóch padło podczas polowania na łoszę. Zapłacili za mięso.

Marco Blanco wstał i wstrząsnął się całym ciałem.

Co? — zawołał. — Czy to prawda? Macie wodza, co żywi was własnym ciałem?

Złowróźbny pomruk zabrzmiał w odpowiedzi.

Co mam im powiedzieć? — zapytał Biały Wilk niespokojnie.

Powiedz, że własna ich gwałtowność spowodowała te straty. Że stromy brzeg dał Czarnemu Wilkowi możliwość uśmiercenia tamtych dwóch. Powiedz to.

Biały Wilk posunął się sztywno w ich kierunku, oparł się o brzuch i tylne nogi, by każdej chwili móc skoczyć wzwyż i spojrzeć na szereg pysków o dzikim wyrazie. Wzrok ich cofał się przed jego spojrzeniem, a obwisła skóra poruszała się na grzbiecie. Widać bały się go jeszcze.

Nie powiem nic w mojej obronie. Wiodłem was naprzeciw wielu niebezpieczeństwom, ale w zamian za to dałem wam dobrobyt. Czy w stadzie z Dunkeld odznacza się choć jedno zebro? Nie będę jednak tracił słów dla wilków, co słuchają głosu parszywych lisów i wyrzutek. Jedno tylko powiem: w tych rzeczach decyduje prawo. Nie udały mi się łowy, nie jestem zatem godzien dowództwa. Wzywam was do walki pojedynczo, a nie we dwóch. Powstańcie z miejsc, wy najsilniejsi. Cóż to, Marco Blanco, nie słyszysz?

Ale Marco Blanco, choć wzdychał do samodzielnego dowództwa stadem — nie kwapił się do walki w pojedynkę z tym straszliwym przeciwnikiem. Wywiesił więc język i mruknął: Czy mamy stworzyć prawo dla syna kulawej wilczycy, który zakrada się do siedzib ludzkich i wraca stamtąd przesiąknięty smrodem człowieka? Powiedzcie bracia, czy mamy stworzyć również i dla takich prawo?

W stadzie zawrzało. La Sombra, czując niebezpieczeństwo, przypadła do ziemi, obnażyła kły, gotowa do skoku i walki w obronie swego przybranego dziecięcia. Nie umrą bez znacznych ofiar ze strony stada z Dunkeld!

Biały Wilk nie uląkł się niebezpieczeństwa.

Wstał i zbliżywszy się do Marco Blanco, warknął nad głową weterana-wojownika:

Bodaj cię morowa zaraza ogarnęła, Marco Blanco! Zaszczyciłem cię pierwszeństwem w stadzie, a tyś posłużył się moją łaskawością, by mnie zniszczyć. Jeśli nie masz zamiaru walczyć, wezwij najsilniejszego i najdzielniejszego z twoich młodych przyjaciół. Niech staną przy tobie. Jesteś stary, choć masz jeszcze mocne zęby. Wstawaj zatem, niech podniesie się również najlepszy twój towarzysz. Ja, Biały Wilk, będę walczył z wami dwoma naraz. Powiadam wam bowiem, wilki z Dunkeld, serce rozpiera mi pogarda dla was. Spójrzcie na mnie; podstawiam bok i udo. Skaczcie. Zapraszam was. Kto wystąpi? Kto skoczy? Co? Ani jeden? Czyżby lis miał rację? Czy skóry wilków kryją dusze kojotów? Pfuj! Opuszczam was i pogardzam wami! Niech nikt nie waży się iść za mną. Marco Blanco, obejmij dowództwo. Ofiaruję ci je dobrowolnie. Żegnajcie!

Podszedł do La Sombry.

Wygnało nas? — jęknęła.

Cicho, La Sombro — odrzekł. — Nie czas na rozmowy. Chodźmy, bo serce mi pęka.

XXVII

La Sombra czuła się chora, bardzo, bardzo chora. Inaczej może nie stałoby się to, co nastąpiło. Spowodowała tę chorobę tylko zmiana stanowiska i cios zadany jej dumie. W stadzie, gdy Biały Wilk rządził wojownikami ze wzgórz Dunkeld, czuła się królową. Teraz, gdy ich wygnano, nie ustawała w narzekaniach.

Wszystko ułożyłoby się, gdybyś został. Nie miałeś powodów do rezygnacji. Czyż Marco Blanco miał prawo cię wygnać? Nie, a inni niestanąliby do walki z nami. Ty jednak — młody i dumny głupcze — nie chciałeś zostać. Czy wystarczał sam fakt niezadowolenia, aby cię wygnać? Myślisz, że uważali cię za doskonałość? Cicho, Biały Wilku! Co by się stało z tobą i resztą moich dzieci, gdybym was opuściła na skutek waszych skarg? Ileż to razy warczałyście na mnie, jeśli wracałam do domu bez surowego mięsa? Gryzłyście mnie, targały i ciągnęły za sierść.

Wszystko to bardzo dobrze — odpowiadał jej mleczny syn oschle, rozglądając się ponuro wokół małej, nędznej jaskini służącej im za schronienie na południowym stoku wzgórza opodal Jeziora Pekańów. — Wszystko to bardzo dobrze, ty jednak mówisz o dzieciach, a ja o dorosłych wilkach.

Pozwól powiedzieć sobie coś, o czym warto wiedzieć... Te wilki, co poumierają młodo, mogły doczekać starości, gdyby miały o tym pojęcie. Dziesięć wilków zebranych wokół jednego silnego, mądrego, dzielnego i szlachetnego wilka — to dziesięcioro szczeniąt głupich, kłótliwych, bojaźliwych i nierozsądnych. Dlatego też obierają jednego, który myślałby za nich. Nie dlatego, że jest o wiele mądrzejszy. Ma tylko mocniejsze zęby. Lepiej, by jedna głupia głowa sprawowała rządy, niż by dziesięć mętnych łbów gadało naraz. I dlatego powiadam: stado z Dunkeld zginie. Marco Blanco jest nie tylko zdrajcą, ale za starym zdrajcą, by przewodzić. Nie udadzą mu się żadne łowy. Wyśmieją go w żywe oczy. Zginą wszyscy... Uniknęłoby się tego, gdybyś ty, mój synu, przełamał swą dumę i machnął im w twarz ogonem. Teraz za to jesteśmy wygnani. Trwa długa i surowa zima i, ach, jakże ten wiatr zawodzi... Jestem chora. Boję się, że nie odzyskam sił... Serce mi pęka!

Patrzył na nią bezradnie. Leżała zwinięta w kłębek, drżąc nie tyle z zimna, co na myśl o zimnie. Zdawał więc sobie sprawę, że jest bezsilna, że musi zostawić ją własnemu losowi i starać się o żywność dla dwojga.

Polować dla dwojga, kiedy nie starczyło dla jednego, zanim przyłączą się do stada! Teraz, gdy pora chłódów przeciągała się długie tygodnie, jakież mieli szanse uniknięcia śmierci głodowej? Nigdzie nie widać było drobniejszej zwierzyny, większą zaś pokonać mogło tylko stado. A jednak po co miał siedzieć w jaskini, marznąć i konać powolną śmiercią?

Wyszedł na świat Boży.

W głębi pieczary zdawało im się, że słyszą zawodzenie wiatru. Kiedy jednak Biały Wilk wybiegł na otwartą przestrzeń, zawodzenie to przeszło w groźny ryk. Rozejrzawszy się wkoło zauważył, że ziemię spowija oślepiający blask, a wicher północny jęczy z taką wściekłością, że ziemia dygoce pod nogami.

Pies skulił się, stulił uszy i obejrzał się na wszystkie strony. Duszę miał pełną okropnych przeczuć. Okrążył wzgórze, a gdy dotarł do najwyższej skały, huragan uderzył weń gwałtownie niby dłoń wymierzająca cios. Zarył się palcami w ziemię, wyciągnął się jak długi i spoglądał na najdziwniejszy krajobraz, jaki widział kiedykolwiek w swoim życiu. Ostry wiatr północny zgarniał śnieg i powiewał z każdego szczytu górskiego długą chorągwią, nie z trzepocącej mgły ani chmury deszczowej, lecz z samych kryształków śnieżnych!

Do zachodu słońca pozostawało niespełna pół godziny. Każdą przejrzystą chorągiew z pyłu śnieżnego zalewało i przenikało różowawe światło. Zdawało się, że śnieg całego świata wirował w skocznym, północnym tańcu, powietrze iskrzyło się po prostu olśniewającymi gwiazdeczkami. Zniknął smutek zimy. Siedem Sióstr ukazywało swych siedem różanych, drżących obliczy. Rozlewne światło spływało w dół ku rzece, na zatokę, na nagie drzewa i wyniosłe, zielone jodły, o wygiętych łukowato gałęziach. Od czasu do czasu z hukiem odległych dział łamało się wielkie jakieś drzewo i górna jego połowa unosiła się z wiatrem jak z prądem bystrych wód.

Biały Wilk leżał skulony, ogarnięty głębokim zdumieniem, aż póki różowość chorągwi śnieżnych nie zmieniła się w szkarłat, blady fiolet i błękit. W końcu wraz z ukazaniem się gwiazd wiatr nagle ustał, pozostawiając tylko zawodzące w górach echa.

Zdrętwiały i złamany na duchu udał się na polowanie na zachód. Powłókł się brzegiem Jeziora Pekań, gdy wtem ucho jego pochwyciło gwałtowny a słaby plusk i parskanie kota. Mimo słabego węchu rozróżnił zapach norki. Stał nad małym, gniewnym złym duchem, uwięzionym w potrzasku Tuckera Crosdena. Musiał działać ostrożnie, by uniknąć ostrych jak igły kłów. Norka, osłepła ze wściekłości, szamotała się w potrzasku, nie zwracając uwagi na nowego wroga. Biały Wilk skoczył, zacisnął zęby na jej karku i jednym szarpnięciem pozbawił życia giętke, węzowe ciało.

Żył tylko jedno pragnienie: zanieść zdobycz wilczycy do jaskini. Ale potrzask trzymał norkę mocno w uwięzi, zjadł ją więc na miejscu, stojąc przy tym w lodowato zimnej wodzie. Potem udał się na dalsze łowy.

Znajdował się teraz na wyraźnie oznaczonej linii potrzasków traperów. Od czasu do czasu uderzała go przykra woń żelaza, poznawał po niej, że w tych miejscach człowiek pozakładał w ziemi zęby — te zęby, co uczyniły La Sombregą kaleką. Obchodził z daleka każdy potrzask i szedł uważnie, aż ujrzał przed sobą parę jarzących oczu i w świetle gwiazd, w gąszczu nagich krzewów spostrzegł starego, rudego lisa, przyglądającego mu się ze swym zwykłym, "szczerbatym" uśmiechem.

Na widok sparszywiąłego jasnowidza z lasów, przecucie nadchodzącej kłęski przeszło go zimnym dreszczem.

A więc wódz opuścił stado? — rzekł lis łagodnie. — Nie szkodzi, mój synu. Niewarci byli twego przewodnictwa. Mają już teraz dość kłopotów. Marcowi Blanco dwa razy nie udały się łowy. Reszta sarka. Nie jedli mięsa już od pięciu dni, brzuchy im zapadły i skóry na nich obwisły. Gryzą mech, korę drzew i wzdychają do Białego Wilka, by przywrócił im dawny dobrobyt. Wracaj do stada, Biały Wilku. Dzisiejszej nocy będzie krążyło między górą Spencera a górą Lomas. Nie zapuści się daleko, nie żywi bowiem wielkich nadziei. Idź, i niech ci szczęście sprzyja.

Biały Wilk oblizał cienkie wargi i uśmiechnął się jak tylko bullteriery potrafią się uśmiechać.

Bierzesz mnie za głupie szczenię — rzekł. — Czytam jednak twoje myśli. Nie wiem, dlaczego chcesz, abym zawrócił z drogi, którą idę. Pójdę nią jednak dalej i zobaczę, co tam jest godnego uwagi.

Zawracać cię z "drogi człowieka" wśród lasów? O nie, nie, bracie! Dla twego jednak własnego bezpieczeństwa powiadam ci: droga ta obsadzona jest gęsto potrzaskami! Kroczysz linią trapera, a ona prędzej czy później oznacza śmierć.

Co się tyczy potrzasków — rzekł Biały Wilk spokojnie — znam je od dawna z własnego doświadczenia i z pouczeń La Sombry. Co za diabeł siedzi jednak w tobie? Nienawidzisz mnie, a myślisz, że przyjmę rady wroga?

Poszedł wprost przed siebie, a weteran wśliznął się w głąb zarośli.

Posłuchaj — dyszał z zapału. — Wierz mi, że mówię prawdę. Czarny Wilk nie zapomniał o swoim sukcesie i twojej porażce. Ach! z bólem serca widzę, że rana na ramieniu nie zablizniła ci się jeszcze! I grozi, że zgładzi cię przy pierwszym spotkaniu. Od chwili, gdy porzuciłeś stado z Dunkeld, stale jest na twoim tropie. Pewnie i teraz podąża za tobą.

To szczyt kłamstwa — oświadczył Biały Wilk. — Nic nie sprawiłoby ci takiej uciechy, jak mój kres w jego paszczy. Ostrzeżenie twe jest fałszywe!

Prawdziwe! Klnę się na cienie matki, co mnie urodziła, i ojca, co uczył mnie łowów!

Przypuścimy... Chciałbyś jednak ukryć coś przede mną. O, właśnie to!

Między dwoma młodymi drzewkami w zaroślach ujrzał wspaniałego lisa, z tylną nogą uwięzioną w potrzasku, z tyłu zaś usłyszał jęk żalu starego lisa.

Więzień znalazł się na wprost Białego Wilka. Włos zjeżył mu się, uwięziony lis okazywał się zawsze najzawziętym wrogiem. Lis z tyłu szeptał drwiąco:

Zostaw go, Biały Wilku, albo — rzucę się na ciebie, ty biały diable!

Naprawdę? — odparł terier i skoczył wprost na starego. Przepędziwszy go, wrócił do zaniechanego ataku na schwytanego lisa. Wilczy cios ramienia oszołomił biednego więźnia i rozciągnął go bezwładnie na ziemi, a podłużna, okrutna szczęką Białego Wilka zmiażdżyła kark i przecięła nić życia ofiary.

Na skraju lasu usłyszał złorzeczenia:

Oby na drodze twojej stanął człowiek! Oby rozpostarł twoją skórę przed jaskinią! Oby Czarny Wilk przyszedł w ślad za tobą! Bądź przekonany, że wskażę mu twoją kryjówkę. I dopomogę mu w walce! Ty biały diable! Ty biały diable, przeczuwałem całą twoją podłość, gdy po raz pierwszy ujrzałem tę łysą, wąską mordę! W górach San Jacinto nie widziało się dotychczas nic tak ohydnego, twój pobyt tutaj nie potrwa zbyt długo.

Biały Wilk nie zwracał uwagi na te słowa. Nie przepadał za lisim mięsem, ale głód wyrobił w nim skromność i niewybredność. Dokończył posiłku, którego pierwsze danie stanowiła norka, potem odgryzł uwięzioną nogę ofiary, przerzucił sobie ciało przez grzbiet — na wzór La Sombry — i ruszył w powrotną drogę, ciesząc się zawczasu radością wilczycy na widok obfitego pożywienia.

Zboczył z krętej linii rzeki i jeziora, cofnął się bardziej w głąb, by udać się najkrótszą drogą do jaskini, gdzie czekała na niego zrozpaczona La Sombra. I tak się złożyło, że po raz drugi w życiu znalazł się na polance, gdzie stała chata Tuckera Crosdena.

W tej chwili drzwi się otworzyły. Wyszła Molly Crosden, zostawiając za sobą drzwi szeroko otwarte, żeby blask padający z lampy oświecił jej, lepiej od gwiazd, drogę do jeziora. Terier wsłuchując się w zgrzyt wiadra, położył ciało lisa i podkradł się bliżej.

Alboż nie nadarzała się najlepsza sposobność, by zajrzeć w tajemnicze głębie jaskini człowieka teraz, gdy wejście do niej stało szeroko otworem?

XXVIII

Spojrzał wzrokiem winowajcy na drzwi. Człowiek, odwrócony od nich tyłem, pochylił się nad strzelbą i czyścił ją z zapalem. Ach! Wiele cudownych rzeczy zgromadził w tej jednej jaskini! Ile zapachów uderzało w nos, począwszy od skóry niedźwiedziej i wielkiej skóry owcy górskiej na podłodze, aż do zapachu drzewa. Łączyły się z nim tysiące śladów człowieka i słaby odór wielu, wielu skór zwierzęcych, rozmieszczonych poza jaskinią olbrzyma. Rozróżniał z nich w tej chwili tylko kunę i skunksa.

Umysł psa odbierał coraz to nowe wrażenia, a węch zdumiewające wieści. Kręciło mu się po prostu w głowie.

Tam, na ścianie, spostrzegł takie same zęby, jakie człowiek zakopywał w ziemi. Wisiały na natłuszczonych, ale zardzewiałych łańcuchach, prócz nich znajdował się tam istny arsenał broni i niektóre wydzierały jeszcze ostry zapach śrutu, w kącie stały oparte o ścianę siekiery, a najbliżej samego człowieka skupiły się dwa główne punkty zainteresowania i uwielbienia Białego Wilka.

W jednym kącie budowla z kamienia i żelaza buchała gorącym niby słońce w południe. Na szczycie tej budowli żelazny przedmiot dyszał parą jak oddech o mroźnym poranku, a z innych żelaznych przedmiotów rozchodził się nęcący, bogaty zapach jedzenia.

Człowiek jadł. Na drewnianym stworzeniu wspartym na czterech sztywnych, drewnianych nogach, rozrzucone były resztki jedzenia. Wszędzie unosił się zabójczy zapach człowieka, a mimo to terierowi szła ślina do ust, choć niedawno najadł się do syta.

Powoli ogarniał go strach. Bo choć oceniał wielkość czyhającego na niego niebezpieczeństwa — czuł, że wzbiera w nim jednocześnie szalone pragnienie, by wejść do domu, choćby nawet drzwi miały zamknąć się za nim i uwięzić go jak w potrzasku!

Chciał się cofnąć — nie mógł się jednak odwrócić. Nawet wówczas, gdy człowiek zdrewniał nagle na krześle, Biały Wilk nie mógł wybiec w przyjazny mrok wieczoru, który czekał rozpostarty szeroko ramiona. Nawet wtedy, kiedy człowiek zakołysał się w fotelu — pies nie zdołał wykonać najmniejszego ruchu. Nawet wtedy, gdy na wprost niego ukazała się straszliwa twarz człowieka — Biały Wilk nie mógł wybiec w bezpieczną ciemność lasu.

Przypomniał sobie tylko słowa La Sombry o przedziwnej sile oczu człowieka. Odczuł tę siłę. Owładnęła jego oczyma i duszą, odczucie jednak tego władztwa wzbudzało w nim tyleż szczęścia, co obawy. La Sombra pragnęła uciec pod wrażeniem utkwionych w sobie źrenic człowieka — Biały Wilk pragnął tylko wśliznąć się do jaskini i wyciągnąć się u stóp człowieka!

Nieraz, kiedy biegł niebezpieczną ścieżyną górską, ogarniała go podobna, chorobliwie męcząca chęć, by rzucić się w przepaść z wysoka.

W tej chwili miał w sobie znacznie mniej poczucia rzeczywistości i oporu. Nie cofnął się nawet, kiedy Człowiek wyciągnął do niego dwoje straszliwych rąk i szepnął: — Król...

Zahipnotyzował go strach, podziw i śmieszna jakaś radość, co zagnieździła mu się w sercu.

— Król... — szepnął znów człowiek i powstał z krzesła.

Białemu Wilkowi się zdawało, że chwila ta przedłuży się w nieskończoność. Wreszcie głowa olbrzyma dotknęła szczytu drewnianej jaskini i z wyciągniętymi nadal rękami posunął się o pół kroku w stronę bullteriera.

Biały Wilk chciał uciec, czar jakiś jednak przygwoździł go do miejsca, zdawało mu się, że dźwięk głosu tej istoty, ton, głębszy niż szczekanie największego wilka — spływa mu przez uszy wprost do serca. Głosem tym raczył się jak jadłem o niezwyklej słodczy.

I oto nagle — jak nadbiegające zewsząd fale — otoczyła go świadomość. Słyszał już kiedyś ten głos, znał twarz i magiczną siłę oczu człowieka.

W tejże chwili czar prysnął. Usłyszał zgrzyt rączki u wiadra, to Molly Crosden, zwiesiwszy głowę, wkroczyła w smugę światła padającą od drzwi. Na ten odgłos Biały Wilk odwrócił głowę i pomknął jak strzała w łaskawy mrok nocy.

Uciekł widać w sam czas, rozległ się bowiem za nim straszny okrzyk i człowiek olbrzym wybiegł na dwór, wymachując rękami i wołając nieprzytomnym głosem.

Biały Wilk nie czekał dłużej. Zapomniał o martwym lisie, zapomniał o głodnej La Sombry. Łaknął tylko bezpieczeństwa, jakie stwarzała jej obecność i spokoju, jakiego użyczał jej rozum. Mknął jak błyskawica wśród zalegających świat ciemności. Przed oczami jego płynął trzeci cud chaty — olśniewający obraz lampy, której promienny, biały abażur tańczył przed oczyma Białego Wilka niby sztuczny księżyc igrający między nim a drzewami.

Przeskoczył zatoki i załomy, mknął wprost przed siebie. Wszedł prawdziwy księżyc. Pies poczuł wdzięczność: blask jego ułatwiał mu bieg. Wkrótce też dotarł do jaskini, gdzie zastał dwa przybyłe przed nim wilki.

Dwa wielkie wilki stały przy wejściu. Kiedy wypadł spośród drzew i stanął na zeszywniałych ze zmęczenia nogach — cofnęły się z drogi.

Wejź, Biały Wilku — rzekły. — I nie lękaj się. Należymy do twego stada.

Z gęstych mroków jaskini rozległo się mruczenie La Sombry.

Naprawdę? Cóż to za stado? Przecież wyrzekł się go i porzucił je. Ma wrócić do was po tym, kiedyście go zdradzili?

Byliśmy głupcami, to prawda. Ale nie jesteśmy jeszcze starzy, a Marco Blanco miał złośliwy język, nieprawdaż?

Miał złośliwy język — przytaknęła drugi poseł.

Czy to on was przysłał, byście zaprosili Białego Wilka? — zapytała matka wilczyca, ujmując całą sprawę w swoje ręce.

Nie — odparł poseł, ukazując w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. — Marco Blanco nie żyje.

To dobrze! — rzekła La Sombra. — To znacznie lepiej. A ty, mój młody przyjacielu, niezawodnie maczałeś w tym palce?

Zatopiłem, prawdę mówiąc, zęby w jego boku... Pozostało nas tylko pięciu i wszyscy schudliśmy straszliwie. Dziś przyłączyło się do nas trzech, co czyni razem ośmiu.

Czy żaden z was nie nadaje się na wodza?

Chcemy Białego Wilka. Byliśmy tłuści, kiedy nami dowodził. Prawda, bracie?

Przez cały czas jego dowództwa nie zaznaliśmy głodu. Teraz przeżywamy suche dni. Zważ to, Biały Wilku!

Wracajcie do stada — rzekł Biały Wilk. — Przyjdę rano. Oczekujcie mnie na przełęczy góry Spencera.

Warknęły ze szczera radością i zniknęły jak cienie za naghimi szkieletami drzew. Biały Wilk padł na ziemię obok La Sombry, ta zaś — nim zdążył przemówić — odgadła jego historię.

Norka! — zawołała. — Miałeś dziś dobre mięso! I lis! — dodała po chwili. — W pysku masz krew lisa i zapach jego sierści. Podjadłeś sobie, mój synu, nie zapomniałeś jednak chyba o swojej chorej matce?

Nie — szepnął Biały Wilk. — Zaczekaj tylko, aż będę w stanie mówić.

Cicho! Co to jest? Nogi twoje załatują człowiekiem!

Stałem tylko u progu i zajrzałem do jego pieczary. Och, matko, czy wiesz, że więzi on ogień wśród kamieni, i że ma u siebie księżyc, co rozsiewa wokół światło?

Czy mówisz prawdę?

Taką prawdę jak to, że jestem twoim synem, La Sombro.

Kto dałby wiarę? Wyróżniesz na mądrego wilka, moje dziecko, jeśli nie umrzesz młodo. Umrzesz zaś na pewno młodo, jeśli nie będziesz unikał jaskiń ludzkich. A teraz powiedz mi, co widziałeś jeszcze, że tak drżysz całym ciałem?

Widziałem twarz człowieka!

Odkoczyła od niego i parsknęła jak norka, którą uśmiercił w wodzie Jeziora Pekań.

No, no — rzekła westchnąwszy. — To tak? Drżysz zatem z czystego strachu?

Strachu? — zapytał Biały Wilk. — Nie wiem. To co czuję, jest jak choroba żołądka. Jak pusty żołądek, kiedy inne wilki polują i jedzą. Nie, to nie jest uczucie strachu!

Jakieś dziwy — rzekła La Sombra kwaśno. — Nie ma takiego wilka, który nie patrzyłby ze strachem na człowieka.

Wybiegł z domu, żeby mnie schwytać, ale zmykałem szybko. Wracam.

Przenigdy, Biały Wilku! Wiesz o tym, że zastawia na nas prócz stalowych inne sidła!

Wracam tylko po to, by przynieść ci lisa, którego zostawiłem, przestraszywszy się człowieka.

Przyjdiesz potem wprost do mnie?

Jak jastrzęb do gniazda.

Będę cię oczekiwała u stóp wzgórza albo jeszcze bliżej. Szczęśliwych łowów, synu!

XXIX

Smutny to był dzień dla Molly Crosden. Rano pożegnał się z nią Adam Gannaway.

— Powiedziałem twemu ojcu, że udaję się na równiny, w kraj lepszej pogody — rzekł Gannaway. — Naprawdę idę, żeby sprawdzić, czy położenie jego jest tak złe, jak uważam. A może okaże się lepsze. Nie można nigdy wiedzieć. Kiedy zagradza ktoś mężczyźnie drogę do własnych drzwi, ktoś, kto nie ma prawa go zatrzymywać, i ów mężczyzna uderzy tego człowieka bez złych zamiarów — po prostu, żeby oczyścić sobie drogę... no, nie wiem... ale trudno uważać to za wielką zbrodnię, jeśli prawo kieruje się choć trochę rozsądkiem. Pójdę tam, gdzie będę mógł dowiedzieć się dokładnie co i jak, a przy sposobności przekonam się, czy długie ramię sprawiedliwości tak gorączkowo szuka twego ojca. Zdaje mi się, że nie. W każdym razie nie zaszkodzi, jeśli dowiem się, jak wygląda w oczach prawa wypadek twego ojca. Gdyby się okazało, że może wracać w doliny — czy wróci, jak sądzisz, Molly?

— Jestem pewna, że wróci — odparła Molly Crosden.

Starałbym się namówić cię, byś poszła ze mną, wiem jednak, że moje słowa nie zdołają cię odwieść od postanowienia ani poczucia obowiązku. Wrócę przed upływem dziesięciu dni i mam nadzieję, że biedak nie ulegnie świeżemu atakowi podczas mojej nieobecności. Boisz się, Molly?

Zmarszczyła brwi nad zamkniętymi w zamyśleniu oczyma.

— Myśl pozostania z nim nie jest tak straszna, jak myśl o porzuceniu i zostawieniu samego. Do widzenia, panie Gannaway. Był pan dla mnie miły i... nigdy pana nie zapomnę!

Gannaway ujął jej dłonie i uściśnął je gorąco.

— Przewyższasz dziesięciokrotnie cały ród kobiecy — zapewnił spokojnie. — Przemawiasz jednak tak, jakbym nie miał zamiaru wrócić. Wrócę, złotko, wrócę raz-dwa.

Spojrzała nieufnie na niego i w głąb własnych myśli; znalazła tam coś, co wywołało łzy w jej oczach. Nie odpowiedziała ani słowem. Gannaway podziwiał iście kobiecą cierpliwość i siłę woli tego dziecka.

— Gdyby pan był moim ojcem — rzekła — odprowadziłabym pana kawałek.

— Odprowadź mnie i opowiedz po drodze, co cię najwięcej trapi.

Wyciągnęła rękę.

— Spójrz na mnie, Molly — rzekł Adam Gannaway. — Do licha, serce mnie boli! Biedna dziecino, nie przeraża cię myśl, że zostaniesz z nim tu, sama jedna?

Z gałęzi sosny obsunął się śnieg i spadł na nich iskrzącą ulewą.

— Jeśli się ma co stać — westchnęła — to tego nie odwróci, a jeśli się nie stanie — nie ma się czego martwić... Tylko że byłabym szczęśliwa widząc cię znów, wujku Adamie!

Śpiesząc w dolinę Siedmiu Sióstr, Gannaway widział przed sobą jej strapioną, zwróconą ku niemu twarzyczkę i nielekko mu było na sercu. Nie czułby się chyba bardziej osamotniony po rozstaniu z własną córką. Nie wiedział, co czynić, by rozwikłać tę dziwną sytuację, nie

wątpił jednak, że człowiek naprawdę silny znalazłby wyjście i ocalił Molly przed niebezpieczeństwem, zagrażającym ze strony zamroczonego umysłu jej ojca.

Droga wiodła w dolinę Siedmiu Sióstr, obok szałasów braci Loftus, których nie widział od dziesięciu dni. Zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach. Wyrzął zza nich Dan Loftus z rewolwerem w ręku.

Nie zaprosił Gannawaya do chaty, ale stał posepny i zdenerwowany, przebierając palcami po rękojeści rewolweru.

— Co się stało? — spytał Gannaway.

— Czy ja mówiłem, że się coś stało? — odparł Loftus mierząc przybysza nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Człowieku — rzekł Gannaway. — Zatrzymałem się po prostu po drodze w doliny, żeby spędzić z panem kilka chwil. Cóż to za sposób rozmowy? Gdzie pański brat?

— Przy robocie — odpowiedział Dan Loftus. — A możecie się z tym drabem Crosdenem poprzytkali? — dodał z błyskiem w oku.

Gannaway uśmiechnął się.

— Nic podobnego — zapewnił młodszego Loftusa. — A co słyłchać z Białym Wilkiem? Loftusowi ściemniały źrenice.

— Nie widać nigdzie tej przekłętej bestii... Ale natrafiliśmy na ślady i dostaniemy... Na pewno!

I zamknął drzwi przed nosem meteorologa.

Gannaway ruszył w dalszą drogę, przekładając wciąż zwinięty w rulon koc, by ulżyć plecom, i przeklinając sknery i prostaków.

Przespał się tej nocy w jarze na stoku góry Spencera, osłonięty dobrze od wiatru. Rano zjadł śniadanie złożone z wędzonego mięsa i ruszył dalej, zacisnąwszy pasa o jedną dziurkę.

Starał się iść ciągle obok głównego traktu, dla tej prostej przyczyny, że sam trakt tonął w pięciokrotnie głębszym śniegu. Zboczywszy nieco w góry, ujrzał w brzasku podjazd złożony z pięciu jeźdźców.

Chciał ich pozdrowić w pierwszej chwili, stłumił jednak w sobie ten impuls, bo w górach zawsze lepiej znać tego, kogo się pozdrawia. Rozwiązał więc rzemień swej doskonałej, polowej lornetki, skierował ją na rozproszoną linię jeźdźców i zatrzymał wzrok na dowódcy grupy, jadącym w nieznacznym oddaleniu na czele. Poznał od razu rysy, choć zakrywał je częściowo postawiony kołnierz płaszcza. Był to Tom Loftus. U główki siodła chwiała się przymocowana strzelba.

Co robił na czele tej bandy? Gannaway nie zastanawiając się wiele doszedł do wniosku, że wyprawa ta nie stała w żadnym związku z pojmaniem Białego Wilka ani innym polowaniem braci Loftus. Dla podobnych celów nie posługiwano się ludźmi na koniach.

Przyglądał się bacznie jednemu po drugim. Kiedy zjawiali się w polu widzenia, wyolbrzymieni do nadludzkich rozmiarów, dzięki powiększającemu szkłu, zauważył, że wszyscy mieli ponure twarze, i że uzbrojeni byli od stóp do głów w rewolwery i strzelby. Nawet dziecko zrozumiałoby, co ów oddział jeźdźców ma na celu.

Mogła być nim ucieczka przed karzącą ręką sprawiedliwości (o tej porze roku dostęp w góry mógł zostać z łatwością odcięty), albo — co wydawało się znacznie prawdopodobniejsze — ekspedycja z rozkazu prawa. Lęk, który ogarnął Gannawaya na widok Toma Loftusa, potwierdzał drugą ewentualność. Między Crosdenem a braćmi Loftus nie było nigdy zbyt wielkiej miłości, widać jeden z nich przedostał się na dół, na równiny, gdzie zdobył bliższe dane o osobie trapera i przyczynach jego pustelniczego żywota na odludziu. I oto pięciu godnych zaufania jeźdźców przybywało, by w imieniu prawa zatrzymać Tuckera Crosdena. Może niewielka jakaś nagroda wpadnie za to do stwardniałej dłoni łowcy wilków?

Gannaway był pewien swego rozumowania.

Zrezygnował z zamiaru udania się na równiny, z długiej wędrówki, jaką miał przed sobą. Zawrócił i zastanowił się, czy — zebrawszy cały zapas sił — zdoła wyprzedzić jeźdźców brnących na zmęczonych koniach przez zasy śnieżne, czy zdoła ostrzec Crosdena póki czas przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Nie śniło mu się nawet, że w chacie trapera zaszły tymczasem dziwne wypadki, które wyгнаły z myśli Tuckera Crosdena wspomnienie o zamordowanym, o potędze sprawiedliwości i o całym świecie.

XXX

Molly zwiesiwszy głowę i dźwigając z trudem pełne wiadro, nie spojrzała ani razu przed siebie, dopóki nie usłyszała nieprzytomnego krzyku ojca i nie ujrzała jego olbrzymiej postaci wybiegającej w mrok wieczoru.

Skoczyła na schodek i do chaty, nie zwracając uwagi na wodę, co wylewała się na ziemię. Domyślała się, że sprawdziły się jej obawy i przewidywania Gannawaya. Tucker Crosden stracił zupełnie zdrowy rozsądek. Przytrzymała drzwi w przystępie strachu, pojmowała jednak, że zamykanie przed ojcem, w zimną, ciemną noc nie odniesie skutku. Gdyby zdecydował się na powrót — rygiel u drzwi nie stanowiłby dla niego zapory.

— Król! — usłyszała okrzyk. — Król!

A głos jego brzmiał tak szaloną radością i bólem, że Molly załamała ręce; zdawałoby się, że miał tego psa przed oczyma.

Tak, był to niewątpliwie prawdziwy atak szału. Kiedy Molly usłyszała powracające kroki ojca, skuliła się bezwiednie za stołem i czekała, a przerażenie malowało się na jej twarzy. Stał w drzwiach i rzucił na nią nienawistne i bolesne spojrzenie.

Czuła, że traci siły pod wpływem tego wzroku.

Z największym pośpiechem zabrała się do zmywania naczyń. Palce jej jednak latały, talerze uderzały jeden o drugi, a za każdym dźwiękiem Tucker Crosden rzucał na córkę spojrzenie jak smagnięcie batem.

Potem zatrzymał się przed fotografią Króla i wpatrywał się w nią długo i uważnie. Serce Molly zamarło, gdy usłyszała, że mrucał:

— Nie ma żadnej różnicy. Jest tylko większy. Jakim sposobem jednak wrócił większy i piękniejszy niż kiedykolwiek? Którędy mógł powrócić, jeśli nie tą drogą?

Mruczenie ustało. Zaczął przemierzać chatę tam i na powrót z rękami założonymi w tył, z pochyloną głową jak gdyby zmagając się z wielkim cierpieniem duszy. Widziała, jak wzrastało jego podniecenie, jak twarz oblekła się szkarłatem, a nabrzmiąta żyła zaczęła pulsować na skroni.

W końcu stanął przy stole i rzekł straszliwie spokojnym głosem:

— Powiedz mi, Molly, czemu to uczyniłaś?

— Co, tatuśku? — spytało dziecko. — Co ja takiego uczyniłam?

Oczy Crosdena zamigotały znów szaleństwem, ale zwalczył je, choć z takim wysiłkiem, że zaczął drżeć na całym ciele.

— Nie powiem nic — rzekł. — Będę trzymał się w garści. Odpowiedz mi tylko uczciwie: czy siedziałaś tutaj ze mną i udawałaś, że się mną opiekujesz, aby w odpowiedniej chwili przysłać do mnie Króla?

— Nie wiem, co masz na myśli — odrzekła Molly, a oczy jej rozszerzyły się ze strachu.

Wtedy chwycił ją za przegub ręki i przyciągnął do siebie, z grzmiącym hałasem zrzucając poustawiane talerze. Padła na kolana i podniósłszy nań wzrok była pewna, że wybiła jej ostatnia godzina.

— A może mi wmówisz, że nie widziałś go, jak stał tuż obok, w drzwiach?

— Kto? — spytała Molly, odzyskawszy wreszcie mowę. — Kto stał w drzwiach?

Podniósł rękę. Myślała, że chce ją zabić, ale on wzywał tylko Boga na świadka.

— Jestem spokojny — jęknął Tucker Crosden — i nie chcę jej krzywdzić... Błagam tylko o prawdę, gdy ona, na Boga! Łże mi prosto w oczy! Molly, błagam cię, tu, na kolanach, obok ciebie: wyznaj mi prawdę! Dlaczego mnie okłamujesz? Dlaczego to robisz? Dlaczego odegnałaś go?

Łkanie wydzierało jej się z gardła, ale coś przestrzegało ją przed łzami. Stłumiła płacz i wyjąkała:

— Nie wiem... Ja nie...

— Kiedy stał w drzwiach...

— Co stało w drzwiach, tatuśku?

— Molly, jeśli ci życie miłe, nie strój żartów ze mnie! Król powrócił do mnie z za grobu, słyszysz? To był Król. Wiedziałś o tym... Mama przysłała cię tutaj, aby nas rozłączyć — mnie i jego, bo — och, Boże, jakże ja to wytrzymam?

Głos jego przeszedł w krzyk i wraz z ostatnimi słowami Molly poczuła wielką rękę dobierającą się jej do gardła. Jeden uścisk tej dłoni mógł pozbawić życia...

— Nie wiedziałam, że tam stał Król — szepnęła Molly, dusząc się niemal pod uciskiem sztywnych palców. Wyciągnęła rękę, ale przypomniała sobie, że opór byłby więcej niż bezużyteczny. Gannaway wpajał w nią ciągle tę zasadę.

— Kłamiesz! — wrzasnął Tucker Crosden. — Nie ma w was wszystkich, kobietach, nic prócz kłamstwa. Jasno oświetlony stał tutaj, a szedł od niego blask jak od księżyca... A ty go nie widziałś?

— Światło mnie oślepiło, tatuśku — szepnęła Molly Crosden. — Nie zauważyłam, co się działo przy drzwiach.

— Będziesz mi tu łącać na wszystkie strony? — jęknął Tucker Crosden. — Nie ma dla ciebie zatem miejsca na tym świecie. Nie ma dla nas obojga miejsca w dolinie Siedmiu Sióstr.

Ujrzała demoniczny wyraz jego twarzy i błysk w oczach.

— Nie zabijesz mnie chyba? — wrzasnęła. — Jestem twoją córką! Pójdiesz, pójdiesz za to do piekła.

Zabrakło jej tchu i ciemność rozpostarła się przed oczyma. Potem poczuła, że coś unosi ją i rzuca przez otwarte drzwi. Padła na zimną zaspę śniegu niby na puchowe posłanie i usłyszała przed sobą daleki, grzmiący głos Tuckera Crosdena.

Uciekła na oślep, gdzie oczy poniosą. Przemknęła przez polankę i skierowała się na zachód, a drogę jej oświecało zimne, spokojne lśnienie księżyca. Obróła ten kierunek, bo tam widziała po raz ostatni Adama Gannaway. Biegła w nerwowym napięciu i wkrótce wyczerpana, gnana tylko ślepyim instynktem, podążała linią trapera. Biegła, nie zwracając uwagi, gdzie stąpa; cud, że nie stało się to wcześniej. Nagle rozwarła się pod nią przepaść, ostre zęby chwyciły za nogę i jednym szarpnięciem przewróciły na twarz.

Ocknąwszy się, Molly poczuła dojmujący chłód. Na razie zdawało jej się, że jest w domu i że koce zsunęły się podczas snu. Sięgnęła niepewnie ręką i dotknęła lodowatej powierzchni stwardniałego śniegu.

Usiadła i dostrzegła wokół siebie szereg nagich drzew, przeplatanych tu i ówdzie ciemną plamą świerków i jodeł, podobnych do cieni, i srebrnych brzoź lśniących jak metal w blasku księżyca.

Potem odezwał się ból w czole, a później kiedy chciała się poruszyć, uczucie zdrętwienia w nodze przeszło w głęboki, przenikający do serca i mózgu ból.

Uprzytomniła sobie wówczas, że wpadła w wilczy potrzask największych rozmiarów i że wszelkie próby otworzenia go spełzną na niczym. Już niejednokrotnie starała się siłą i gwałtem poruszyć potężne sprężyny, nie mogła jednak nigdy dć sobie z nimi rady, gdy tymczasem ojciec otwierał je bez najmniejszego wysiłku. Co gorsza, potrzask pokrywała gruba warstwa rdzy.

Zrozumiała tedy, że nie było nadziei poruszenia potrzasku i że pozostaje jej jedyne, choć niepewne wyjście: wezwać pomocy ojca. Czy przyszedłby na jej wołanie? I przypomniawszy sobie, jaka odległość dzieli ją od chaty, nabrała niezachwianej pewności, że jej nie usłyszy.

Otrząsnęła się jednak z ogarniającej ją trwogi i przyłożywszy ręce do ust, wydała długi, głośny okrzyk, który przeszedł następnie w żałośliwy jęk. Ojciec sam nauczył ją tego przenikliwego krzyku, co stał się potem umówionym ich sygnałem.

Ze dwanaście razy użyła całej siły i kunsztu wołania, za każdym jednak razem nasłuchiwała daremnie. Nie usłyszała nic. W końcu zdecydowała się na ostateczność, na spędzenie w ten sposób całej nocy.

Czuła, że ból jej nie zmoże, zdrętwiała noga w potrzasku przestała boleć i nie dokuczała przy zachowaniu zupełnego bezruchu.

Wyobraziła sobie wilka mocującego się daremnie i cierpliwie z piekielną tą maszyną.

Nie mogła jednak pozostać tak przez całą noc. Ziąb przenikał ją do szpiku kości i z każdą chwilą wzmagало się uczucie senności o osłabienia, co — jak wiedziała — było fatalnym objawem.

Mimo to czuła się na pustkowiu jak u siebie w domu. Ilekroć wzbierała w niej fala histerycznego strachu — perswadowała sobie (o czym wiedzą wszyscy mieszkańcy lasu i równin), że trwoga w głuszy może okazać się zgubna jak kula. Starła się więc zachować przytomność umysłu i ożywić krążenie krwi.

Ponieważ siedziała na gołej ziemi, zaczęła wyrywać maleńkie krzaczki rosnące wokoło, wkrótce udało jej się zebrać dostateczną ilość i ułożyć je na krzyż na twardej skorupie śniegu. Siadła na zaimprovizowanym stosie i wycisnęła wodę z oczieży, bowiem ciepło ciała roztopiło śnieg, który przemoczył ją aż do suchej nitki.

Nim jednak skończyła tę robotę — ręce jej zgrabiwały, a wierzchnie ubranie zamarzło i zeszywniało w podmuchu lodowatego wiatru, co dał ze wszystkich stron.

Szybko i nieustannie zaczęła wymachiwać rękami, doprowadzając tym krew do górnej połowy ciała, w dolną natomiast wżerał się mróz coraz głębiej, kiedy zaś chciała stanąć na kolana, z bólu zrobiło się jej słabo.

Po wysokości księżyca próbowała odgadnąć, która godzina. Pamiętała, że nie wzeszedł jeszcze, kiedy wyszła z wiadrem po wodę, i że jaśniał wśród drzew w lesie nieco później, gdy wyszła z chaty. Teraz posunął się znacznie na niebie, miną jednak długie godziny, zanim wstanie nawet tak ranny ptaszek, jak Tucker Crosden. A kiedy wyjdzie na obchód swych potrzasków i zastanie ją tutaj — czy coś poruszy jego serce?

Wśród tej myśli odwróciła się nagle, bowiem poczuła, że zimno, chłodniejsze od wiatru, owiewa jej ciało. I ujrzała tuż obok, na wpół w cieniu, w na wpół w świetle księżyca, wilka wielkości niedźwiedzia — straszliwego olbrzymia o czarnej jak noc sierści.

Z okrzykiem podniosła kij i rzuciła go tak celnie, że trafiła go w pysk. Nie drgnął nawet, uczynił za to kilka skradających się kroków w jej kierunku, a potem zatrzymał się znowu. Spostrzegła, że ma brzuch zapadły z głodu.

XXXI

Biały Wilk wyszedł z jaskini swej przybranej matki i ruszył w dolinę. Biegł szybko i rażno. Podjadł, nabrał świeżych sił i poznał dziwne, nieznane, przeogromne szczęście. Jedno cieszyło go najwięcej: droga do ciała martwego lisa była opodal jaskini człowieka; cóż przeszkodzi mu zajrzeć tam raz jeszcze, a jeśli ten olbrzym będzie w domu — usłyszy może czarowny dźwięk jego głosu?

Doszedł w ten sposób aż na skraj polany i odetchnął, rozglądając się dokoła. Drwi od chaty stały wciąż otwozem, sączyło się przez nie światło lampy, sięgało jednak bladawym promieniem tylko o krok od domu i tonęło w jasnym blasku księżyca.

Oparł się pokusie zbliżenia do drzwi. Obowiązek wzywał go przede wszystkim do lisa. W miejscu, gdzie go porzucił, ujrzał wielki, bezgłosny cień; olbrzymia sowa popłynęła na trzepocących skrzydłach aż na szczyty drzew i zniknęła mu z oczu, a z lisa pozostało jedynie kilka strzępków zakrwawionej sierści.

Wyszczrzył zęby na ten widok, potem zaś ogarnięty gniewem, węsząc zatoczył kilka małych kręgów na śniegu.

Natrafił jednak na coś, co pociągnęło go więcej niż drzwi domu człowieka: na nikły ślad Czarnego Wilka po stwardniałej powierzchni śniegu. W mgnieniu oka przypomniał sobie groźbę lisa, że nie spocznie, dopóki nie sprowadzi potwora na drogę teriera.

Dotrzymał zatem przyrzeczenia! Na tę myśl rana na ramieniu Białego Wilka zaczynała płonąć żywym ogniem.

Nie miał ochoty się cofnąć. Jak słodko będzie wracać do wilczycy z wieścią o śmierci Czarnego Wilka, nosząc na sobie ślady jego krwi. Jak słodko będzie wrócić do stada z Dunkeld z dowodem zemsty za swą porażkę!

Pomknął, kierując się coraz wyraźniejszym zapachem swego wroga. Zboczył ku brzegom zatoki aż do miejsca, gdzie przeskoczył wilk. Nagle usłyszał warknięcie i rozdzierający, ludzki krzyk. Nie trzeba mu było tłumaczyć, że był to krzyk najwyższej trwogi.

Przeskoczył przez zasłaniające mu widok zarośla, skąd wypadł również stary lis, aby uniknąć z nim spotkania.

Terier rzucił na niego tylko okiem, w blasku księżyca ujrzał bowiem coś, co zmroziło mu krew w żyłach: Czarnego Wilka, który wydawał się większy niż zwykle, a w odległości jarda od jego zaślinionej paszczy skuloną postać Molly Crosden!

Bił od niej zapach człowieka, a okazała się przy tym tak mało straszna, tak niegroźna, że stchórzyła przed jednym wilkiem! O, gdyby mogła ujrzeć ten widok La Sombra, i — wezwawszy na pomoc swą mądrość — wytłumaczyć go synowi!

I znów zabrzmiał głos, głos pełen zgrozy i podziwu. Wyrzekł to samo słowo co człowiek tej samej nocy: Król!

Czarny Wilk dał potężnego susa w tył i zakręcił się w kółko na wprost swego odwiecznego wroga, warcząc:

Znowu ten bękart La Sombry... Spójrz lisie, wystarczy mięsa dla nas obu!

Czyliż nie stało się, jak przyrzekałem, panie? — odparł rudy lis. — Sprowadziłem cię do niego... Stado jego jest daleko, on zaś nie umie biegać szybko, by uciec przed tobą. Zresztą ten głupiec nie ma zamiaru uciekać.

Cóż to, Czarny Wilku — zapytał terier — czyś stracił rozum tak dalece, że podnosisz ząb na człowieka? Czyżby ciężka twoja mózgowica postradała resztki rozsądku? Przybyłem, w każdym razie, na czas!

Jednym susem znalazł się między wilkiem a dziewczynką.

Spójrz! — wołał lis. — Wszystko idzie, jak przepowiadałem. Jakie bowiem zwierzę, oprócz niewolnika psa, narażałoby życie w obronie człowieka? To pies, syn psa...

Nie będzie walczył długo — warknął Czarny Wilk — jeśli odważy się stawić mi czoło... A może wolisz pełzać u nóg dziecka człowieka, bękarcie La Sombry?

Nadeszła chwila, bym dotrzymał obietnicy, którą złożyłem ci nad brzegiem jeziora wtedy, kiedy mnie pokonałeś. Przysięgam ci, że nadejdzie czas, kiedy ja będę twoim prześladowcą, ty zjadaczu padliny! A teraz chwyć cię za gardło, ot tak!

Podbiegł, zatrzymał się wśród ataku, i dał nura ku nogom Czarnego Wilka. Otrzymał potężny cios w kark, ale chwycił olbrzyma za przednią nogę — tam, gdzie niegdyś wbiły się zęby Nelly i omal nie pozbawiły go życia. Jej chwyt wówczas zaskoczył i przeraził ogromne wilczysko, a cóż dopiero teraz, gdy zacisnęły się nawykłe do walk szczęki teriera i zęby jego zgrzytnęły o kość! Wycie Czarnego Wilka wzniosło się ponad wierzchołki drzew. Podlatująca nad nimi sowa zachwiała się i opadła ze zdziwienia, rudy lis przykucnął w śniegu, a Molly Crosden założyła ręce na piersi, niezdolna do wymówienia słowa, na widok podobnych dziwów.

Wiadomo jej bowiem było z ust ojca i innych mieszkańców lasu, że żaden pies nie był w stanie zmierzyć się w walce z wilkiem o potężnych szczękach. A oto miała przed sobą olbrzyma, który wył z bólu i strachu, pędził przed siebie, starał się uwolnić i szarpał, aż terier podlatywał do góry i z głośnym hukiem odbijał się to o pień sosny, to o nagie brzozy. Nic jednak nie mogło uwolnić wilka od żelaznego uścisku zębów psa, a choć ciągle ponawiane ciosy Czarnego Wilka pokrywały grzbiet przeciwnika szkarłatnym strumieniem krwi — trwał niezachwianie przy swej zemście.

Lisie! — warknął oszalały z bólu wilk — zostawiasz mnie samego z tym diabłem wcielonym? Pomóż mi, jeśli zależy ci na jego mięsie, albo na własnej zemście.

Lis, uśmiechając się swym "szczerbatym uśmiechem", podkradł się dz tyłu. Nie odważając się na dotkliwszy chwyt, zatopił spróchniałe zęby w udzie Białego Wilka.

Zdziwienie dokonało, czego dokonać nie mógł ból. Biały Wilk zrezygnował z nogi i odwrócił się, by schwycić lisa za kark. Chwycił jednak tylko cień, bo ten ugryzł go i uskoczył w bok. Czarny Wilk, potykał się na trzech nogach, lecz pobudzony do czynu wściekłością, pognał za terierem i jednym ciosem swego muskularnego ramienia rozciągnął go na ziemi, szarpał i przegryzł mu gardło, cięcie jego kłów okazało się jednak za płytkie, a kiedy rzucił się znów na Białego Wilka, który starał się podnieść na nogi, zatrzymała go nieprzewidziana przeszkoda.

Molly Crosden zapomniała o potrzasku, który więził jej nogę i wpijał się głęboko w ciało. Jak sztubak, co przygląda się bójce kolegów, stanęła na kolana, nawołując Białego Wilka. Radosny jej głos górował nad dzikim warczeniem zapaśników i trwożliwym zawodzeniem lisa, który, choć bał się śmiertelnie kłów teriera, z niecierpliwością czekał chwili, by zatopić w nim zęby.

Molly widziała, że lis wziął udział w walce, przysłoniła jej na chwilę oczy fala oburzenia, nie miała jednak przy sobie broni, nic, prócz ciężkiego, uschłego krzaka. Cisnęła nim z całej

siły. Trafił Czarnego Wilka w chwili, gdy się odwrócił, aby ponownie zbić z nóg wroga i zadać mu tym razem śmiertelny cios. Uderzył w szerokie sklepienie jego czoła z podwójną, bo niespodzianą siłą zaypując mu przy tym oczy ziemią, miał jednak tyle znaczenia, co klaps rączki dziecka dla zapaśnika.

Zwłoka krótka jak mrugnięcie okiem wystarczyła Białemu Wilkowi, by stanąć na nogi i przygotować się do ataku.

Posłużył się w tej chwili wszystkim, czego nauczył go instynkt i co wydoskonaliała praktyka zdobyta na psach, łoszy i łosiu: zmierzał wprost ku głowie. Wyniosłe czoło i majestat olbrzyma wstrzymywały do tej pory teriera od zastosowania swego niezawodnego systemu, zdawało się zresztą, że nie ma innego sposobu powalenia wilka, jak podcięcie go od dołu. Gorąca walka nie zostawiała czasu do namysłu i obliczenia. Czarny Wilk zbliżył się, szczękając zębami (przeżył widać okropny wstrząs!) a potem cofnął się do powtórnego skoku. Ale Biały Wilk nie czekał, by stanąć na placu boju. Za sobą słyszał nawoływanie dziecka, widział, że rzuciło w lisa kijem, i że ten odskoczył, szczeknąwszy ze strachu. W chwili, gdy Czarny Wilk się cofnął, zęby psa zwarły się na jego pysku.

Czy widzieliście, jak zapaśnik staje na nogi i podrzuca swego przeciwnika w powietrze? Tak Czarny Wilk powstał i zawirował, chcąc strząsnąć z siebie teriera... Ale pies nie zwalniał chwytu. Wielki wilk skoczył w krzaki (wyglądał jakby pędził z jagnięciem w zębach), cofnął się jednak chwiejnie na polankę skąpaną w poświacie księżyca, wyczerpany, osłabły z bólu i trwogi przed czymś nieznanym.

W walce z przeciwnikiem wilkiem, polegającej na atakach, skokach, chwytach i cięciach, Czarny Wilk okazałby się mistrzem. Tutaj miał do czynienia z pijawką podobną do owego psa z obozu trapera przed wieloma dziesiątkami tygodni. Ta pijawka odznaczała się jednak trzykrotnie większą siłą.

Na pomoc, lisie!/? — zawołał olbrzym.

Idę, wielki bracie! — warknął lis. — Poświęcam życie dla ciebie, zapamiętaj to sobie!

Rzucił się w wir walki i znów zatopił swe stępione kły w udzie Białego Wilka. Ranił go boleśnie, ale chybił celu: terier nie rozluźnił chwytu. Doznany ból podwoił siłę jego szczęk, pogrążył jeszcze głębiej zęby, aż zgrzytnęły o kości.

Cierpienie doprowadziło Czarnego Wilka do szału. Rzucił się w tył, na poły oślepy, z pyskiem podobnym do poszarpanej ociekającej krwią maski, potknął się, wywrócił kozła i umknął na oślep, na swobodę, przed zagrażającym mu niebezpieczeństwem.

Pomoc lisa wywołała znowu pewną zwłokę. Jednym uderzeniem zębów uwolnił się Biały Wilk od lisa. Uciekł z jękiem, ale Czarny Wilk był już daleko. Co gorsza, tylna noga teriera ugiwała się pod jego ciężarem, a choć pies potrafi biec szybko i na trzech nogach, to jednak tylko wtedy, gdy brak mu przedniej.

Chwiejąc się, postąpił parę kroków naprzód, ale zawrócił i usiadłszy, zaczął spokojnie oblizywać rany.

I oto dziecko wyciągnęło do niego ręce, przemówiło do niego głosem, co przenikał mu do duszy jak szemranie strumyka, chłodnego strumyka w gorący, letni dzień, podczas długiej, pełnej kurzu drogi. Zapomniał o ranach, podniósł głowę i słuchał.

XXXII

Szaleństwo powoli zamierało w piersi Tuckera Crosdena i dogasały w nim ostatnie zarzewia gorączki, gdy ze strzelbą na kolanach siadł we drzwiach i namyślał się, z której strony ma rozpocząć poszukiwania córki. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co uczynił — mgła przysłaniała jeszcze świadomość. Wiedział tylko, że ta mroźna zimowa noc zagraża życiu i że on sam musi znaleźć sposób sprowadzenia Molly do domu. Postanowił wypróbować siły swego głosu. Wstał i huknął potężnym basem, który rozległ się w mroźnym powietrzu.

— Molly! O Molly!

Zaczął nadśluchiwać, ale głos jego odbił się tylko echem o pobliskie wzgórza. Uprzytomnił sobie, że działa pod wpływem rozpaczony, że Molly znajduje się już poza zasięgiem jego głosu.

A jednak wołanie jego okazało się doniosłe w skutkach. Odbiło się echem w górach i dosięgło uszu Czarnego Wilka, który pędząc przed siebie oślepy z bólu i ociekający krwią, skierował się wprost na polankę Tuckera Crosdena.

Na ten widok olbrzym zapomniał o Molly. Wiedział tylko, że ma przed sobą coś, na co stracił już wszelką nadzieję. Przystawił strzelbę do ramienia i wypalił. Czarny Wilk drgnął konwulsyjnie i zawył po raz ostatni, a głos jego ozwał się echem daleko i wysoko nad wierzchołkami drzew. Zwinięty na ziemi, ugryzł się w to miejsce, którędy weszła kula, wyprężył się i skonał.

Tucker Crosden podszedł bliżej i wpatrywał się w niego uradowany, w milczeniu. Nagle zdawało mu się, że wiatr zachodni przynosi z daleka odgłos gwałtownego szczekania, jak gdyby pies odpowiadał na krzyk wilka ponownym wyzwaniem.

Nie słuchał więcej. Odwrócił się jak ktoś, komu radość odebrała mowę i ruszył w tamtą stronę, a uszedłszy ze ćwierć mili, stanął i zawołał:

— Król! Słyszycie? Król!

Choć zew jego pozostał bez odpowiedzi, czuł, że nie mógł się pomylić, że serce wzbiera mu radością. Istnieje ze sto tonacji ujadania psa, ale tylko jeden ton szczekania bullteriera, głupkowaty, donośny, przeraźliwy.

Crosden biegł dalej tracąc oddech, potem zawołał swym donośnym głosem, aż puchacz zatoczywszy łuk nad wierzchołkami drzew, umknął śpiesznie w bladawym blasku księżyca.

Tym razem wsłuchując się w ciszę, chwycił uchem wyraźną odpowiedź Molly, która wołała głośno i cieniutko:

— Tato!

Udał się co tchu na miejsce, skąd dochodził głos. Zastał tam Molly. W ramionach jej spoczywał olbrzymi bullterier. Dziewczynka wyglądała jak mglisty kształt, na jej tle widniało kryształowo białe ciało psa pokryte straszliwymi, czerwonymi smugami.

— Król! — zawołał Crosden zataczając się z radości, byłby pośpieszył wprost w ich stronę, gdyby nie złowrogie warknięcie.

Białego Wilka opadły zwątpienia. Wybawił tej nocy od śmierci dziecko o delikatnych rączkach i nie miał zamiaru wydawać jej na łup pierwszego lepszego. Miał przed sobą co prawda człowieka z bronią w ręku — zlekceważył jednak przestrogi La Sombry: postanowił bronić swej pozycji i nie dopuścić bliżej olbrzyma.

— Nie zna mnie — rzekł Tucker Crosden, tracąc zmysły jakby w obliczu rozgrywających się cudów. — On mnie nie zna, Molly. Jakże się to więc stało, że powrócił znów do mnie?

— Nie wiem — odparła Molly — ale wiem tylko jedno: że pokonał Czarnego Wilka, aż czmychnął, gdzie pieprz rośnie, i że ocalił mi życie. Niech go Bóg błogosławi! Och, tatusiu, walczył jak bohater, a teraz siedzi tutaj jak jagniątko i grzeje mnie!

Tucker Crosden ukląkł na śniegu, by lepiej przeprowadzić swe badania. Biały Wilk już nie warczał. I dziecko, i człowieka czuć było zapachem tej samej jaskini, szaleństwem było zatem nie dopuszczać ojca do szczenięcia. Bronił jednak swego stanowiska i w obliczu rozpraszających się wątpliwości szczyrzył kły na dowód gotowości do walki.

Tucker Crosden otrząsnął się z ostatnich nawrotów szaleństwa. Rozwiały się maniackie urojenia, uprzytomnił sobie, że duch, którego odstraszyła rzekomo biedna Molly, był psem i to raczej jej niż jego własnością. Doświadczenie hodowcy psów doznało również ulgi: to nie był Król, ani rozmiar, ani tuszą, ale prawdziwy olbrzym wojownik.

Świadomość ta zraniła serce Tuckera Crosdena, ale uwolniła go od złudzeń. Przytomniejszy i rozpozgodzony ukląkł obok Molly i uwolnił ją z zębów potrzasku, zatopionych głęboko w jej nodze. Potem wziął córkę na rękę.

— Molly — rzekł — to nie Król. Nie ma w tym, koniec końców, żadnej tajemnicy, nie ma również powrotu zza grobu... Byłem szaleńcem i brutalem. Czy możesz mi wybaczyć?

Oparła się o jego szeroką pierś i uśmiechnęła się blado.

— Nie wiem — odrzekła. — Nietrudno to przebaczyć, tato. Nie wiem jednak, czy nie kryje się w tym jakaś tajemnica, sam Bóg, zdawałoby się, zesłał go tu dzisiaj.

— Idzie za nami! — zawołał Tucker Crosden. — Spójrz, idzie! Panie Boże na niebie, jakże ten wilk go poturbował... Czy bardzo cię boli noga, koteczku?

— Jestem szczęśliwa, że nie czuję bólu. Ale powiedz mi, tatusiu, czy on jest moim psem?

Ojciec zaczerpnął głęboko tchu. Zrzec się wszystkich praw do tego pięknego olbrzyma, równało się wyrzeczeniu nadziei na królestwo niebieskie.

— Cóż to za różnica? — powiedział w końcu. — Nie wychowałem go, nie stworzyłem go. Dobrze, niech będzie twój, Molly. Taki wspaniały pies!

Podążył naprzód, nim jednak zaszedł do chaty, wyczerpanie, strach, dokuczliwe zimno, długotrwały ból i radość pozbawiły Molly sił. Płakała cicho, oparta na ramieniu Tuckera Crosdena, a kiedy przybyli na miejsce, szeptała niejasne, nie powiązane słowa.

Zajął się nią tedy gorączkowo. Obmył ranę, roztarł zmarznięte ciało, posmarował je uśmierzającą maścią i owinał w miękkie, grube bandaże. Przyrządził jej mocnej czarnej kawy. Otrzeźwiło ją to od razu, stanął tedy nad nią i uśmiechnął się z zadowoleniem, na co odpowiedziała radosnym wzrokiem i uśmiechem.

— Czy bardzo cierpisz, Molly?

— Trudno być szczęśliwszą ode mnie, tato. Serce mi mało nie pęknie z radości. Spójrz na niego: patrzy na nas i rozumie każde słowo.

Biały olbrzym podszedł nieco bliżej, warknął cichutko i machnął ogonem. Lepiej ci już? — zdawał się mówić. — I ja znam ten ziąb, co siedzi w głębokich ranach. La Sombra lizała mi je, póki się nie zagoiły, człowiek jednak zna lepsze sposoby.

— Wspaniały! — rzekł Tucker Crosden. — Po prostu wspaniały, Molly. Niech mnie licho porwie, jeśli nie ma głowy i ruchów głowy jak Król... Widzisz?

— Widzę — przytaknęła.

— To nie przypadek. Skądże do niego krew Króla?

Nagle Molly doznała objawienia.

— Prawda tato, że kiedy wróciłeś do Nelly, brakowało jednego z jej szczeniąt?

Wlepił w nią wzrok. Nie mógł nadażyć za biegiem jej myśli.

— Czy takie małe szczenię mogło zostać żywe?

— Nie wiem — odparła Molly. — W tym pomioście płynęła jednak krew Króla... Oto masz Króla w całej okazałości, tylko większego i piękniejszego! Skąd mógłby się tutaj wziąć?

Logika potrafi utorować sobie drogę nawet do najbardziej upartej głowy.

— Aha. Ale jak mógł się wychować bez matki?

— A może miał?

— To nieprawdopodobne, nienaturalne!

La Sombra długo czekała na powrót swego mlecznego syna. Podeszła aż do stóp wzgórza, przeszła nawet przez strumyk. Wreszcie wyczerpała swą cierpliwość. Usiadła, podniosła nos do księżycy i zawyla, a głos jej rozlegał się długo i przeciągle po lesie.

— Pełno dziś wilków w lasach — rzekła Molly, drżąc na samo wspomnienie. — Ach, jak dobrze tutaj, w cieple... Ale spójrz na niego, tatuśku!

Terie prześliznął się do drzwi bezszelestnym krokiem, przykucnął, uniósł głowę, włos zjeżył mu się i w świetle lampy lśnił na grzbiecie. Molly i jej ojciec wpatrywali się w niego w milczeniu. Potem pies zawył przeciągle i łagodnie, a głos jego odbił się dalekim echem ponad wierzchołkami drzew.

Słyszę, lecz nie mogę przyjść, La Sombro! — powiadało jego wycie.

Nie zabrzmiało jednak jak prawdziwie wilczy zew, ale osłupiałej parze w chacie wydawało się głosem wilka.

Ci, co nauczyli go podobnej mowy, mogli go również wychować — powiedziała Molly Crosden. — Czy to niemożliwe, tato?

— Wychowany przez wilka? — powtarzał Tucker Crosden niepewnie. — Gdybym to był przypuszczał, kochanie, nie byłbym ich nigdy zabijał ani nie chwycił w potrzaski. Czy to jest możliwe?

— Przypuśćmy, że szczenię uciekło, a oprócz Czarnego Wilka znalazła się jakaś samica, co straciła swe potomstwo... Słuchaj, tato, czy to nie bardziej prawdopodobne?

Prawda ma pewien podźwięk, jakiego nie wyda fałszywa moneta. Prawda, jakiej dociekała Molly, trafiła od razu do przekonania Tuckera Crosdena.

Gdyby naprawdę jedno z pomiotu Nelly ocalało cudem — jak wielką sprawiłoby mu to radość! Przed rozplómienną wyobraźnią jawił mu się konkurs psów, zespół sędziowski w Madison Square Garden, rozgorączkowane tłumy, pochylone nad sznurami ringu, a wśród bullterierów — wyniosła postać olbrzyma, i zdumienie odmalowane na twarzy sędziego...

XXXIII

Podał mu kawał gotowanej zwierzyny.

— Musimy znaleźć imię dla niego. Chodź tu, stary wygo. Skosztuj.

Biały Wilk przekrzywił głowę i roziskrzonymi oczyma przypatrywał się mięsu. Był to bez wątpienia smaczny kąsek, pochodził jednak z ręki człowieka, a czyż La Sombra nie wpajała w niego, że nawet zapach człowieka to trucizna?

— Nie chce podejść bliżej — zauważył olbrzym żałośnie. — Spróbuj ty, koteczku.

Molly wyciągnęła skrawek mięsa i przywołała psa łagodnym głosem. Rozsądek jego sprzeciwiał się, a nieznana tkliwość w sercu pchała go do niej. Pamiętał zresztą, że ta sama dłoń pomogła mu w rozpaczliwej walce, gdy Czarny Wilk powalił go na ziemię. Zbliżył się do ręki Molly. Woń mięsa przemówiła mu do smaku, toteż w jednej chwili znalazło się w jego gardzieli.

— O raju! — westchnął Tucker Crosden. — Widziałeś, jak złapał? Jak wilk... No, a teraz zobaczy, że się go nie otruło.

Biały Wilk cofnął się do drzwi i zwinął w kłębek. Śledził, jak reaguje jego żołądek, nie dostrzegł jednak nic groźnego. Jeśli to była trucizna, spożyłby jej chętnie jeszcze więcej! Podkraśl się więc po następny poczęstunek, wyjął go delikatnie a zręcznie spomiędzy cienkich paluszków dziewczynki, kłapanwszy przy tym po wilczemu zębami. Tym razem nie odskoczył, skulił się tylko troszeczkę.

Wkrótce jadł jej z ręki, a oczy jarzyły mu się nieznana dotąd, nie przeżywaną radością. Wszystko szło dobrze, dopóki ten wysoki człowiek zachowywał odpowiedni dystans, pies nie miał wówczas potrzeby każdej chwili stać na straży.

Tucker Crosden podał Molly kociołek z gorącą wodą. Obmyła Białemu Wilkowi rany na grzbiecie, udzie i gardle, a kiedy ciepła woda — lepiej niż język La Sombry — zmywała i ściekała po zakrzepłej skorupie krwi, uśmierzając prawie całkiem ból, pies podniósł wzrok na twarz dziewczynki. Czuł, że ją uwielbia milczącą, straszliwą, nieśmiertelną miłością.

Nie skończyło się jednakże na obmywaniu ran. Wyszuszone je ciepłym gałgankiem i natarto maścią; zamierały ostatnie echa bólu.

Nagle, kiedy już było po wszystkim, w szparze pod drzwiami dało się słyszeć ciche sapnięcie. Biały Wilk odwrócił się błyskawicznie.

— Tam się coś święci — rzekła Molly. — Nie powinieneś był zamykać. Wypuść go, tato.

— Wypuścić go? Patrzcie państwo... Może już go więcej nie zobaczymy.

Biały Wilk leżał skulony we drzwiach, w naprężeniu i rozpaczliwym niepokojem.

— Jeśli będziemy go więzić, to znienawidzi nas i na pewno znajdzie sposób wydostania się na wolność. Pozwól mu odejść, tato. Mam nadzieję, że wróci.

— Zaryzykowałabyś? — spytał Tucker Crosden, a przed oczami jego majaczył Madison Square Garden i wszechświatowa wystawa psów.

— Musimy.

— To twój pies — zgodził się ojciec niemal z goryczą. — Nie mam prawa uczyć cię, jak masz z nim postępować... Do widzenia, stary wygo!

Otworzył drzwi. Biały Wilk pomknął jak błyskawica. Daleko, na skraju polanki skapanej w świetle księżyca, traper ujrzał starego wilka, który skoczył niezdarnie na trzech nogach w krzaki, Biały Wilk przedarł się w tym samym miejscu, nie słysząc jednak było chrapliwych odgłosów walki między pogromcą wilków a wilkiem.

Nagły błysk światła rozjaśnił mroki powolnego umysłu Tuckera Crosdena. Wrócił do Molly i siadł na pryczy obok niej.

— Przewertuj tę sprawę ze wszystkich stron, Molly. Słyszemy przy drzwiach sapanie. Otwieramy, pies wyskakuje... Daleko, aż na końcu polany, widzę wilka o trzech nogach. Zmyka w krzaki, a pies daje nura za nim, w tym samym kierunku, i...

— Wilk o trzech nogach? Biały Wilk i jego towarzyszka!

— Tak! — zawołał Tucker Crosden. — Towarzyszka albo mleczna matka!

Odkryli prawdę... Zadzźwięczała jak dobra moneta... Nie mieli już teraz żadnych wątpliwości i żadne pieniądze na świecie nie skusiłyby trapera, by wziął broń do ręki przeciwko wilczycy.

Ona tymczasem zatrzymała się w półmroku i wzdychając, łąła swego mlecznego syna.

Z najwstrętniejszych istot na świecie żadne nie jest tak ohydne jak ty, mój synu! Bucha od ciebie słowem człowieka, czuć go nawet w twym oddechu, leży ci w żołądku... Ręka człowieka natarła ci tłuszczem rany. Czy to nie trucizna?

Ma smak tłuszczu dobrego mięsa. Zobacz sama... Jesteś mądra, moja matko, i o wielu rzeczach wiesz daleko więcej niż twój syn, co się jednak tyczy człowieka...

Dławię się tym smrodem! — zawołała wilczyca. — Boję się i nienawidzę cię, mój synu! Czyś nie był w jego jaskini? Czyż nie słyszałam, jak walczyłeś, by uciec od niego?

Pozwól, że ci opowiem coś, co cię zadziwi i wyjaśni więcej, niż możesz się domyślić. Nie zauważyłem, kiedy zamknęło się wejście do jaskini, bowiem wiele dziwnych rzeczy działo się dokoła! Ale kiedy usłyszałem twe wołanie — poskoczyłem i poprosiłem, by dali mi wyjść. I pozwolili! To prawda, jak to, że jesteś moją rodzicielką. Otworzyli drzwi i pobiegłem, jak widzisz do ciebie!

Wilczyca cofnęła się nieco i wpatrywała się w Białego Wilka, jakby chcąc się upewnić, że to on, a nie jego duch wrócił do niej z tej pełnej niebezpieczeństw jaskini.

Przesaćkała cały zapachem człowieka — rzekła ponuro. — Zatraciłeś zupełnie czystą, wilczą woń. Biada mi! Niedługo rozpoznam cię tylko wzrokiem wśród wiejskich psów, z którymi bawiliśmy się i zabijali tam, na równinach. Nieszczęsny był to dzień, kiedy opuściliśmy rozległe doliny. Inaczej nigdy nie stałaby się taka rzecz.

Jaka rzecz? — zdziwił się terier. — Czyż nie jestem wolny? Czyż nie jestem tu, z tobą, gotów do pójścia gdziekolwiek zechcesz?

Czy pójdziesz stąd szczęśliwy?

Czemu nie? Chodźmy do jaskini.

Zapomniałeś o stadzie, które czeka?

Ach, tak, stado — westchnął Biały Wilk. — Idź i zawołaj je tutaj. Znajdziesz mnie w pobliżu polany.

La Sombra nie zadawała dalszych pytań, ani nie opierała się dłużej. Pośpieszyła swym kulejącym krokiem w mrok nocy i udała się na poszukiwanie stada, które miało ich oczekiwać na stoku góry Spencera.

Czekało istotnie, ale głód i niepokój odeгнаły je daleko. Kiedy La Sombra odnalazła je wreszcie późnym świtaniem, okazało się, że ma przed sobą daleką drogę do Jeziora Pekańów, gdzie zostawiła swego mlecznego syna.

Przybywszy na umówione miejsce, nie zastali Białego Wilka, nie mogli też odnaleźć jego śladów. Z pół tuzina śladów końskich wiodło natomiast do drzwi chaty, skąd skręcały na zachód, w dolinę Siedmiu Sióstr.

Dom był zamknięty. La Sombra, która — choć z ciężkim sercem — odważyła się zbadać bliżej sytuację, nie znalazła nawet śladu człowieka. Za to obok drzwi natrafiła na ślad swego mlecznego syna. Ziemia, rozkopana końskimi kopytami, nie zdołała przytłumić jego zapachu. Kusztykała więc wilczyca wytrwale, aż póki ślad stał się wyraźniejszy. Wilki ze stada poczuwszy zapach swego zaginionego wodza, wyprzedziły La Sombkę i posuwały się wolno, a przeciągły, wibrujący ich zew rozlegał się daleko i szeroko po lasach.

Wreszcie usłyszały odpowiedź. Człowiekowi wydawałaby się wyciem wilka, lecz mniej przeciągłym i bardziej przeraźliwym. Stado z Dunkeld wiedziało jednak dobrze, że jest to głos zaginionego wodza.

La Sombra nie pozostała tak dalece w tyle, by nie słyszeć zewu swego syna. Wgramoliła się z trudem na pagórek i zatrzymawszy się wśród gęstych krzaków na szczycie wzniesienia, spojrzała w dół, na płytki wąwóz. Oczom jej jawił się widok, który pogрузzył ją w otchłani smutku.

Czterech ludzi jechało konno. Córka Tuckera Crosdena siedziała w piątym siodle ze zwieszoną bezsilnie główką, a Gannaway i dwaj bracia Loftus szli pieszo obok Tuckera Crosdena, którego olbrzymie ręce związane były z tyłu.

Widok ten powinien był uradować serce wilczycy jako dowód, że ludzie wyjeżdżają, by może nie powrócić więcej, dostrzegła jednak coś, co zaciążyło jej jak ołów: Białego Wilka przemykającego się wśród zarośli za orszakami.

Na ten widok pojęła, że zwyciężył człowiek, że przegrała, że dziwny jej syn opuszcza góry i wilki na zawsze.

Reszta wilków ze stada Dunkeld legła głęboko w śniegu i przyglądała się konnemu orszakowi, ludziom i trzem psom myśliwskim braci Loftus, drepczącym w ślad za swymi panami.

Zejdź cichutko na dół — rzekła La Sombra. — Zejdź, Szary Wilku, i zawołaj mego syna!

XXXIV

Szary Wilk zszedł cichuteńko na dół kryjąc się w zaroślach i skierował się w stronę teriera. Karawana tymczasem wchodziła na jeden z licznych pagórków. Dan Loftus obejrzał się i spostrzegł czubek ogona skradającego się wilka, który właśnie ukrył się w gąszczu. Widok ten wystarczył Loftusowi. Znał tak dobrze wilki, że rzut oka na pojedynczy pazur odmalowywał obraz zwierzęcia w jego wyobraźni... Okrzyk jego zbudził Grampusa, sennie torującego sobie drogę w śniegu.

— Hej, Grampus, hej, Pete, Doc! Szukać go, dzieci, tędy!

Szeryf Larned zatrzymał pochód, by przyjrzeć się owym słynnym psom w biegu, nawet posępna twarz Crosdena rozjaśniła się. Ładny to był widok drużyny przy robocie: dwa wielkie psy cofnęły się z obu stron Grampusa, ustępując miejsca temu niezwykle poszukiwaczowi zwierza. Zbiegł szybko na dół i pomknął dalej, ku zbocz.

Widać wilk zatrzymywał się za długo, niezdecydowany, zastanawiając się, czy go czasem nie widzą zza krzaków, kiedy zaś ruszył, psy znajdowały się już w niebezpiecznej odległości. Krótco miał trwać ów bieg. Nawet Grampus, najpowolniejszy z całej trójki, dogonił wystraszonego wilka, a Pete i Doc wpadły wprost na niego, nie bacząc na wysiłki i wyszczerzone nieprzytomnie zęby.

— Rany boskie! — zawołał szeryf — jeszcze ze sześć susów, a będą go miały! To istny skarb, Loftusie... Halo, co to jest?

Bielsza od śniegu, po którym biegła, lśniąca smuga ukazała się spoza kępki krzaków i pomknęła wprost na teren walki. Co za radość musiała ogarnąć serce wilka, gdy ujrzał swego wielkiego wodza przybywającego z pomocą z szybkością wiatru! Dodało mu to otuchy. Przedtem myślał o ucieczce, teraz czuł się gotów do długiej i zażartej walki.

— Pies! bullterier! — zawołał szeryf. — Skąd, na miłość... Nie, to nadzwyczajne!

— Biały Wilk! — zawołał Tom Loftus. — Mówiłem ci, Dan, że to diabelnie dziwny wilk! Pożycz mi strzelby!

— Niech psy spróbują szczęścia! — wrzasnął Dan Loftus. — Niech spróbują!

Spróbowały, a wysiłek ich osiągnął w jednej chwili rezultaty. Biały Wilk dotarłszy do szeregu pędzących psów, rzucił się jak foką w woczy w górę i w dół pod długonogiego psa. Zęby jego znalazły swój zwykły cel, a jedno szarpnięcie ciężkiego ciała rozdarło szeroko gardło Pete. Padł, zsunął się po stwardziałym śniegu i skonał, nie zdążywszy osiągnąć stóp wzgórza.

Szary Wilk przysunął się tymczasem, by stanąć przy boku swego słynnego obrońcy. Niczym polski kawalerzysta rąbał na lewo i prawo i poturbował okrutnie Grampusa i Doca — dzielnych wojowników. W obliczu jednak śmiertelnego wroga — znacznie szybciej i zgodniej niż weszły — stoczyły się na dół z pagórka. Nie usłyszały jednak za sobą pościgu.

Strzelają, wariaci! Strzelają! — wołała za nimi La Sombra jak szalona. — Słyszycie? Chowajcie się, kto żyw!

W mig posłuchały jej rozkazów, choć jeden z nich na pewno nie byłby zdążył znaleźć schronienia. Dan Loftus przystawił strzelbę i udał się w ślad za Białym Wilkiem, kołyszając lekko bronią i celując wprawną ręką. Wtem skoczył ku niemu Gannaway i podbił lufę strzelby. Wypaliła w powietrzu, Biały Wilk zaś uciekł.

Bracia Loftus otoczyli Gannaway'a niby para warczących psów.

— Miałem dwadzieścia pięć setek dolarów w kieszeni — ryknął Dan Loftus pobladły z gniewu. — Zapłaci pan nam za to własną skórą, Gannaway!

Ale Adam Gannaway miał spory zasób zimnej krwi i siły fizycznej. Parsknął braciom śmiechem w nos.

— Nagroda przeznaczona jest za wilka, moi przyjaciele — oświadczył. — Za małego, białego wilka, a nie za bullteriera.

— Za to zwierzę, co kładło trupem bydło — mówił tom Loftus przysuwając mu do nosa swe twarde pięści. — Okręg podał odciski jego stóp. Pies czy wilk, to jest właśnie owo stworzenie, a pan pozbawił nas jego skalpu, Gannaway! Weź strzelbę, Dan. On tam jest, w krzakach, kiedy się ruszy — przygwoździmy go.

Mówiąc to, przystawił strzelbę do ramienia i obaj ruszyli ku kryjówce teriera.

Ani szybkość orientacji, ani odwaga nie mogły już ocalić Białego Wilka. Widział, jak nadchodzili. Widział wymierzone ku sobie ich strzelby. Między krzakami a lasem rozciągały się rozległe przestrzenie jasnego śniegu, rozumiał, że ucieczka przez otwartą przestrzeń równa się śmierci.

— Larned — odezwał się Tucker Crosden — cokolwiek Loftusowie mówiliby, oświadczam, że wychowałem tego psa i że stanowi własność mojej Molly. POzwolisz pan na to, żeby go zamordowano?

Szeryf był tego dnia w dobrym humorze. Dokonał aresztowania bez przelewu krwi, bez użycia broni, aresztowania, które mogło kosztować niejedno życie. W pierwszym jednak rzędzie był uczciwym człowiekiem, nie żądał niczego prócz sprawiedliwości, nie licząc się z tym, czy państwo oznaczyło nagrodę za głowy aresztowanych.

— Zatrzymaj się, Loftus! Tom! — zawołał. — Nie wolno wam zabijać psa, który należy do kogo innego... W każdym razie nie bez upoważnienia... Pies jest taką samą własnością jak pieniądze w kieszeni.

Dan Loftus w dalszym ciągu trzymał strzelbę do strzału, ale Tom odwrócił się.

Niech nam tego dowiedzie — odparł. — Widział pan, że pies walczył w obronie wilków. Tak postępuje pies, który jest własnością człowieka? Chcę mieć na to dowód ze strony Crosdena!

— Owszem — przyznał szeryf. — To dosyć rozsądne żądanie. Słuchaj, Crosden, zawołaj swego psa.

— Molly — rzekł Tucker Crosden — idź po niego.

Choć osłabła wskutek rany na nodze, przeżyć ostatniej nocy i nadejścia szeryfa — ożywiła się pod wpływem wzruszenia. Adam Gannaway dźwignął ją z siodła i pokuszyła po śniegu aż do samych zarośli. W rękę trzymała smycz i obrozę. Ukłękła w śniegu, wyciągnęła ręce. Mężczyźni, stojący wokół z zapartym oddechem, usłyszeli jej cichy, łagodny szepot.

— To wszystko na nic — oświadczył Tom Loftus, uśmiechając się z zadowoleniem. — On się nawet nie ruszy. Jeszcze jeden bluff Crosdena, szeryfie.

Ten zaś spojrział na Toma Loftusa. Czuł, że się z nim nie zgadza. Potem spojrział na białą, pełną napięcia twarz Tuckera Crosdena. I przeczuł, że w tym wszystkim tkwi coś więcej niż sprawa psa i człowieka. Że idzie tu o duszę ludzką.

— Zatrzymamy się tutaj — postanowił. — Nawet, gdyby konie miały przymarznąć do ziemi! Niech ten dzieciak spróbuje, czy nie uda mu się z tym psem!

Długie chwile naprężenia wydawały się godzinami. W końcu zamigotało w zaroślach coś białego i nieskazitelna głowa teriera wyjrzała w dolinę i cofnęła się. Potem pies przybliżył się o krok do dziewczynki. Zdawał sobie sprawę, że znajduje się w obliczu straszliwego niebezpieczeństwa, ale dźwięk głosu Molly dochodził go jak zwiastun pokoju, spowijając jego serce cichą radością.

Stanął przed nią wreszcie. Zimne jej dłonie zapięły mu obrozę na szyi i chwyciły smycz. Wszyscy byli gotowi przysiąc, że Biały Wilk oddał się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości; czyż prawo mogło okazać się okrutne dla poddającego się nieprzyjaciela?

Nikt nie mógł się połapać, jaką rolę odgrywa bullterier w sprawie człowieka oskarżonego o morderstwo. Pozostawało jednak faktem, że wśród tłumów zalegających salę sądową, jeden na dziesięciu przyszedł zobaczyć więźnia na ławie oskarżonych, dziesięciu zaś wlepiło wzrok w Białego Wilka.

Gazety, ma się rozumieć, nie przeoczyły tej niezwyklej historii. Pies wychowany przez wilczycę, pies, który żył w lasach wraz z wilkami, pies za którego głowę przeznaczono nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu setek dolarów, i który wrócił teraz do swego pana — taki temat nie tylko wzbudził "ogólnoludzkie zainteresowanie", ale posłużył jako materiał do nagłówków.

Na pierwszej ławce siedziała Karolina Crosden, nie odrywając oczu od oskarżonego; jeśli przypadkiem spojrział na nią, chwytała jego uśmiech, który ciągle jawił mu się na twarzy. W chwili, gdy szło o życie, Tucker Crosden pogodził się ze światem! Czuł, że to co się z nim stanie, nie będzie miało istotnego znaczenia. Dokonał dzieła, dzieło to ukazywało się codziennie na sali sądowej. Prawo wzbraniało, co prawda, zabierania zwierząt do sądu, ale w tym małym mieście sędzia był człowiekiem wyrozumiałym: gdy usłyszał, że bullterier wściekał się niemal pozostawiony sam w domu, pozwolił Białemu Wilkowi przychodzić wraz z rodziną oskarżonego. Obok matki siedziała Molly, a między nią a ścianą na końcu ławki siedział terier i patrzył obecnym prosto w oczy.

Otoczający świat podniecał ogromnie jego wyobraźnię. Twarze ludzi zaciekawiały go więcej niż krwawe ślady w górach San Jacinto. We wpatrzonych w siebie oczach wyczuwał zaciekawienie i dobroć, a w głosach słyszał tyle łaskawości, że machał instynktownie ogonem. Ludzie jednak tworzyli tylko mgliste tło, na którym zarysowały się dwie dobrze znane twarze: jego pana i Molly Crosden. Tucker Crosden nie odgrywał tam właściwie zasadniczej roli... Serce Białego Wilka mieściło tylko jedną wielką miłość. Miłość ta rozgorzała dla dziewczynki, za którą stoczył walkę i która walczyła za niego w dolinie Siedmiu Sióstr... Ilekroć jednak Tucker Crosden spojrział w tamtą stronę, terierowi rozjaśniały się oczy i nie mógł powstrzymać cichego skowytu.

Prokurator skarżył się potem, że pies popsuł mu sprawę. Jakżeż mógł odmalować postać Tuckera Crosdena jako nieopanowanego brutala i mordercę, kiedy na pierwszej ławce siedziało owo psisko z piekła rodem i popisywało się przed sędziami miłością dla tego nikczemnika. Młody zaś obrońca nie był na tyle głupi, by przeoczyć taką sposobność. W końcowym przemówieniu rozwodził się szeroko nad tym człowiekiem, psem i dzieckiem, a kiedy skończył — sąd udał się na naradę, najkrótszą, jaka odbyła się kiedykolwiek w gmachu tego sądu. Wrócił z wyrokiem uniewinnającym. Sala rozbrzmiała od wiwatów — nie na cześć Tuckera Crosdena, lecz Białego Wilka. A Biały Wilk zdawał się rozumieć: wstał i merdał ogonem.

W pewnej części uzasadnienia Sędzia stwierdził:

— Jeśli obcy zamykają człowiekowi drogę do własnego domu, jeśli Bóg obdarzył go nadnaturalną siłą rąk, czy to jego wina, że uderza mocniej, niż zamierzał, czyli też wina

nieszczęsnego człowieka, co stał mu w drodze? Nie sądzę, by Tucker Crosden był z natury mordercą. Patrzę na niego jako na twórcę, i to na twórcę, który dokonał wielkiego dzieła!

I oko sędziego spoczęło na Białym Wilku, aby podkreślić sens moralny swego przemówienia.

XXXV

Udajcie się zatem na wschód pociągiem, który wiezie Molly Crosden i jej ojca do Manhattanu. Szum wielkiego miasta zamknął się jak ocean nad głową Molly, a Biały Wilk przytulił się mocniej do jej kolan. Wreszcie po długich dniach oczekiwania — w wielkiej jak stodoła hali ogrodu Madison Square, wrzawa i ujadanie stu odmian psów odbija się echem jak bezustanne salwy aż o strop i belki budynku. Niżej zaś płynie równym strumieniem szept radosnych ludzkich głosów. Wejdźcie na galerię, krąg gęsto skupionego tłumu zamknął się wokół podwyższenia, gdzie wystawione są "Bullteriery — rasa amerykańska — protoplaści". Pokazano ze dwanaście pięknych okazów, ale oczy tłumu lgną tylko do jednego — do białego olbrzyma ważącego o piętnaście funtów więcej od najbliższego rywala. Stoi na środkowym podium, a szczupłolicy sędzia umieszcza obok niego coraz to innego rywala, by go zabrać natychmiast, śpiesznie, rozpaczliwie.

— Żadne bzdury gazeciarskie nie wpłyną na mnie tym razem — oświadcza niemal ze złością dziewczynce trzymającej smycz olbrzyma. — Ale, wielkie nieba, co za głowa! Skąd takie kości, takie mięśnie jak z żelaza!

Dziewczynka podnosi głowę i odpowiada z bladym uśmiechem:

— Wilcze mięso stanowiło część jego pożywienia, proszę pana, choć podobno nie zalecają go specjalnie w książkach o hodowli psów.

Nieco dalej w kącie oparł się o ścianę olbrzymiego wzrostu mężczyzna w towarzystwie niskiego człowieczka o zwiędłej twarzy i płonących oczach.

— Co będzie z nim, Newtonie? — pyta olbrzym.

— Nie ma, prócz Pinkertona, bullteriera, który by go zakasował. Tylko Pinkerton może go pobić!

Chciał, co prawda, ale go nie pobił. Nerwowa dłoń sędziego zawahała się tylko nad jednym: nad chropowatością podgardla Białego Wilka.

— Co się stało temu psu, panienko?

— To zrobił wilk — odparła. — Wtedy, kiedy Biały Wilk walczył za mnie... kiedy schwytana zostałam w potrzask... Ale pan pewnie nie słyszał o tym...

Okazało się jednak, że słyszał. Patrzył na nią z nikłym błyskiem radości w oczach. Gdyby nie został pastorem, poświęciłby swe życie walce. Biały Wilk zdobył medal i srebrny puchar.

Zwyciężył zatem na całej linii w świecie bullterierów. Cóż jednak pozostało do zrobienia wśród innych terierów? Na wystawie znajdowały się i irlandzkie teriery, żywcem jak z obrazka, i kudłaty foksterier — zdobywca palmy pierwszeństwa w swojej licznie reprezentowanej klasie.

Współzawodnicy obchodzą tanecznym krokiem podwyższenie, rozglądając się wokoło roziskrzonym spojrzeniem. Tylko Biały Wilk stoi jak biały kryształowojasny posąg wykuty w marmurze.

— Chciałbym zobaczyć, jak ten pies się porusza, moja panienko.

To znaczy: jak podąża śladem zwierzyny, jak mknie po równinach z La Sombrą...

— Czegóż pan chce więcej? — mruczy ponuro jeden sędzia do drugiego.

— Nic... — rzecze tamten. — Chociaż pies podobnie wojowniczej rasy...

Biały Wilk staje w nielicznym szeregu tych, co biorą udział w ostatecznym konkursie. Któż są ci uczestnicy "pokazu wielkości"? Pekińczyk, który kosztował podobno w Anglii dwanaście tysięcy dolarów, chart, co uradowałby serce średniowiecznego rycerza, i Biały Wilk — trzeci na estradzie.

— Ach, gdyby mu się udało! — wzdycha tłum. — Nie ma jednak podobnego paragrafu. Bullterier nie może zostać wyróżniony i wywyższony ponad inne rasy! Nawet najpiękniejszy ma zbyt wiele braków.

— No tak, ale ten zaszedł już daleko! Kto wie? Jestem gotów zawołać wiwat!

Tłumy czytują gazety, a sędziowie nie zawsze.

— Konkurs nie powinien stać się triumfem sentymentalizmu — prawi chłodny sportsmen.

— Słusznie — odpowie nieustraszony sędzia, ten o białych włosach i jasnoniebieskich oczach. — Co jednak można zarzucić temu białemu szatanowi z gór?

— Co możemy mu zarzucić? — ponuro powtarza półgłosem Tucker Crosden w kącie sali.

— Ja wiem! — rzecze jego towarzysz.

— Cóż ty wiesz, Newton?

— Oczywiście, stary wygo! Spójrz jeszcze raz. Byliśmy ślepi, Tuckerze. Zналиśmy go i wiemy, jak potrafi walczyć... Nie ma on jednak spojrzenia, takiego prawdziwego spojrzenia, mój kochany. Ma za duże, za dobre oczy. Nie ma spojrzenia wojownika!

Tucker Crosden patrzy przed siebie jak urzeczony. Przez tyle dni badał i oglądał Białego Wilka od stóp do głowy i terier wydawał mu się nadal ideałem psa.

A siwowłose sędzia rzecze:

— Chart nie pójdzie. Nie można zaliczać go do tej samej klasy, co teriera, albo pekińczyka... Musi odpaść, panowie!

Dwaj pozostali skinęli powoli i smutnie, chart był bowiem wspaniałym stworzeniem, miało się wrażenie, że lada chwila rozwinie skrzydła i frunie z lekkością wiatru. Sprowadzono charta z podwyższenia. Wśród tłumu widzów zapadła grobowa cisza: liczba współzawodników konkursu ograniczyła się do małego, brązowego, salonowego pieska o łagodnych oczach, który kosztował prawie majątek oraz białego posągu, tak zagadkowo wydartego puszczy. W ciągu pół godziny trzech poważnych, starszych panów przykucnęło, przykłękało, krążyło i odsuwało się, aby przywołać na pamięć idealny typ, potem zaś spoglądało znowu na dziwnie kontrastującą z sobą parę na podwyższeniu.

— Moi przyjaciele — rzekł następnie siwowłose — czy macie coś do zarzucenia terierowi? Bo ja nie! Z wyjątkiem chropowatości skóry na podgardlu, świeżych blizn, panowie, otrzymanych podczas walki z wilkiem, gdzie szło o życie tej samej dziewczynki, która teraz trzyma smycz! Panowie, głosuję za terierem!

Wniesiono wielki, srebrny puchar i lśniącą, wspaniałą rozetę. Kiedy sędziowie podeszli do Molly Crosden, tłumy wzniosły okrzyk, który odbił się echem od stropu hali. Tucker Crosden słyszał wszystko jak przez sen. Czuł, że coś mówi, a każde słowo wydierał sobie z głębi serca.

— Masz rację, Newton. Stracił swój typ. Musimy zacząć raz jeszcze, od początku, na nowo...

Karolinie Crosden dowiedziono przynajmniej jednego: że za pomocą sideł i potrzasków mąż jej potrafi zarobić więcej w chacie góralskiej niż na równinach. Z tym zgodnym przekonaniem rodzina przeniosła się do doliny Siedmiu Sióstr, gdzie znalazła wreszcie upragnione, wytęsknione szczęście.

— A co będzie z Białym Wilkiem? — pytała żona Tuckera.

— Niech sobie buja jak dawniej — odpowiadał. — Tu ujrzał światło dzienne, tu będzie żył!

Biały Wilk cieszył się zatem zupełną wolnością.

Pierwszego dnia przebywał w pobliżu domu, ale wraz z nadejściem wieczoru, kiedy błądy księżyc ukazał się na wschodzie i jaśniał coraz silniejszym światłem — siadł w cieniu drzew i zaniósł się przeciągłym wyciem, które odbiło się dalekim echem wśród wzgórz. Słuchał, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Potem ruszył w zachodnią część doliny. Biegł tak długo, aż krótki oddech zmusił go do wypoczynku, tym bardziej, że stracił znaczną część swej żelaznej, dawnej siły. Zatrzymawszy się, usłyszał za sobą jakiś szelest. Odwrócił się i ujrzał starego, rudego lisa o wypełzłej sierści i spróchniałych zębach ukazujących się w uśmiechu.

I znów widzimy się, bracie! — rzekł uśmiechając się. — Szukasz La Sombry? — zapytał lis. — Idź do jaskini na górze Spencera. Znajdziesz ją tam, opowie ci ciekawe rzeczy...

Biały Wilk chciał go o wszystko wypytać, płonął jednak z niecierpliwości... Pomknął więc dalej co tchu, wspinał się na podłużne i krągłe pagórki, aż przybył na niewielką przełęcz przed jaskinią — tę samą, gdzie pekan pozabijał jego mlecznych braci i gdzie on sam z rodzeństwem bawił się i hałasował w dzieciństwie.

Wtem wyskoczył z zarośli duży, długonogi wilk i, rzuciwszy przed jaskinią martwego królika, odwrócił się, by zagrozić drogę obcemu przybyszowi.

Ach, Szary Wilku — rzekł terier — porzuciłeś stado z Dunkeld? Co robisz z dala od dawnych myśliwskich terenów?

Pfuj! — splunął Szary Wilk. — Co to za jeden, co przemawia wilczym językiem, a ma pozór i zapach psa? Ośmielasz się zjawiać tu przede mną? Klnę się na wzgórze Dunkeld, że nareszcie nadszedł dzień, kiedy szczenięta porządnie się najedzą, a La Sombra napelni swój żołądek!

Przyczołgał się na brzuchu, skuliwszy się do skoku. Biały Wilk nie drgnął nawet.

Dobrze, że wróciłem, ty młody szaleńcze! — rzekł — zanim moi zapomną o mnie... Nie zapach tworzy wilka, ale serce, moje zaś pozostanie zawsze wierne bliskim. Czyżbyś zapomniał o mnie i łosiu, którego upolowałem, by napelnić brzuchy stada z Dunkeld, między innymi i twój... Zapomniałeś, Szary Wilku? A może mam wziąć cię za gardło i wlać ci trochę oleju do głowy?

Tamten cofnął się przed królewskim spokojem i majestatem byłego wodza.

La Sombro! — warknął — to niebezpieczeństwo trzeba będzie, zdaje się, zażegnać dwiema parami szczęk!

U wejścia jaskini ukazał się wychudły cień La Sombry i w nozdrza Białego Wilka uderzył ostry zapach skulonego wokół niej pomiotu.

O matko! — zawołał Biały Wilk — przyszedłem znów do ciebie!

Stała u boku Szarego Wilka, a oczy jej połyskiwały zielonym światłem.

Pies przesiąkły na wskroś zapachem człowieka! — zadrwiła. — I ty wzywałeś pomocy, by zwalczyć takiego kundla? Nie wstydzisz się, Szary Wilku?

Wstydzę się — wycedził Szary Wilk. — W pamięci mojej jednak ożywa wspomnienie o stadzie na łowach, o białym wodzu, co nie znał strachu. Czyż nie przechowała się wśród nas

legenda o dawnych czasach, o tym jak zginął samotny łowca Czarny Wilk, uśmiercony przez podobną temu psu istotę.

Ach — jęknął Biały Wilk przypadłszy do ziemi w największym bólu i rozpacz — czyś zapomniała, żeś mnie wykarmiła, że walczyłem i polowałem dla ciebie?

Cóż on tam opowiada o łowach i walce? — warknęła chrapliwie La Sombra. — Wiem tylko jedno: małe wołają jeść!

Podniosła nieżywego królika i warcząc skryła się w pieczarze, skąd Biały Wilk usłyszał natychmiast radosne głosy szczeniąt... Odwrócił się, jak gdyby Szary Wilk był wiewiórką na drzewie i poszedł wolno i smutnie w kierunku doliny Siedmiu Sióstr. Jedna księga jego życia była już skończona, wiedział, że do niej nigdy nie powróci.

Pobiegł na polankę. Zastał drzwi domu zamknięte. Podrapał do nich. Wewnątrz rozległy się okrzyki radości, drzwi otwarto się gwałtownie i szyję Białego Wilka otoczyły ramiona Molly.

Odepchnął ją groźnym warknięciem, które znało i przed którym drżało stado z Dunkeld.

— Czy on oszalał? — szepnęła Molly, cofając się przed terierem.

Biały Wilk spojrzał za siebie. Na skraju polany, na wprost drzwi stał parszywy, stary lis ukazując w szyderyczym uśmiechu swe spróchniałe zęby. Drzwi się zamknęły, ogarnęło go uczucie ciepła i lenistwa. Zaszły się w najchłodniejszy kąt chaty i rozmyślał nad sobą i swym znękanym sercem.

— Co mu się stało? — szeptała Molly i jej matka, tuląc się do siebie. — Spójrz na jego oczy! Stały się zupełnie zielone.

Tucker Crosden nachylił się nad Białym Wilkiem, przyjrzał mu się uważnie i skinął głową.

— Dajcie mu spokój — rzekł. — Są rzeczy, które i pies, i człowiek musi zwalczyć sam!

KONIEC